

ALBERTO MORAVIA

Pogarda

SARAJEVO

Alberto Moravia

Pogarda

Tłumaczyła Zofia Ernst

ROZDZIAŁ I

W okresie dwóch pierwszych lat małżeństwa - dzisiaj mogę to stwierdzić - moje stosunki z żoną były idealne. Chcę przez to powiedzieć, że pełny, wyjątkowy dobór fizyczny uzupełniało jeszcze owo zaślepienie, a raczej owa senność umysłu, która w podobnych okolicznościach nie dopuszcza żadnej krytyki i pozostawia wyłącznie miłości ocenę kochanej osoby. Jednym słowem, Emilia wydawała mi się istotą pozbawioną wad i ona także widziała mnie w takim samym świetle. A może nawet i dostrzegaliśmy nawzajem swoje wady, lecz poprzez tajemniczą przemianę, będącą dziełem miłości, wydawały się nam one nie tylko wybacalne, ale także pełne uroku, jak gdyby były to nie przywary, lecz zalety, tyle tylko, że całkiem specyficzne. Krótko mówiąc nie osądzaliśmy się: kochaliśmy się. Piszę to wszystko dlatego, by opowiedzieć, jak się to stało, że Emilia, podczas gdy ja dalej ślepo ją kochałem, wykryła - czy też zdawało jej się, że wykryła - ujemne cechy mojego charakteru, zaczęła mnie surowo sądzić i w rezultacie przestała mnie kochać; Im większe jest szczęście, tym mniej człowiek zdaje sobie z niego sprawę. Wyda się to dziwne, ale w okresie tych dwóch lat czasami nawet odnosiłem wrażenie, że się nudzę; na pewno nie uświadamiałem sobie, że jestem szczęśliwy; wydawało mi się, że robię to samo co wszyscy, kochając swoją żonę i będąc przez nią kochany. Ta miłość była dla mnie czymś tak powszednim i oczywistym, że nie doceniałem jej, podobnie jak nie docenia się powietrza, którym się oddycha i które staje się bezcenne

dopiero wtedy, gdy go zabraknie. Gdyby w owym okresie ktoś powiedział mi, że jestem szczęśliwym człowiekiem, bardzo by mnie to zdziwiło; odrzekłbym zapewne, że nie jestem szczęśliwy, bo chociaż kocham moją żonę i ona mnie, nie mam zapewnionego jutra.

Była to prawda: z trudem wiązaliśmy koniec z końcem, żyjąc z moich bardziej niż skromnych dochodów krytyka filmowego; pisywałem stale krytyki dla drugorzędnego tygodnika, inne pisma rzadko drukowały moje artykuły; mieszkaliśmy w wynajętym, umeblowanym pokoju, często brakowało nam pieniędzy na najskromniejsze rozrywki, a czasem nawet na rzeczy niezbędne. Jak mogłem być szczęśliwy? Nigdy więc tyle nie narzekałem co w owym czasie, kiedy - jak się miałem wkrótce przekonać - byłem całkowicie i głęboko szczęśliwy. Pod koniec drugiego roku małżeństwa poprawiły się wreszcie nasze warunki materialne: poznałem Battistę, producenta filmowego, i napisałem dla niego mój pierwszy scenariusz, co potraktowałem jako prowizoryczną pracę (miałem bowiem duże ambicje literackie), która jednak stała się potem moim zawodem. W tym samym czasie moje stosunki z Emilią zaczęły się zmieniać na gorsze. Moje opowiadanie zaczyna się właśnie w momencie, gdy zadebiutowałem jako scenarzysta filmowy i gdy nastąpiło pogorszenie moich stosunków z żoną, te dwa wydarzenia bowiem zbiegły się ze sobą i, jak się potem okaże, istniał między nimi bezpośredni związek. Kiedy sięgam pamięcią wstecz, przypominam sobie jak przez mgłę pewien incydent, który niegdyś wydawał mi się bez znaczenia, ale który musiałem później uznać za jeden z najważniejszych, a nawet za

decydujący.

Stoję na chodniku jednej z ulic w centrum miasta. Emilia, Battista i ja zjedliśmy właśnie kolację w restauracji i Battista zaproponował, by spędzić resztę wieczoru u niego, na co przystaliśmy z ochotą. Stoimy teraz wszyscy troje przed samochodem Battisty; jest to luksusowy czerwony wóz, ale może pomieścić tylko dwie osoby. Battista siada przy kierownicy, wychyla się i otwierając drzwiczki mówi: - Bardzo mi przykro, ale jest tylko jedno miejsce. Pan, panie Molteni, musi pojechać za nami na własną rękę... chyba że woli pan tu na mnie poczekać, to potem przyjadę po pana. - Emilia stoi przy mnie w wieczorowej sukni z czarnego jedwabiu, wydekoltowanej, bez rękawów (jedyne wyjściowe ubranie, jakie posiada) i trzyma na ręku futrzaną pelerynkę: jak zwykle we wrześniu jest jeszcze bardzo ciepło. Patrzę na nią i sam nie wiem czemu, stwierdzam, że jej uroda zazwyczaj spokojna i pogodna, staje się nagle pochmurna, a nawet groźna. Mówię wesoło: - Emilio, jedź z Battistą. Ja pojedę za wami taksówką. - Emilia spogląda na mnie, po czym odpowiada niechętnie i powoli: - Czy nie byłoby lepiej, żeby Battista pojechał pierwszy, a my dwoje taksówką? - Battista wychyla głowę przez okienko i woła żartobliwie: - Ładne rzeczy!

Chce mnie pani zostawić samego! - Emilia zaczyna się tłumaczyć: - Nie o to chodzi, ale...

- Widzę nagle, że jej śliczna twarz, zawsze tak pogodna i harmonijna, nabiera ponurego wyrazu i robi się prawie smutna. Lecz dostrzegam to późno, bo chwilę przedtem zdążyłem już powiedzieć: -

Battista ma rację! Wsiadaj, jedź z nim, ja biorę taksówkę. - Tym razem Emilia ustępuje, a raczej nie sprzeciwia mi się, i wsiada do samochodu. Dopiero teraz, gdy opisuję wszystko, uświadamiam sobie, że kiedy usiadła obok Battisty, spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem przez jeszcze otwarte drzwiczki: w jej oczach malowała się prośba i niechęć. Lecz ja nie zwracam na to uwagi i zdecydowanym ruchem człowieka, zamykającego kasę ogniotrwałą zatrzasnąwszy ciężkie drzwiczki samochodu. Wóz odjeżdża, a ja w różowym humorze, pogwizdując wesoło ruszam w kierunku postoju taksówek.

Battista mieszka niedaleko od restauracji; normalnie powinienem dojechać do jego domu taksówką razem z nim albo chwilę później. Lecz w połowie drogi następuje zderzenie na zakręcie: taksówka wpada na prywatny wóz i obydwie maszyny są pokiereszowane, taksówka ma zgięty i podrapany błotnik, a tamten samochód wgnieciony bok. Obydwaj szoferzy natychmiast wysiadają, stają naprzeciw siebie, krzyczą, obsypują się wyzwiskami, zbiera się tłum gapiów, interweniuje policjant, który z trudem rozdziela kierowców i każe im podać nazwiska i adresy. Czekam przez cały czas w taksówce, bez odrobiny zniecierpliwienia, a nawet z uczuciem nieomal błogości, ponieważ dobrze zjadłem i dużo wypilem, a pod koniec kolacji Battista zaproponował mi, bym opracował scenariusz jego nowego filmu.

Ostra kłótnia szoferów trwa może dziesięć, piętnaście minut i zjawiam się z opóźnieniem w mieszkaniu producenta filmowego. Wchodząc do salonu widzę siedzącą w fotelu Emilię i Battistę,

stojącego w rogu pokoju przy barze na kółkach. Battista wita mnie wesoło, Emilia natomiast pyta żalonym, prawie rozpaczliwym tonem, dlaczego tak późno przychodzę.

Odpowiadam beztrąsko, że miałem wypadek, i zdaję sobie sprawę, że mówię wymijająco, jak gdybym chciał coś ukryć, ale co w rzeczywistości można tłumaczyć tym, że nie przykładam wagi do tego zdarzenia. Ale Emilia nie daje za wygraną i wypytuje mnie dalej tym dziwnym tonem: - Wypadek?... Co za wypadek? - Wtedy ja, zdziwiony i może nawet nieco zaniepokojony, wyjaśniam, co się stało. Tym razem jednak odnoszę wrażenie, że za bardzo wdaję się w szczegóły, jak gdybym się obawiał, że ona mi nie uwierzy; jednym słowem uświadamiam sobie, że dwukrotnie popełniłem błąd: przedtem byłem zbyt oszczędny w słowach, teraz zbyt dokładny. W każdym razie Emilia o nic już nie pyta; Battista roześmiany i serdeczny stawia na stoliku trzy kieliszki i zaprasza mnie do picia. Siadam; upływa kilka godzin na żartobliwej rozmowie, w której bierzemy udział przede wszystkim ja i Battista. Battista jest tak rozbawiony i wesoły, że prawie nie dostrzegam smętnego nastroju Emilii. Jest ona zresztą zawsze milcząca i niedostępna, co wynika z wrodzonej nieśmiałości, więc jej powściągliwość mnie nie dziwi. Jestem tylko nieco zaskoczony faktem, że nie przysłuchuje się jak zwykle z uśmiechem naszej rozmowie i że w ogóle na nas nie patrzy: pije i pali w milczeniu, jak gdyby była sama. Pod koniec wieczoru Battista z powagą mówi mi o filmie, przy którym zaproponował mi współpracę: opowiada mi jego treść, udziela informacji o reżyserze i scenarzyście,

z którym mam pisać dialog, a w końcu prosi mnie, bym przyszedł nazajutrz do jego biura podpisać kontrakt. Emilia wykorzystuje krótką chwilę milczenia, by wstać i oznajmić, że czuje się zmęczona i chce już iść do domu. Żegnamy się z Battistą, wychodzimy, schodzimy na parter, idziemy w milczeniu po ulicy aż do postoju taksówek. Jestem nieprzytomny z radości z powodu niespodziewanej propozycji Battisty i nie mogę się powstrzymać, by nie powiedzieć Emilii: - Ten scenariusz nawinął się w samą porę... gdyby nie to, sam nie wiem, jak wybrnęlibyśmy z tarapatów... musiałbym się zapożyczyć. - Emilia ogranicza się do lakonicznego zapytania: - Ile płacą za scenariusze? - Wymieniam sumę i dodaję: - Tak więc wszystkie nasze problemy są rozwiązane co najmniej do wiosny. - Mówiąc to ujmuję Emilię za rękę. Nie reaguje na uścisk mojej dłoni i nie odzywa się już ani słowem przez całą drogę.

ROZDZIAŁ II

Od tego wieczoru wszystko, co dotyczyło mojej pracy, szło jak z płatka.

Następnego ranka poszedłem do Battisty, podpisałem umowę na scenariusz i otrzymałem pierwszą zaliczkę. Pamiętam, że szło o film raczej błahey, groteskowo sentymentalny; mając poważne aspiracje pisarskie sądziłem, że ten gatunek literacki nie może być moją specjalnością, a tymczasem przy pracy wyszło na jaw, że właśnie to jest moim powołaniem. Jeszcze tego samego dnia miałem spotkanie z reżyserem i drugim scenarzystą.

O ile bardzo łatwo mi jest określić dokładnie początek mojej kariery jako scenarzysty, o tyle trudno byłoby mi powiedzieć, w jakim momencie zaczęły się psuć moje stosunki z żoną. Mógłbym oczywiście stwierdzić, że stało się to właśnie owego wieczoru, lecz do tego wniosku doszedłem dopiero później, ponieważ jeszcze przez pewien czas Emilia nie okazywała żadnych zmian w stosunku do mnie. Wiem, że owa zmiana nastąpiła mniej więcej w okresie miesiąca, że w Emilii coś się przełamywało, ale co spowodowało zasadniczy zwrot i kiedy się to dokładnie stało, naprawdę nie umiałbym ustalić. W owym okresie widywaliśmy Battistę prawie codziennie i mógłbym przytoczyć wiele epizodów podobnych do tego, jaki zdarzył się pierwszego wieczora w jego mieszkaniu; epizodów, które wówczas wydawały mi się błahe i bez znaczenia, ale które musiałem później uznać za decydujące.

Chciałbym przytoczyć tylko jedno wydarzenie: za każdym razem, kiedy zapraszał nas Battista, a zdarzało się to prawie codziennie, Emilia szukała różnych wykrętów, byle tylko mi nie towarzyszyć, nie tyle zdecydowana, ile dziwnie uparta w swoich wymówkach. Wykazywałem czarno na białym, że te jej błahe wybiegi prowadzą tylko do tego, by nie zobaczyć się z Battistą, i pytałem z naciskiem, czy go nie lubi i dlaczego; odpowiadała mi zawsze raczej zdawkowo, że Battista nie jest dla niej niesympatyczny, że nie ma mu nic do zarzucenia, tylko po prostu nie ma ochoty wychodzić z domu, bo nudzą ją te wspólnie spędzane wieczory. Nie zadowalałem się tymi ogólnikowymi wyjaśnieniami i nalegałem dalej, by się upewnić, czy Battista nie zrobił jej mimo woli przykrości i czy nie zaszło między nimi jakieś nieporozumienie. Ale im usilniej wmawiałem jej, że nie czuje sympatii dla Battisty, tym zapalczywiej temu przeczyła i zaczynała się w uporze. Wówczas ja, całkowicie przekonany, że stosunki między nimi są jak najlepsze, zaczynałem jej tłumaczyć, dlaczego tak mi zależy, by nie pozbawiała nas swojego towarzystwa: nigdy dotychczas nie wychodziłem bez niej i Battista o tym wiedział; jej obecność sprawiała przyjemność Battistie, bo ilekroć nas zapraszał, zawsze podkreślał z naciskiem: - Oczywiście, proszę koniecznie przyjść z żoną. - Gdybym zjawił się sam, mogłoby to wyglądać na afront czy lekceważenie Battisty, od którego obecnie uzależniona była nasza egzystencja; tak więc, ponieważ Emilia nigdy nie podawała naprawdę przekonujących argumentów dla upozorowania swojej nieobecności, łatwo było mi jej dowieść, że nie

ma istotnego powodu, by nie ustąpić, a nawet trochę się wynudzić, spędzając wieczór razem z nami. Emilia słuchała moich wywodów zamyślona, w głębokim skupieniu, nie spuszczać mnie z oka: wyglądało na to, że bardziej niż słowa interesuje ją moja twarz i gestykulacja. W końcu zawsze mi ulegała i w milczeniu zaczynała się przebierać.

W ostatniej chwili, gdy była już gotowa, pytałem ją po raz ostatni, czy doprawdy nie ma ochoty ze mną wyjść; robiłem to nie dlatego, by upewnić się co do jej odpowiedzi, lecz dlatego, by nie ulegało wątpliwości, że pozostawiam jej decyzję. Odpowiadała mi stanowczo, że nie ma nic przeciwko temu, i wychodziliśmy z domu.

Jednakże, jak już wspomniałem, odtworzyłem sobie to wszystko dopiero później, mozolnie szperając w pamięci i doszukując się wielu błahych wydarzeń, na które w owym czasie w ogóle nie zwróciłem uwagi. Wtedy uświadamiałem sobie tylko jedno, a mianowicie że stosunek Emilii do mnie nieustannie zmienia się na gorsze, lecz nie mogłem zrozumieć, dlaczego się tak dzieje ani na czym właściwie polega owa zmiana; stwierdzałem to po prostu, tak jak stwierdza się, że skoro powietrze robi się parne i duszne, to choć niebo jest jeszcze błękitne, niedługo nadejdzie burza. Zaczynałem przypuszczać, że Emilia nie kocha mnie już tak jak dawniej, bo przestało jej zależeć na moim towarzystwie; kiedy w pierwszym okresie po ślubie mówiłem na przykład: - Muszę wyjść na kilka godzin, postaram się jak najprędzej wrócić - nie protestowała, ale twarz jej pełna smutnej rezygnacji wyrażała najlepiej, jak martwi się z tego powodu. Tak więc

często albo brałem ją ze sobą, albo, jeśli tylko mogłem, odwoływałem spotkanie na mieście. Jej przywiązanie do mnie było tak silne, że gdy pewnego dnia wyjeżdżałem z Rzymu, zresztą na bardzo krótko, odprowadziła mnie na dworzec i w chwili pożegnania odwróciła twarz, by ukryć przede mną oczy pełne łez. Udałem, że nie dostrzegam jej rozpaczy, lecz przez całą drogę prześladowało mnie wspomnienie tego wstydliwie ukrywanego, nie powstrzymanego płaczu; od tej pory nie wyjeżdżałem już nigdzie bez niej. Teraz natomiast, kiedy oznajmiałem, że wychodzę, nie dostrzegałem już na jej drogiej twarzy owego przygnębienia pomieszanego z odrobiną buntu; odpowiadała mi spokojnie, często nie podnosząc nawet oczu znad książki, o ile zajęta była czytaniem: - Dobrze, wobec tego zobaczymy się przy kolacji, nie spóźniaj się, proszę. - Czasami po prostu wyglądało na to, że nie miałaby nic przeciwko temu, by moja nieobecność przeciągała się jak najdłużej. Mówiłem jej na przykład: - Muszę wyjść. Wrócę około piątej. - A ona:

- Możesz się nie spieszyć... jestem bardzo zajęta. - Pewnego razu napomknąłem żartobliwie Emilii, że chciałaby pewnie, bym jak najrzadziej pokazywał się w domu; nie odpowiedziała mi wprost, tylko napomknęła wymijająco, że każde z nas ma tyle swoich spraw do załatwienia i w związku z tym tak niewiele czasu, iż najwygodniej byłoby nam obojgu spotykać się tylko przy posiłkach. Była to gruba przesada, bo praca nad scenariuszem zajmowała mi tylko popołudnia, a resztę dnia zawsze starałem się spędzać z Emilią. Lecz od tej chwili zacząłem wychodzić z domu także i rano.

Dopóki wiedziałem, że Emilii smutno jest beze mnie, wychodziłem z domu z lekkim sercem, uszczęśliwiony tym niezaprzeczalnym dowodem miłości. Gdy jednak zorientowałem się, że moja obecność ani ją ziębi, ani grzeje, a nawet przedkłada samotność nad moje towarzystwo, zaczął mnie nurtować głęboki niepokój; czułem się jak człowiek, który traci grunt pod nogami. Spędzałem teraz poza domem nie tylko popołudnia, ale, jak już wspomniałem, i ranki, tylko dlatego, by rozmyślać samotnie nad nową i tak dla mnie gorzką obojętnością Emilii. Nie okazywała w najmniejszym stopniu, by brakowało jej mojego towarzystwa, pogodnie, a nawet z wyraźną ulgą, obywatła się beze mnie. Z początku próbowałem się pocieszać, wmawiając sobie, że po dwóch latach małżeństwa przychodzi coś w rodzaju przyjaznego pobłażliwego przyzwyczajenia, które jest niestety nieuniknionym następstwem miłości: pewność, że się jest kochanym, zabija wszelką namiętność w stosunkach między małżonkami. Ale czułem, że nie jestem na właściwym tropie: tak, czułem, i to było decydujące, bo myśli nawet najbardziej precyzyjne i logiczne mogą mylić, ale przeczucia, choćby niejasne i powikłane, nigdy. Krótko mówiąc, czułem, że Emilia tak łatwo zrezygnowała z mojego towarzystwa nie dlatego, by uważała to za smutną konieczność, pozostającą bez wpływu na nasze pożycie, ale dlatego, że nie była już we mnie zakochana tak jak przedtem, a może nawet w ogóle przestała mnie kochać. I że musiało jednak zajść coś takiego, co zmieniło jej uczucie, niegdyś tak silne i wyłączone.

ROZDZIAŁ III

W okresie kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z Battistą, znajdowałem się w sytuacji niezwykle trudnej, niemal rozpaczliwej, i nie wiedziałem, jak z niej wybrnąć.

Wszystkie komplikacje finansowe wiązały się z kupnem mieszkania, na które właśnie wpłaciłem zaliczkę, choć nie miałem pojęcia, co zrobię, by zdobyć pieniądze na dalsze raty. Przez pierwsze dwa lata po ślubie mieszkaliśmy z Emilią w wynajętym umeblowanym pokoju.

Kobieta inna niż Emilia nie czułaby się może nieszczęśliwa z powodu tego prowizorycznego rozwiązania sprawy mieszkaniowej, lecz Emilia, godząc się na to, dała mi największy dowód miłości, jaki żona może dać mężowi. Była ona kobietą kochającą ponad wszystko ognisko domowe i w owej pasji kryło się coś więcej niż ta naturalna skłonność, właściwa każdej niewieście; było to coś przypominającego zazdrosną i gwałtowną namiętność, niemal głód, coś silniejszego od niej samej, bo z pewnością było dziedziczne. Pochodziła z biednej rodziny; gdy ją poznałem, była maszynistką; przypuszczam, że w jej umiłowaniu domu wyrażały się bezwiednie nieosiągalne marzenia ludzi źle sytuowanych, nie mogących stworzyć sobie nigdy przyzwoitych warunków mieszkaniowych. Nie wiem, czy wychodząc za mąż łudziła się, że spełnią się wreszcie jej sny o własnym domu; lecz przypominam sobie, że popłakała się, gdy w kilka dni po zaręczynach powiedziałem jej, iż początkowo będziemy się musieli

zadowolić wynajętym pokojem, ów płacz był nie tylko wyrazem gorzkiego zawodu z powodu nie spełnionego marzenia, ale uwydatniał także siłę tego marzenia, które było dla niej raczej racją bytu niż pragnieniem.

Tak więc żyliśmy przez dwa lata w tym wynajętym pokoju, ale w jakim pedantycznym porządku, w jakiej czystości utrzymywała go Emilia! Czuło się, że robi wszystko, byle tylko mieć złudzenie, że ten odnaleziony kąt jest jej własnym domem, i w braku własnych mebli otaczała najtroskliwszą opieką stare masywne graty stojące w naszym pokoju. W wazonie na biurku nigdy nie brakowało kwiatów; moje rękopisy ułożone były zawsze w idealnym porządku, jak gdyby zapraszając mnie do pracy i gwarantując maksimum spokoju i wygody; na stoliczku, przy którym pijaliśmy herbatę, zawsze leżały serwetki i stało blaszane pudełko pełne biszkoptów; było rzeczą, nie do pomyślenia, by po pokoju walały się jakieś części garderoby, by cokolwiek zbytecznego leżało na krzesłach czy na łóżku, jak to często bywa przy tego rodzaju ciasnocie. Rano byle jak sprzątała nasz pokój służąca, a potem Emilia osobiście brała się do robienia porządków, tak że wszystko dokoła błyszczało lustrzanym połyskiem, nawet mosiężne gałki przy oknach i biegnące wzdłuż ścian listwy od podłogi. Wieczorem słała łóżko sama, bez pomocy służącej; poduszki były symetrycznie ułożone, kołdry nieskazitelnie wygładzone, po jednej stronie leżała jej batystowa koszulka a po drugiej moja piżama. Rano wstawiała pierwsza, szła do kuchni, przygotowywała śniadanie i przynosiła mi je na tacy. Robiła to wszystko dyskretnie, w milczeniu,

bez cienia ostentacji, lecz tak ją to pochłaniało, że jej skupienie i przejęcie zdradzało najwyraźniej, iż wkłada w te czynności całą pasję życiową. Jednakże pomimo owych heroiczych wysiłków, wynajęty tuzinkowy pokój pozostawał nadal wynajętym pokojem; trudno było się łudzić, że jest inaczej. Tak więc od czasu do czasu, w chwilach zmęczenia czy załamania, Emilia żaliła mi się łagodnie i bez buntu, lecz z pewną dozą goryczy, pytając, jak długo potrwa jeszcze ta nasza poniewierka. Zdawałem sobie sprawę, że jej cicha skarga jest wyrazem prawdziwego cierpienia i gnębiła mnie myśl, że prędzej czy później, choćby kosztem nadludzkiego wysiłku, muszę się zdobyć na stworzenie jej własnego domu.

W końcu, jak już wspomniałem, zdecydowałem się na kupno mieszkania, nie dlatego, bym zdobył odpowiednie środki na ten cel, środki, których brakowało mi dotychczas, ale dlatego, że rozumiałem mękę Emilii i obawiałem się, iż pewnego dnia owo cierpienie przekroczy kres jej wytrzymałości. Zaoszczędziłem przez te dwa lata niewielką sumkę pieniędzy i trochę dopożyczyłem; tym sposobem mogłem wpłacić pierwszą ratę.

Zrobiwszy to, nie doznawałem radosnych uczuć mężczyzny, który szykuje mieszkanie dla żony; wprost przeciwnie, byłem niespokojny i przejęty, nie wiedziałem bowiem, jak sobie poradzę za kilka miesięcy, kiedy przyjdzie do płacenia drugiej raty. Chwilami wpadałem po prostu w rozpacz i miałem niemal żal do Emilii, że na skutek swojej upartej pasji zmusiła mnie do popełnienia nierozważnego i niebezpiecznego kroku.

Jednakże wielka radość Emilii na wiadomość o kupnie oraz późniejsze natężenie jej uczuć w stosunku do mnie, zwłaszcza w dniu kiedy po raz pierwszy weszliśmy do nowego, jeszcze nie umeblowanego mieszkania, kazały mi na pewien czas zapomnieć o troskach i niepokoju. Powiedziałem już, że miłość Emilii dla domu miała charakter namiętności; dodam, że tego dnia owa namiętność wydała mi się ściśle związana i pomieszana ze zmysłowością, jak gdyby fakt, że wreszcie kupiłem jej mieszkanie, uczynił mnie w jej oczach nie tylko miłszym, ale także bliższym i bardziej pożądanym w sensie czysto fizycznym.

Poszliśmy obejrzeć mieszkanie i początkowo Emilia chodziła ze mną po pustych i zimnych pokojach; planowaliśmy, na co przeznaczymy każdy pokój i jak ustawimy meble. Ale pod koniec wizyty, gdy podszedłem do jednego z okien, by je otworzyć i nacieszyć się pięknym widokiem, ona nagle przytuliła się do mnie mocno, całym ciałem, i szepnęła, żebym ją pocałował. Było to coś całkiem nowego u niej, zazwyczaj tak dyskretniej i nieśmiałej w stosunkach miłosnych. Zaskoczony tą nowością oraz tonem jej głosu, pocałowałem ją, tak jak chciała. Podczas tego pocałunku, który był jednym z najbardziej gwałtownych i namiętnych, jakieśmy dotąd wymienili, poczułem, że Emilia przyciska się do mnie coraz mocniej, jak gdyby pragnęła bardziej intymnego zbliżenia; potem jednym szarpnięciem ściągnęła spódnicę, odpięła bluzkę i przywarła swoim brzuchem do mojego. Aż wreszcie, po pocałunku, cichuteńko, lecz sugestywnie wyszeptała mi do ucha, że chce, bym ją wziął, i całym

swoim ciężarem pociągnęła mnie na podłogę. Kochaliśmy się na ziemi, na zakurzonej posadzce pod parapetem tego okna, które chciałem otworzyć. I w płomieniu tego miłosnego zbliżenia, tak nieokiełznanego i dziwaczного, odczułem nie tylko jej miłość do mnie, ale przede wszystkim ujście jej pasji posiadania domu, która objawiła się spontanicznie w przypiływie nagłej zmysłowości. Słowem, w tym stosunku miłosnym na brudnej podłodze, w półcieniu jeszcze pustego pokoju, Emilia oddała się ofiarodawcy mieszkania, nie mężowi. I te nagie ściany, pachnące świeżym jeszcze wapnem i lakierem, wzbudziły w niej silniejsze pożądanie niż wszystkie moje dotychczasowe pieszczoty.

Od naszej wizyty w nowym mieszkaniu do samej przeprowadzki upłynęło jeszcze kilka miesięcy; podpisałem wszystkie kontrakty na imię Emilii, bo wiedziałem, że zrobi jej to przyjemność. Kupiliśmy też w tym okresie trochę mebli, tyle, na ile pozwoliły mi moje ograniczone środki finansowe. A tymczasem, gdy minęła pierwsza radość z powodu tego kupna, znowu zaczął mnie drążyć niepokój przed przyszłością i, jak już wspomniałem, chwilami ogarniała mnie po prostu rozpacz. Zarabiałem co prawda dostatecznie na skromne życie, a nawet odkładałem coś niecoś, jednakże te oszczędności nie mogły wystarczyć na zapłacenie drugiej raty. Moja rozpacz była tym dotkliwsza, że nie mogłem sobie ulżyć, rozmawiając o moich kłopotach z Emilią: nie chciałem psuć jej radości. Ale wspominam ten okres jako pełen nieustannego niepokoju, a nawet pewnego odpływu miłości dla Emilii. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, że ona

wcale się nie przejmuję, skąd zdobędę pieniądze, choć zna doskonale nasze warunki materialne. Niemile mnie to dotknęło i byłem zirytowany, że jest taka zadowolona, beztroska i nie myśli o niczym innym, jak tylko o kręceniu się po sklepach: codziennie z błogą satysfakcją oznajmiała mi o jakimś nowym zakupie.

Zadawałem sobie pytanie, jak może, Kochając mnie, nie odgadnąć, jakie ciężkie mam przed sobą problemy; pomimo to zdawałem sobie sprawę, że przypuszcza zapewne, iż skoro zdobyłem się na kupno mieszkania, to widocznie mam potrzebne na to pieniądze. Jednakże jej pogoda i zadowolenie, tak kontrastujące z moją ciężką troską, wydawały mi się oznaką egoizmu, a co najmniej gruboskórności.

Byłem tak przejęty w owym czasie, że zmieniłem nawet od dawna wyrobiony pogląd o sobie samym. Dotychczas uważałem się za intelektualistę, kulturalnego człowieka, pisarza i krytyka teatralnego, bo pracę dla teatru uznałem od dawna za swoje powołanie. Ta sylwetka moralna miała także odbicie w mojej powierzchowności: widziałem siebie jako młodego człowieka, którego nerwowość, bladość, krótki wzrok i niedbałość w ubraniu były zapowiedzią pisarskiej sławy z góry mi przeznaczonej. Lecz w tym okresie, pod brzemieniem ciężkiej troski, ów obraz tak pochlebny i tak wiele obiecujący przekształcił się w obraz zapędzonego w kozi róg biedaczyny, który z miłości do żony popełnił szalony krok i uwikłał się w kłopoty pieniężne na Bóg wie ile czasu. I nie byłem już tym zapoznanym geniuszem teatru, ale uganiającym się za byle zarobkiem

dziennikarzyną, współpracownikiem szmirowatych pism i brukowych gazet. Ten człowiek dla zaoszczędzenia przykrości żonie ukrywał przed nią swoje zmartwienia, biegał przez cały dzień po mieście w poszukiwaniu pracy, często na próżno, i myśl o długach spędzała mu sen z powiek; słowem nie istniało już dla niego nic poza pieniędzmi. Był to obraz być może wzruszający, lecz pozbawiony godności i blasku, nędzny, konwencjonalny jak złe powieścidło; nienawidziłem go, bo myślałem, że z biegiem czasu, chcąc czy nie chcąc, stanę się do niego podobny. Ale tak wyglądała rzeczywistość; nie ożeniłem się z kobietą, która rozumiałaby i podzielała moje idee, ambicje i upodobania; ożeniłem się, porwany jej urodą, z maszynistką prostą i niewykształconą, pełną przesądów i ambicji klasy, z której pochodziła. Z tą pierwszą mógłbym klepać biedę w odnajętym pokoju, czekając na przyszłe sukcesy teatralne; tej drugiej natomiast musiałem dać ów wyśniony dom, kosztem - być może - wyrzeczenia się raz na zawsze tak drogich mi ambicji literackich.

Ponadto, w tym okresie, inne jeszcze przyczyny spotęgowały moje uczucie rozpaczliwej bezradności w stosunku do spraw materialnych. Czułem, że załamuję się wewnątrz pod wpływem osaczających mnie trudności, jak żelazna sztaba, która mięknie i zgina się w ogniu. Przyłapałem się na tym, że zazdroścę ludziom, którzy nie muszą borykać się z owymi trudnościami, ludziom bogatym i uprzywilejowanym; do zazdrości dołączyła się głęboka niechęć i ta z kolei nie dotyczyła poszczególnych osób, lecz miała charakter ogólny, abstrakcyjny, charakter dewizy życiowej. Słowem przeżywając te

ciężkie dni, uświadamiałem sobie powoli, że moje rozdrażnienie wywołane z braku pieniędzy zmienia się w bunt przeciwko niesprawiedliwości, której ofiarą jestem zarówno ja, jak i inni podobni do mnie ludzie. Zdawałem sobie sprawę, że te nieuchwytnie przemiany, wynikające z moich jak najbardziej subiektywnych odczuć, przekształcają się w obiektywne refleksje o charakterze ogólnoludzkim. Ten proces odbywał się nie tylko w moich myślach, ale również w rozmowach, które sprowadzałem bezwiednie na ten właśnie temat. Uświadamiałem sobie także, że wzrasta moja sympatia dla ugrupowań politycznych, walczących przeciwko niesprawiedliwościom i korupcji owego społeczeństwa, które uważałem za winne moich udręk i kłopotów. Przeciwko temu społeczeństwu, które, jak przekonałem się na sobie, pozwalało ginąć biednym, a faworyzowało bogatych. U ludzi prostych, niewykształconych te przemiany przychodzą bezwiednie, bez udziału świadomości, w której zakamarkach na skutek tajemnego, alchemicznego procesu egoizm staje się altruizmem, nienawiść miłością, lęk odwagą; lecz dla mnie, przyzwyczajonego do analizowania samego siebie, ten proces był jasny i widoczny, jak gdybym obserwował go u kogoś innego. Wiedziałem więc, że ulegam pobudkom osobistym i ściśle materialnym i przeobrażam je w ogólnoludzkie pojęcia i zasady.

Nigdy nie chciałem zapisać się do żadnej partii (co należało do rzadkości w niespokojnych powojennych czasach), właśnie dlatego że, jak mi się wydawało, nie umiałbym w przeciwieństwie do innych brać

udziału w życiu politycznym z pobudek osobistych, lecz tylko z przekonania, którego brakło mi dotychczas. Czułem się więc głęboko upokorzony, gdy zacząłem uświadamiać sobie, że moje myśli, idee, słowa wiążą się coraz ściślej z moimi interesami i zmieniają barwę w związku z trudnościami wypływającymi w danej chwili. „A więc w niczym nie różnię się od innych - myślałem ze złością. - Tylko dlatego, że mam puste kieszenie, marzę o odnowieniu świata.” Lecz owa złość była bezpłodna; i wreszcie pewnego dnia, gdy zmoła mnie rozterka czy też opuściła stanowczość, dałem się namówić jednemu z przyjaciół i zapisałem się do partii komunistycznej. Zaraz potem pomyślałem sobie, że raz jeszcze postąpiłem nie jak geniusz nie znany jeszcze światu, ale jak pierwszy lepszy zagłodzony pismak czy gryzipiórek, w którego tak obawiałem się przeistoczyć w przyszłości. Jednakże stało się, byłem w partii i nie mogłem się już wycofać.

Reakcja Emilii na tę wiadomość była bardzo charakterystyczna: - Tak, ale co do pracy, to możesz liczyć teraz tylko na komunistów, inni będą cię bojkotować. - Nie miałem odwagi powiedzieć jej tego, co myślę, a mianowicie, że nie przyszłoby mi do głowy zapisać się do partii, gdybym nie kupił dla niej tego mieszkania, którego cena przerastała moje możliwości finansowe. Tak więc jednym zdaniem wyczerpaliśmy ten temat.

W końcu przeprowadziliśmy się do nowego domu. Dziwnym zbiegiem okoliczności, który wydał mi się opatrnościowy, następnego dnia zetknąłem się z Battistą i, jak już powiedziałem, otrzymałem od niego propozycję napisania scenariusza filmowego.

Przez pewien czas czułem się, jak gdyby skrzydła wyrosły mi u ramion, i byłem wesoły jak nigdy dotąd: planowałem, że napiszę cztery, pięć scenariuszy, co pokryje koszty mieszkania, a potem znowu oddam się dziennikarstwu i umiłowanemu teatrowi. Moja miłość do Emilii wróciła i spotęgowała się jeszcze, tak że robiłem sobie nawet gorzkie wyrzuty, iż mogłem źle o niej myśleć, posądzając ją o gruboskórność i egoizm. Lecz to nagłe przejaśnienie trwało krótko. Niespodziewanie niebo mojego życia znowu się zachmurzyło. Początkowo ukazała się na nim chmurka niewielka, ale zdecydowanie ciemna.

ROZDZIAŁ IV

Spotkanie z Battistą miało miejsce w pierwszy poniedziałek października. W tydzień później wprowadziliśmy się do mieszkania, częściowo już umeblowanego. Owo mieszkanie - przyczyna tylu moich trosk - nie było w istocie ani duże, ani luksusowe, składało się z dwóch pokoi; spora bawialnia o podłużnym kształcie i ładna, ustawna sypialnia.

Łazienka, kuchnia i służbowy pokój były bardzo małe, zredukowane do minimum, jak to bywa w nowoczesnym budownictwie. Niewielki schowek, bez okna, Emilia postanowiła przeznaczyć na swoją garderobę. Nasze mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze świeżo wykończonego domu, który był tak biały i gładziutki, że robił wrażenie odlanego z gipsu; stał on przy wąskiej uliczce lekko opadającej w dół. Jedna jej strona zabudowana była kamienicami całkiem podobnymi do naszej, wzdłuż drugiej biegł otaczający ogród prywatnej willi mur, ponad którym sterczały gałęzie wysokich drzew. Widok był przepiękny, na co od razu zwróciłem uwagę Emilii; można było mieć złudzenie, że ten park, pełen wijących się alejek i klombów, z których tryskały fontanny, nie jest oddzielony od nas ulicą i murem, ale że możemy przechadzać się po nim, gdy tylko przyjdzie nam na to ochota.

Wprowadziliśmy się do mieszkania po południu, przez cały dzień byłem ogromnie zajęty i nie pamiętam już, gdzie i z kim jedliśmy kolację; pamiętam tylko, że o północy stałem w sypialni

przed lustrem oświetlonym trzema lampami i zdejmowałem krawat.

Nagle zobaczyłem w lustrze, że Emilia bierze z naszego łóżka jedną poduszkę i idzie z nią do drzwi bawialni. Zapytałem zdziwiony:

- Co ty robisz?

Powiedziałem to, nie oglądając się za siebie i stojąc w dalszym ciągu przed lustrem.

Zobaczyłem, że Emilia zatrzymała się na progu i spojrzała na mnie. - Nie obrazisz się chyba, jeżeli będę spała na tapczanie w sąsiednim pokoju? - powiedziała obojętnym tonem.

- Dzisiaj? - zapytałem zdziwiony, nie rozumiejąc jeszcze, o co chodzi.

- Nie, stale - odrzekła szybko. - Prawdę mówiąc marzyłam o nowym mieszkaniu także i z tego powodu... Ty lubisz sypiać przy otwartym oknie, a ja nie mogę się do tego przyzwyczaić... Budzę się codziennie o świcie, kiedy zaczynają pisać koguty, i potem nie mogę już zasnąć. Przez cały dzień chodzę niewyspana. No powiedz, nie gniewasz się, prawda? Uważam, że to najlepsze wyjście, żebyśmy spali osobno.

W dalszym ciągu nic nie rozumiałem i w pierwszej chwili poczułem tylko lekkie rozdrażnienie, spowodowane tą nieprzewidzianą zmianą. Podeszedłem do Emilii mówiąc: - Przecież to niemożliwe... mamy tylko dwa pokoje i ten przeznaczaliśmy na sypialnię, a tam stoją fotele i tapczan... Dlaczego? Zresztą byłoby ci niewygodnie spać zawsze na tapczanie.

- Nigdy nie miałam odwagi ci tego powiedzieć - odrzekła

patrząc w bok, po czym spuściła oczy.

- Nigdy jakoś się nie skarżyłaś na to otwarte okno - nalegałem dalej. - Myślałem, że się do tego przyzwyczaiłaś.

Podniosła głowę i odniosłem wrażenie, że jest zadowolona, iż uchwyciłem się tego pretekstu: - Nigdy nie mogłam się przyzwyczaić... zawsze źle sypiałam... a ostatnio, może dlatego, że stałam się nerwowa, nie spałam prawie wcale... gdybyśmy chociaż wcześniej kładli się do łóżka, ale zawsze z tego czy innego powodu późno chodzimy spać, więc... - Nie dokończyła zdania i skierowała się do bawialni. Dogoniłem ją i powiedziałem prędko: - Zaczekaj... jeśli chcesz, mogę nie otwierać okna... dobrze... będziemy sypiali przy zamkniętym oknie.

Mówiąc to uświadomiłem sobie, że moja propozycja nie była tylko wyrazem czulej uległości: chciałem wypróbować Emilię. Zobaczyłem, że potrząsa głową i odpowiada z lekkim uśmiechem: - Ależ nie... Po co się masz poświęcać... sam zawsze mówisz, że przy zamkniętym oknie masz wrażenie, że się dusisz... lepiej śpijmy osobno.

- Zapewniam cię, że będzie to dla mnie minimalne poświęcenie... przyzwyczaję się.

Zawahała się, po czym odrzekła z niespodziewaną stanowczością: - Nie chcę żadnych poświęceń... ani dużych, ani małych... będę spała w salonie.

- A gdybym ci powiedział, że sprawi mi to przykrość i że chcę, żebyś ze mną spała?

Znowu się zawahała. Potem odpowiedziała właściwym jej dobrodusznym tonem: - Widzisz, jaki ty jesteś, Riccardo... nie chciałeś się zdobyć na to poświęcenie dwa lata temu, kiedyśmy się pobrali... a teraz chcesz mi ustąpić za wszelką cenę. Co ci to szkodzi? Tyle małżeństw sypia oddzielnie i mimo to się kochają. Tym sposobem będziesz miał większą swobodę rano, wychodząc do pracy... nie będziesz mnie budził.

- Przecież powiedziałaś, że budzi cię zawsze pianie kogutów... nie wychodzę jeszcze do pracy, kiedy pieją koguty.

- Ach, jakiś ty uparty - zachnęła się niecierpliwie. I nie słuchając mnie dłużej, wyszła z pokoju.

Gdy zostałem sam, usiadłem na łóżku, które bez poduszki Emilii nasuwało już myśl o separacji i samotności. Zamyślony wpatrywałem się przez chwilę w otwarte drzwi, którymi wyszła moja żona. Zadawałem sobie pytanie, czy Emilia rzeczywiście nie chce spać ze mną dlatego, że przeszkadza jej światło, czy też po prostu nie chce spać ze mną?

Przeczuwałem, że prawdziwa jest ta druga hipoteza, choć całym sercem pragnąłem wierzyć w pierwszą.

Wiedziałem jednak, że gdybym nawet wziął za dobrą monetę wykręt Emilii, to i tak dręczyłyby mnie wątpliwości. Nie chciałem przyznać się do tego, że powinienem był zadać sobie inne pytanie: a może Emilia przestała mnie kochać?

Podczas gdy pogrążony w tych myślach nieruchomo patrzyłem przed siebie, Emilia krążyła między pokojem sypialnym a salonem

zabierając jeszcze dwa złożone prześcieradła, wyjęła z szafy, kołdrę i szlafrok. Jak zwykle z początkiem października było jeszcze ciepło i Emilia miała na sobie tylko cienką, przezroczystą koszulę nocną. Nie opisałem jeszcze, jak wyglądała Emilia, lecz teraz chcę to zrobić, choćby dlatego, by wyjaśnić, jakich uczuć doznawałem tego wieczoru. Emilia nie była wysoka, ale mnie - może dlatego, że byłem w niej zakochany - wydawała się bardziej postawna, a przede wszystkim bardziej majestatyczna od wszystkich kobiet, jakie dotychczas znałem. Nie umiałbym powiedzieć, czy postać była majestatyczna naprawdę, czy też przedstawiała się tak tylko w moich oczach, pamiętam tylko, że gdy w pierwszą noc po ślubie zdjęła pantofelki na wysokich obcasach, a ja podszedłem do niej i wziąłem ją w ramiona, zdziwiłem się, że jej czoło nie sięga mi nawet do ramienia. Lecz potem, gdy położyła się przy mnie na łóżku, nowa niespodzianka: jej nagie ciało wydało mi się masywne, krągłe, potężne, choć dobrze wiedziałem, że Emilia jest raczej drobnej budowy. Miała niespotykane piękną szlachetną linię szyi, prześliczne ramiona i ręce, pełne, jędrne, senne w ruchach. Twarz miała smagłą, nos raczej wydatny, ostro zarysowany, usta wypukłe, świeże, roześmiane, zawsze wilgotne, zęby olśniewająco białe. Oczy jej, wyjątkowo duże, brunatne o złotawym połysku, miały wyraz zmysłowy, a czasami, w chwilach miłosnego zbliżenia, stawały się zamglone i dziwnie wylęknione. Jak już wspomniałem, nie była silnie zbudowana, ale wyglądała na kobietę o wybujałych kształtach, może dzięki temu, że przy bardzo wąskiej talii wyraźnie odznaczały się jej biodra i piersi; a może

dlatego, że trzymała się prosto i ruchy jej były pełne godności; czy też dlatego, że jej smukłe, silne, długie nogi miały w sobie coś młodzieńczo prowokującego. Jednym słowem pełna była spokojnego, majestatycznego wdzięku, owego spontanicznego wdzięku, który jest wyłącznie darem natury i który dlatego właśnie pozostaje zawsze tajemniczy i nieokreślony.

Gdy owego wieczoru Emilia krążyła między salonem a sypialnią, wodziłem za nią wzrokiem w milczeniu, zmieszany i przybity zarazem; spoglądałem to na jej pogodną twarz, to na jej ciało, które przebijało mniej lub więcej wyraźnie przez muślinową koszulę; i nagle znowu obudziło się we mnie podejrzenie, że ona mnie już nie kocha, i nurtowało mnie natrętnie, jak gdybym doznał objawienia, że nasze ciała nigdy więcej się nie zespola.

Było to uczucie całkiem dotąd nie znane; mąciło mi się w głowie, sam nie wierzyłem, że coś podobnego mogło mi przyjść na myśl. Oczywiście, że miłość jest przede wszystkim uczuciem, ale jest także w nieuchwytnym, duchowym sensie zespoleniem ciał, tym właśnie zespoleniem, które dawało mi dotychczas tyle szczęścia i które uważałem za rzecz całkiem oczywistą i naturalną. Czułem się tak, jak gdyby nagle otworzyły mi się oczy, jak gdybym dostrzegł coś, co dotychczas było dla mnie niewidzialne, i zdałem sobie sprawę, że mogło zabraknąć owego zespolenia, co więcej, że go zabrakło. I jak człowiek, który zawisa nagle nad przepaścią, doznałem uczucia przykrych mdłości na myśl, że bez powodu, nasze intymne zbliżenia przemienia się w obcość, nieobecność, samotność.

Analizowałem to wstrząsające uczucie, podczas gdy Emilia myła się w łazience.

Odczuwałem krańcową bezsilność i zarazem gwałtowne pragnienie, by jak najprędzej ją przewyciężyć. Kochałem dotychczas Emilię bez żadnych przeszkód, prawie nieświadomie; moja miłość objawiała się zawsze jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, poprzez impuls nieprzemyślany, spontaniczny, natchniony, który, jak mi się dotąd zdawało, wypływał tylko i wyłącznie ze mnie. Teraz, po raz pierwszy, uzmysłowiłem sobie, że ten impuls powstawał i dojrzewał na skutek podobnego impulsu Emilii, i widząc ją tak zmienioną bałem się, że nie potrafię jej już kochać tak naturalnie, po prostu, z takim uniesieniem jak dawniej. Obawiałem się jednym słowem, że owo cudowne zespolenie, które dopiero teraz doceniłem w całej pełni, zakłócone zostanie chłodnymi refleksjami z mojej strony, a z jej strony... Otóż właśnie nie wiedziałem, jakie będzie jej zachowanie, lecz przeczuwałem, że jeśli dostrzeże u mnie pewien przymus, będzie mogła być w najlepszym razie obojętną partnerką.

W tym momencie Emilia zjawiła się w pokoju i przeszła obok mnie. Prawie bezwiednie pochyliłem się i chwyciłem ją za rękę, mówiąc: - Chodź tu... chcę z tobą pomówić.

W pierwszej chwili cofnęła się instynktownie, po czym usłuchała i usiadła na łóżku, lecz w pewnej odległości ode mnie. - Pomówić? O czym chcesz pomówić?

Sam nie wiem czemu, niepokój ścisnął mnie za gardło. A może była to tylko nieśmiałość, uczucie, jakiego nie doświadczałem nigdy

dotąd w stosunku do Emilii; i to właśnie, bardziej niż co innego, zdawało się potwierdzać zmianę, jaka między nami zaszła.

Powiedziałem: - Tak, chcę z tobą mówić. Mam wrażenie, że coś się zmieniło między nami.

Spojrzała na mnie z ukosa i odrzekła stanowczo: - Nie rozumiem cię. Dlaczego miałyby się coś zmienić? Nic się nie zmieniło.

- Ja się nie zmieniłem, ale ty - tak.

- Wcale się nie zmieniłam... jestem taka sama jak zawsze.

- Dawniej bardziej mnie kochałaś... było ci przykro, gdy wychodziłem i zostawiałem cię samą... a poza tym nie przeszkadzało ci to, że śpimy razem... wprost przeciwnie.

- Ach, jeśli o to idzie - zawołała, ale zauważyłem, że ton jej głosu był już mniej pewny - wiedziałam od razu, że pomyślisz sobie coś podobnego... dlaczego mnie tak męczysz? Nie chcę spać razem z tobą, bo chcę się wreszcie wyspać, a z tobą to niemożliwe, to wszystko.

Poczułem teraz, że wszystkie moje argumenty i zły humor topnieją jak wosk na ogniu:

Emilia była przy mnie w swojej cienkiej przezroczystej koszulce, która zdawała się ukazywać tylko najbardziej intymne i sekretne części jej ciała; ogarnęło mnie silne pożądanie i wydawało mi się dziwne, że ona tego nie czuje, że nie tuli się do mnie w milczeniu, tak jak bywało dawniej, gdy zmieszani wymienialiśmy szybkie spojrzenia. Z drugiej strony owo pożądanie napełniało mnie nadzieją; wierzyłem, że nie tylko odnajdę owo miłosne uniesienie w stosunku

do niej, ale że i w niej wskrzeszę podobny impuls w stosunku do mnie.

Powiedziałem bardzo cicho: - Jeśli nic się nie zmieniło, dowiedz mi tego.

- Przecież stale daję ci na to dowody, każdego dnia, o każdej godzinie.

- Nie, teraz.

Mówiąc to pochyliłem się i niemal brutalnie chwyciłem ją za włosy, próbując ją pocałować. Łagodnie pozwoliła mi przyciągnąć się do siebie, lecz w ostatniej chwili lekkim ruchem głowy uchyliła się od pocałunku, tak że moje usta dotknęły jej szyi.

Puściłem ją i zapytałem: - Nie chcesz, żebym cię pocałował?

- Nie o to idzie - szepnęła leniwie poprawiając sobie włosy - gdyby szło tylko o pocałunek, to z największą chęcią... ale tobie to nie wystarczy, a już jest bardzo późno.

Poczułem się obrażony tymi słowami, obojętnymi i pełnymi rozsądku: - Nigdy nie jest późno na te rzeczy.

Znowu próbowałem ją pocałować, przyciągając ją do siebie ramieniem. Krzyknęła: -

Oj, boli!

Ledwie ją dotknąłem, a pamiętałem przecież, że w okresie naszej miłości ścisnąłem ją w ramionach ze wszystkich sił i ona nawet nie westchnęła. Powiedziałem zirytowany: - Dawniej nie sprawiałem ci bólu.

- Masz ręce jak z żelaza - odpowiedziała. - Nie zdajesz sobie z

tego sprawy... na pewno zrobiłeś mi siniaka.

Mówiła łagodnym tonem, ale, jak zauważyłem, bez cienia kokieterii.

- No więc - nalegałem szorstko - pocałujesz mnie czy nie?

- Już cię całuję - pochyliła się i złożyła macierzyński pocałunek na moim czole.

- A teraz pozwól mi iść spać... już późno.

Nie tak wyobrażałem sobie ten pocałunek; uchwyciłem ją obydwoma rękami w pasie, tuż nad biodrami: - Emilio - zawołałem, pochylając się nad nią, choć próbowała mi się wyrwać - nie takiego pocałunku oczekiwałem od ciebie.

Odepchnęła mnie, powtarzając to samo co przedtem, tylko zdecydowanie niegrzecznym tonem: - Ach, zostaw mnie... to boli!

- To nieprawda, to nie może być prawda - wycodziłem przez zaciśnięte zęby, rzucając się na nią.

Tym razem wywinęła mi się kilkoma energicznymi ruchami, wstała i jak gdyby nagle powziąwszy decyzję powiedziała bez cienia wstydu: - Jeżeli chcesz mieć ze mną stosunek, proszę bardzo... ale nie maltretuj mnie, nie mogę znieść, żebyś ścisnął mnie w ten sposób.

Po prostu oniemiałem. Powiedziała to wszystko zimno, praktycznie, bez cienia uczucia, co do tego nie było wątpliwości. Przez chwilę siedziałem na łóżku nieruchomo, ze złożonymi rękami, ze spuszczoną głową. Potem znowu usłyszałem jej głos: - Więc jeżeli chcesz, no to dobrze... chcesz?

Nie podnosząc głowy odpowiedziałem cicho: - Tak, chcę. - Była

to nieprawda, nie pragnąłem jej już, tylko chciałem przecierpieć do końca, przeżyć do ostatka to nowe dziwne uczucie obcości. Usłyszałem, jak powiedziała „Dobrze”, a potem jej kroki za moimi plecami po drugiej stronie łóżka. Pomyślałem, że musi zdjąć tylko koszulę i przypomniałem sobie, że dawniej patrzyłem na tę prostą czynność oczyma pełnymi zachwyty, jak rozbójnik z bajki, gdy po wypowiedzeniu zaklęcia widzi otwierające się powoli drzwi grotu, w której ukryte są bezcenne skarby. Ale tym razem nie chciałem patrzeć, wiedziałem bowiem, że patrzyłbym na nią innymi oczyma, nie dziecinnymi i czystymi pomimo pożądliwości, lecz okrutnymi na skutek jej obojętności, uwłaczającymi zarówno jej, jak i mnie. Dalej siedziałem bez ruchu, schylony, z założonymi rękami i spuszczoną głową. Po chwili usłyszałem ciche skrzypnięcie sprężyn materaca, Emilia kładła się do łóżka. Potem zaszeleściło prześcieradło i ona znowu odezwała się tym swoim strasznym, nowym głosem: - No więc chodź... na co czekasz?

Nie obejrzałem się i nie poruszyłem z miejsca, tylko nagle zadałem sobie pytanie, czy zawsze tak wyglądały stosunki między nami? Tak, odpowiedziałem od razu, mniej więcej zawsze tak samo, ona się rozbierała i kładła się na łóżku, jakże mogłoby być inaczej? Ale zarazem wszystko było inaczej. Nigdy dotąd nie było tej uległości mechanicznej, zimnej, biernej, która biła z tonu jej głosu, a nawet ze skrzypiących sprężyn materaca i szelestu przygniecionej kołdry. Dawniej wszystko działo się w obłoku natchnionego pośpiechu, pijanej nieświadomości, bezgranicznego oddania. Zdarza się czasami,

że człowiek, pochłonięty rozważaniem poważnych problemów, kładzie w zamyśleniu jakiś przedmiot, książkę, szczotkę czy but nie wiadomo gdzie, a potem, gdy mija roztargnienie, szuka go całymi godzinami i w końcu znajduje w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: na szafie, w najodleglejszym kącie, w szufladzie. Dotychczas coś podobnego zdarzało mi się w miłości.

Wszystko odbywało się zawsze w błyskawicznym, szalonym, urzekającym roztargnieniu i zawsze znajdowałem się w ramionach Emilii, nie wiedząc niemal, jak się to stało; nie pamiętałem nigdy, co działo się od chwili, gdy spokojnie siedzieliśmy obok siebie, do chwili, gdy leżeliśmy spleceni w końcowym uścisku. Teraz nie było w niej ani śladu owego roztargnienia, a więc zabrakło go i we mnie. Teraz nawet w przypiływie pożądania mógłbym obserwować chłodno wszystkie jej odruchy, tak samo jak ona ze swej strony mogłaby obserwować moje.

Pomieszane we mnie uczucia rozdrażnienia i niesmaku skryzalizowały się nagle i przekształciły w konkretny obraz: miałem przed sobą nie żonę kochającą i kochaną, ale prostytutkę, trochę niecierpliwą i niedoświadczoną, która godziła się na stosunek, pragnąc tylko jednego: by był krótki i niezbyt męczący. Przez chwilę miałem ten obraz przed oczami niczym wizję, a potem zlał on mi się w jedno z Emilią leżącą za moimi plecami na łóżku. W tym samym momencie wstałem i wciąż nie oglądając się za siebie powiedziałem: -

To nie ma znaczenia... odeszła mi ochota. Ja pójdę spać tam, ty zostań tutaj. - I poszedłem na palcach do salonu.

Tapczan był już posłany i leżał na nim szlafroczek Emilii. Wziąłem ten szlafrok i pantofle ranne, które stały na ziemi, wróciłem do sypialni i położyłem to wszystko na krześle.

Ale tym razem nie mogłem się powstrzymać, by nie popatrzeć na nią. Leżała jeszcze w tej samej pozie jak przedtem, kiedy wyciągnęła się na łóżku i powiedziała mi: „no chodź...”; naga z głową opartą na ramieniu, z oczyma otwartymi, lecz obojętnymi, bez wyrazu, z drugą ręką wyciągniętą wzdłuż ciała i zakrywającą łono. Tym razem, przeszło mi przez myśl to już nie prostytutka, ale nierzeczywista wizja tęskna, niedostępna i tak daleka, jak gdyby nie znajdowała się o kilka kroków ode mnie lecz w jakiejś odległej krainie poza rzeczywistością i poza kręgiem moich uczuć.

ROZDZIAŁ V

Owego wieczoru miałem niewątpliwie przeczucie, że zaczyna się dla mnie bardzo trudny okres, ale, rzecz dziwna, nie wyciągnąłem z zachowania Emilii konsekwencji, jakie powinienem był wyciągnąć. Okazała się bezsprzecznie chłodna, obojętna, i to do tego stopnia, że wolałem zrezygnować z miłości niż posiąść ją w ten sposób. Ale kochałem ją, a miłość skłania nie tylko do złudzeń, ale i do zapominania wszelkiej urazy. Sam nie wiem dlaczego, ale nazajutrz to wszystko, co stało się poprzedniego wieczora i co powinno było nabrać ogromnej wagi w moich oczach, straciło wiele ze swego znaczenia.

Zbagatelizowałem wrogie nastawienie Emilii i uznałem ten cały incydent za zwykłą sprzeczkę małżeńską.

Łatwo zapomnieć o tym, czego się nie chce pamiętać; przypuszczam zresztą, że tak samo było i z Emilią, która kilka dni później - choć nie zrezygnowała ze spania w salonie, nie odrzuciła mojej miłości. Co prawda i tym razem zachowała się zimno i biernie, lecz - jak to bywa - to samo, co wydało mi się odpychające pierwszego wieczoru, kilka dni później wydało mi się nie tylko znośne, lecz nawet dla mnie pochlebne. Jednym słowem, sam nie zdając sobie z tego sprawy, znalazłem się już na śliskim terenie: ulegając wewnętrznej perswazji wypływającej z potrzeby złudzeń brałem uprzednią oziębłość za objaw miłości. Owego pierwszego wieczoru pomyślałem, że Emilia zachowuje się jak prostytutka; lecz

nieledwie w tydzień później pogodziłem się z tym, by kochać ją i być przez nią kochanym w ten właśnie sposób; a ponieważ w głębi duszy bałem się, że ona już w ogóle nie zechce mnie kochać, byłem jej wdzięczny za tę chłodną i niecierpliwą bierność, jak gdyby była ona rzeczą normalną w naszych miłosnych stosunkach.

Lecz jeśli nie przestałem się łudzić, że Emilia kocha mnie tak jak dawniej, a raczej, jeśli wolałem się nie zastanawiać nad naszą miłością, to nurtowała mnie inna sprawa związana ze zmianą, jaka zaszła między nami. Dotyczyła ona mojej pracy.

Zrezygnowałem chwilowo z moich ambicji teatralnych i poświęciłem się filmowi, tylko po to, by spełnić pragnienia Emilii i kupić jej mieszkanie. Dopóki pewien byłem jej miłości, praca scenarzysty nie wydawała mi się zbyt ciężka; ale po wydarzeniu tamtego wieczoru poczułem nagle, że mam jej dość, ogarnął mnie niepokój i zniechęcenie. Jak już wspomniałem, podjąłem się tej pracy, jak zresztą podjąłbym się i każdej innej, jeszcze mniej wdzięcznej i dalszej od moich zainteresowań, tylko ze względu na miłość do Emilii. Teraz, gdy zabrakło mi tej miłości, praca straciła swoją wartość i rację bytu i przybrała w moich oczach charakter pańszczyzny.

Pragnę poświęcić kilka słów zawodowi scenarzysty, choćby tylko po to, aby lepiej wytłumaczyć mój ówczesny nastrój. Jak wiadomo, scenarzysta pisze - najczęściej przy współpracy reżysera i drugiego scenarzysty - scenariusz, czyli opracowanie tematu, według którego kręci się później film. W scenariuszu, zgodnie z przebiegiem

akcji, są wyszczególnione wszystkie ruchy i słowa aktorów oraz wskazówki, jak ma posuwać się kamera.

Scenariusz jest więc zarazem i dramatem, i mimiką, i techniką kinematograficzną, i dekoracją, i reżyserią. Ale chociaż rola scenarzysty w filmie jest ogromnie ważna i znajduje się niemal na pierwszym planie, pozostaje ona zawsze podrzędna i nieokreślona, na skutek do dziś dnia przyjętych kanonów sztuki kinematograficznej. Istotnie, jeśli sztukę ocenia się z punktu widzenia bezpośredniego wyrazu - a zresztą, jak można by oceniać ją inaczej - scenarzysta jest artystą, który choć daje filmowi z siebie wszystko, co najlepsze, nie ma potem tej satysfakcji, że potrafił wyrazić samego siebie. Tak więc gdyby nawet umysł jego był jak najbardziej twórczy, nie może on być niczym innym, jak tylko dostawcą pomysłów, trików technicznych, wątków psychologicznych i literackich; dalszy ciąg należy do reżysera, który sam decyduje o tym, jak wykorzystać ten materiał i jaką mu nadać formę.

Scenarzysta jest więc człowiekiem, który zawsze pozostaje w cieniu, jest tym, który wypruwa sobie żyły po to, by zdobył rozgłos ktoś inny; choć powodzenie filmu zależne jest w dwóch trzecich właśnie od scenarzysty, nie zobaczy on nigdy swojego nazwiska na reklamowych afiszach, na których wydrukowane są tylko nazwiska aktorów, reżysera i producenta. Może co prawda, jak dzieje się bardzo często, stać się swego rodzaju mistrzem w tym podrzędnym zawodzie i mieć ogromne dochody; ale nie może powiedzieć nigdy: „Ten film robiłem ja... w tym filmie dałem wyraz swojej twórczości... ten film to

ja.” To może powiedzieć tylko reżyser i rzeczywiście on tylko firmuje film. Scenarzysta natomiast musi zadowolić się wyłącznie pieniędzmi, które otrzymuje za swój udział i które w końcu stają się wyłączną racją i celem jego pracy. Tak więc scenarzyście nie pozostaje nic innego, jak używać życia - jeśli to potrafi - za te pieniądze, które są jedynym rezultatem jego trudu; płodzi zatem jeden scenariusz za drugim, to dramat, to komedię, to film awanturniczny, to sentymentalny bez przerwy, bez chwili wytchnienia. Można go porównać do tych guwernantek, które opiekują się coraz to innymi dziećmi i nie mają czasu przywiązać się do jednego wychowanka, kiedy już go opuszczają i zaczynają zajmować się następnym, a potem cały owoc ich wysiłków zagarnia matka, bo tylko ona ma prawo do dziecka.

Ale oprócz tych ujemnych stron, że tak powiem, zasadniczych i niezmiennych, w zawodzie scenarzysty wyłaniają się inne jeszcze mankamenty, zależne od rodzaju i wartości artystycznej filmu oraz od charakteru współpracowników; w przeciwieństwie do reżysera, któremu producent pozostawia wolną rękę, scenarzysta może tylko odrzucić lub przyjąć proponowany mu scenariusz; lecz gdy raz go przyjmie, nie ma prawa dobierać sobie współpracowników: jego wybrano, on nie wybiera. Bywa i tak, że zależnie od kaprysu czy wygody producenta, czy też po prostu przypadkiem, scenarzysta musi współpracować z ludźmi, których nie lubi, którzy nie dorównują mu pod względem umysłowym i kulturalnym, którzy drażnią go swoim usposobieniem czy brakiem wychowania. A pracować wspólnie nad scenariuszem to bynajmniej nie to samo, co pracować razem w biurze

albo w fabryce, gdzie każdy ma swoje odrębne zajęcie i gdzie stosunki koleżeńskie można w praktyce zredukować do minimum. Pracować wspólnie nad scenariuszem, to znaczy przestawać ze sobą od rana do nocy, łączyć i zlewać w jedno własną inteligencję, wrażliwość, własne ja z osobowością innych współpracowników; słowem przez okres kilku miesięcy jest się zmuszonym do wytwarzania sztucznej, pełnej fałszu zażyłości, której jedynym celem jest zrobienie filmu, czyli w ostatecznym podsumowaniu - jak już podkreśliłem - zdobycie pieniędzy; poza tym owa zażyłość jest jak najgorszego gatunku, to znaczy męcząca i nad wyraz denerwująca, opiera się bowiem nie na milczącej pracy, jak na przykład badania uczonych, którzy poświęcają się wspólnie jakiemuś wynalazkowi, ale na słowie. Zazwyczaj reżyser ściąga swoich współpracowników już z samego rana, ponieważ czas na pisanie jest dość ograniczony; a potem do późnej nocy scenarzyści nie robią nic, nic, tylko rozmawiają przeważnie o sprawach związanych z pracą, ale często z powodu przemęczenia czy wrodzonego gadulstwa zbaczają na wszelkie możliwe tematy. Ten opowiada sprośne anegdotki, tamten wygłasza swoje opinie polityczne, inny bawi się w psychologa, inny jeszcze plotkuje, nie szczędząc nikogo; są i tacy, którzy zwierzają się ze swoich spraw osobistych. W powietrzu aż kłębi się dym z papierosów, na stole obok zapisanych arkuszy piętrzą się filiżanki po czarnej kawie, a scenarzyści, którzy przyszli rano elegancy, schludni, z przylizanymi włosami, wieczorem siedzą w pogniecionych koszulach, potargani, spoceni, zziajani. Scenariusz fabrykuje się rzeczywiście tak

mechanicznie, odruchowo, że odgrywa tu raczej rolę wysiłek woli i zainteresowanie materialne niż twórcze natchnienie.

Oczywiście może się zdarzyć, że film wyróżnia się wysokim poziomem artystycznym, że reżysera łączy ze współpracownikami zadawniona przyjaźń i szacunek, że, krótko mówiąc, praca przebiega w idealnych warunkach, jakie mogą powstać nawet przy najniewdzięczniejszym rodzaju zajęcia. Lecz taki szczęśliwy przypadek zdarza się rzadko, równie rzadko, jak zdarzają się dobre filmy. Właśnie gdy podpisałem kontrakt na mój drugi scenariusz, tym razem nie z Battistą, lecz z innym producentem, zabrakło mi otuchy i chęci do pracy. Ze wzrastającym rozdrażnieniem i wstrętem zacząłem odczuwać te przykre strony, o których uprzednio pisałem. Od samego rana dzień wydawał mi się podobny do piaszczystej pustyni, rozprężonej natrętym słońcem wymuszonego pseudonatchnienia, gdzie nie można znaleźć ani chwili odpoczynku. Gdy tylko wchodziłem do mieszkania reżysera i witał on mnie w swoim gabinecie wykrzyknikiem w rodzaju: - No co, przemyślałeś to wszystko? Znalazłeś rozwiązanie? - od razu ogarniało mnie zniechęcenie i bunt. Potem podczas pracy wszystko niecierpliwiło mnie i napełniało niesmakiem: i to niepotrzebne gadulstwo, o którym już wspominałem i które miało stanowić odprężenie w długich godzinach dyskusji, i upór, tępota czy po prostu różnica zdań wyłaniająca się podczas pisania scenariusza, a nawet pochwały, którymi obsypywał mnie reżyser za każdy mój pomysł. Te pochwały napełniały mnie goryczą, miałem bowiem takie wrażenie, jak gdybym

trwonił to, co miałem najlepszego dla pracy niewdzięcznej i wykonywanej z musu. I to właśnie było chyba najbardziej upokarzające; za każdym razem kiedy reżyser podrywał się z krzesła i wołał egzaltowanym tonem, tak często spotykanym w tym środowisku: - Brawo! Zastrześliłeś nas! - ogarniało mnie dziwne rozdrażnienie i nie mogłem powstrzymać się od myśli: „Mogłem to być umieścić w jakimś moim dramacie, w jakiejś mojej komedii.” A przy tym, rzecz dziwna, pomimo tych wewnętrznych oporów nigdy nie umiałem ani wykręcać się od pracy, ani wykonywać jej byle jak, naprędce. Współpraca nad scenariuszem przypomina czterokonny zaprzęg, w którym naprawdę ciągną silniejsze i bardziej porywiste konie, a inne kłusują tylko przy boku swoich towarzyszy. I właśnie ja przy całym moim zniecierpliwieniu i zniechęceniu byłem zawsze tym koniem, który ciągnął. Zorientowałem się bardzo szybko, że dwaj inni, zarówno reżyser jak i drugi scenarzysta, gdy tylko pojawiały się trudności, czekali zawsze, bym ja znalazł jakieś wyjście; ja natomiast, przeklinając sam siebie w duchu, nie dawałem się prosić i w mig podsuwałem rozwiązanie. Nie pchała mnie ku temu ambicja, ale odruch uczciwości, silniejszy niż wszystko inne: płacono mi, więc musiałem pracować. Jednakże za każdym razem odczuwałem coś w rodzaju wstydu, budziły się we mnie wyrzuty sumienia i żal, jak gdybym sprzedawał za marnych kilka groszy coś, co jest bezcenne i z czego mógłbym zrobić nieskończenie lepszy użytek.

Jak już wspomniałem, zdałem sobie sprawę ze wszystkich ujemnych stron tego rodzaju pracy dopiero w dwa miesiące po

podpisaniu pierwszego kontraktu z Battistą. Z początku nie mogłem zrozumieć, dlaczego od razu nie połąpałem się w sytuacji, dlaczego trzeba mi było na to aż tyle czasu. Zacząłem się nad tym zastanawiać i analizując ową niechęć, uczucie upokorzenia, jakie wywoływała we mnie ta praca, przedtem tak upragniona, nie mogłem nie skojarzyć w końcu tych dziwnych objawów ze zmianą uczuć Emilii. I zrozumiałem wtedy, że nie mogę ścierpieć tej pracy, ponieważ Emilia mnie już nie kocha, a w każdym razie zachowuje się tak, jak gdyby mnie nie kochała. Dopóki pewien byłem miłości Emilii, wykonywałem moje obowiązki z radością, z zapałem. Teraz, gdy straciłem tę pewność, opadły mi skrzydła i miałem wrażenie, że podjąłem się niewolniczej pracy, dla której marnuję mój talent i która jest tylko stratą czasu.

ROZDZIAŁ VI

Zacząłem więc żyć jak człowiek, w którym kiełkuje zarodek groźnej choroby, ale który nie może się zdecydować na pójście do lekarza. Starąłem się nie myśleć ani o Emilii, ani o mojej pracy. Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy będę musiał się nad tym zastanowić; ale właśnie dlatego, że zdawałem sobie sprawę, iż jest to nieuniknione, próbowałem jak najbardziej opóźnić tę chwilę. Wobec gnębiących mnie podejrzeń chciałem uniknąć tego momentu i podświadomie się go bałem. Tak więc w dalszym ciągu panowały między nami te stosunki, które początkowo wydawały mi się nie do zniesienia, a które teraz usiłowałem uważać za normalne: w ciągu dnia rozmowy obojętne, banalne, zdawkowe; w nocy od czasu do czasu miłość z domieszką zakłopotania i odrobiny okrucieństwa z mojej strony i objawami zupełnej obojętności ze strony Emilii. Pracowałem przy tym więcej niż kiedykolwiek, zachłannie, zaciekle, chociaż coraz to niechętniej i z coraz większym wstrętem.

Gdybym miał odwagę spojrzeć prawdzie w oczy i określić jasno moją sytuację w owym okresie, na pewno zrezygnowałbym i z miłości, i z pracy, bo przekonałbym się od razu, tak jak przekonałem się potem, że i jedna, i druga były już obumarłe. Ale brakło mi tej odwagi; a może łudziłem się, że czas rozwiąże wszystkie problemy, bez żadnego udziału z mojej strony.

Istotnie czas je rozwiązał, lecz nie tak, jak się spodziewałem. Tak więc między wrogą, oziębłą Emilią a znienawidzoną pracą mijały

mi dni w nastroju głuchego i ponurego oczekiwania.

A tymczasem praca nad scenariuszem, który robiłem dla Battisty, dobiegała końca; chciał, bym z nim dalej współpracował i nawet mi już wspomniał o nowym scenariuszu, nieporównanie ważniejszym. Battista, jak na ogół wszyscy producenci, był człowiekiem popędliwym i chaotycznym i jego, zresztą dosyć pobieżne, propozycje ograniczały się do tego rodzaju oświadczeń: „Kiedy skończy pan ten scenariusz, panie Molteni, zaraz weźmiemy się do następnego... to będzie coś rewelacyjnego ”; albo: „Niech pan będzie w pogotowiu, panie Molteni... w tych dniach będę miał dla pana pewną propozycję”, lub też trochę jaśniej: „Proszę nie podpisywać żadnych kontraktów, panie Molteni... bo za dwa tygodnie podpisze pan kontrakt ze mną”. Wiedziałem więc, że po tym pierwszym raczej błahym scenariuszu Battista zaproponuje mi nowy, naprawdę doniosły, który będzie oczywiście dużo lepiej płatny. Przyznaję, że mimo rosnącej we mnie odrazy do tego rodzaju pracy, moją pierwszą myślą było mieszkanie i nie spłacone jeszcze raty, więc w pewnym sensie propozycja Battisty uradowała mnie. A zresztą tak już jest z pracą w filmie, że nawet kiedy się jej nie lubi, każda nowa oferta jest mile widziana, a brak ofert od razu budzi podejrzenia, że popadło się w niełaskę.

Jednakże nic nie wspomniałem Emilii o tej nowej ofercie, a to z dwóch powodów: po pierwsze nie byłem jeszcze pewien, czy ją przyjmę, a po drugie wiedząc już, że moja praca nie interesuje Emilii, nie chciałem z nią mówić na ten temat, by nie sprowokować nowego

potwierdzenia jej obojętności i oziębłości, które z uporem starałem się lekceważyć. A poza tym niejasno uświadamiałem sobie, że te dwie sprawy są ściśle ze sobą związane: wahałem się, czy wziąć scenariusz właśnie dlatego, że czułem, iż Emilia już mnie nie kocha; gdybym był pewien jej miłości, od razu powiedziałbym jej o wszystkim, a rozmowa na ten temat oznaczałaby moją zgodę na propozycję Battisty.

Pewnego dnia wyszedłem rano z domu, by iść do reżysera, z którym pracowałem nad pierwszym scenariuszem dla Battisty. Wiedziałem, że idę do niego po raz ostatni, bo do końca brakowało zaledwie kilku stron, i ta myśl cieszyła mnie. Nareszcie skończy się owa udręka i znowu będę miał do własnej dyspozycji co najmniej pół dnia. Poza tym, jak to zwykle bywa przy pisaniu scenariuszy, te dwa miesiące wystarczyły, by wzbudzić we mnie żywiołową antypatię zarówno do bohaterów, jak i do treści tego filmu. Wiedziałem co prawda, że w najbliższej przyszłości będę miał do czynienia z nowymi bohaterami wtłaczanymi w nową filmową akcję i że z kolei ci także przysporzą mi niemniejszych kłopotów, jednakże uwalniałem się przynajmniej od tych pierwszych i owa świadomość wystarczała, bym odczuł prawdziwą ulgę.

Ta nadzieja szybkiego wyzwolenia tak mnie natchnęła, że m pracowałem tego ranka z niezwykłą inwencją i zapałem. Do zakończenia scenariusza brakowało tylko kilku uzupełnień, ale pomimo że były to błahostki, ślęczeliśmy nad nimi bezskutecznie przez ostatnich kilka dni. Jednakże teraz, porwany natchnieniem, umiałem wprowadzić

dyskusję na właściwe tory i rozwikłać kolejno wszystkie trudności. Tak więc okazało się po kilku godzinach, że scenariusz jest skończony i to definitywnie. Tak jak to bywa na długich i wyczerpujących wycieczkach górskich, gdy upragniony cel, który zdaje się nieosiągalny, pojawia się nagle przed oczyma, po napisaniu jednego ze zdań dialogu wykrzyknąłem zdumiony: - Ależ to właśnie może być zakończenie! - Reżyser, który spacerował po pokoju, podszedł do mnie, rzucił okiem na arkusz, po czym i on powiedział niedowierzającym tonem: - Masz rację, to może być zakończenie. - Napisałem więc słowo „Koniec” na środku stronicy, ułożyłem papiery i wstałem.

Obydwaj patrzyliśmy przez chwilę w milczeniu na biurko, gdzie leżał egzemplarz scenariusza; wyglądaliśmy właśnie jak dwaj alpiniści zmordowani do ostatka, którzy spoglądają na szczyt zdobyty z takim trudem. Potem reżyser powiedział: - No, uporaliśmy się w końcu z tą robotą.

- Tak - potwierdziłem - uporaliśmy się.

Ten reżyser nazywał się Pasetti; był to młody człowiek o jasnych włosach, suchy, kościsty, schludny i dokładny. Wyglądał raczej na pedantycznego geometrę czy buchaltera niż na artystę. Był on mniej więcej w moim wieku, ale stosunki układały się między nami jak między przełożonym a podwładnym: reżyser ma zawsze największy autorytet wśród swoich współpracowników. Po chwili zaczął mówić tym właściwym mu chłodnym, sztucznie uprzejmym tonem: - Trzeba przyznać, że ty, Biccardo, jesteś jak koń, który czuje stajnię... ja

byłem przekonany, że przyjdzie nam jeszcze pracować co najmniej cztery dni, a tymczasem skończyliśmy w dwie godziny... natchnęła cię perspektywa rychłej wypłaty, co?

Pasetti nie był mi niesympatyczny pomimo swojej przeciętności i niesłychanej tępoty w dziedzinie psychologii. Stosunki nasze były poprawne, bo uzupełnialiśmy się nawzajem.

On, człowiek bez wyobraźni i bez nerwu, ale w gruncie rzeczy skromny, zdający sobie sprawę ze swoich braków; ja pobudliwy, wrażliwy, pełen fantazji i wybujałych ambicji. Odpowiedziałem mu również żartobliwie, przystosowując się do jego tonu: - Trafiłeś w sedno: perspektywa wypłaty!

On ciągnął dalej, zapalając papierosa: - Ale nie myśl, że to już koniec... odwaliliśmy robotę tylko z grubsza... musimy jeszcze przejrzeć wszystkie dialogi... nie spoczywaj na laurach.

Po raz nie wiem który musiałem stwierdzić, że Pasetti posługuje się prawie wyłącznie gotowymi zdaniami, oklepanymi frazesami; zerknąłem dyskretnie na zegarek: dochodziła pierwsza. - Bądź spokojny - odrzekłem - gdyby szło o poprawki, jestem w każdej chwili do twojej dyspozycji.

Odpowiedział potrząsając głową: - Znam moje owieczki... powiem Battiście, żeby ci zawiesił wypłatę ostatniej raty, dopóki nie przejrzymy wszystkiego od A do Z.

Miał sposób bycia żartobliwy, a zarazem autorytatywny, rzecz zdumiewająca u człowieka tak młodego; umiał dodawać ostrogi swoim współpracownikom przechodząc od krytyki do pochlebstwa,

od wylewności do wyniosłości, od prośby do rozkazu. I w tym sensie można go było nazwać dobrym reżyserem, ponieważ zawód reżysera polega w dwóch trzecich na umiejętnym wysługiwaniu się innymi.

- Nie - powtórzyłem - każesz mi wypłacić gotówkę, a ja ci przyrzekam, że w każdej chwili będę do twojej dyspozycji.

- Po co robisz tyle gwałtu z tymi pieniędzmi? Na co ich potrzebujesz? - zapytał żartobliwie, ale i obcesowo. - Stale jesteś bez grosza... a przecież nie masz kochanek, nie zgrywasz się w karty, jesteś bezdietny...

- Muszę zapłacić ratę za mieszkanie - odrzekłem poważnie, spuszczaając oczy, poirytowany jego brakiem delikatności.

- Dużo masz jeszcze wpłacić?

- Prawie wszystko.

- Mogę się założyć, że to twoja żona świdruje ci dziurę w brzuchu, żebyś jak najprędzej zapłacił... wydaje mi się, że ją słyszę: Riccardo, tylko nie zapomnij wpłacić ostatniej raty...

- Tak, moja żona - skłamałem - ale sam wiesz, jakie są kobiety... dla nich mieszkanie to wszystko.

- Nie potrzebujesz mi tego tłumaczyć. - Zaczął mówić o swojej żonie, która była kubek w kubek do niego podobna, ale którą on zdaje się uważał za kapryśną i nieobliczalną istotę, słowem za typową kobietę. Udawałem, że słucham z zainteresowaniem, ale myślałem zupełnie o czym innym. Zakończył swoje wywody w sposób nieoczekiwany: - Dobrze, dobrze, ale ja znam was, scenarzystów, wszyscyście tacy sami: kiedy tylko weźmiecie gotówkę do ręki,

szukaj wiatru w polu... nie dam się nabrać, powiem Battiście, żeby ci zawiesił ostatnią ratę.

- Daj spokój, Pasetti! Bądź człowiekiem.

- Namyśle się jeszcze... ale nie licz na to za bardzo.

Znowu zerknąłem na zegarek i stwierdziłem, że zostawiłem Pasettiemu już dość czasu na to, by mógł się wygadać i okazać swój autorytet; postanowiłem już iść. - Bądź co bądź cieszę się - powiedziałem - że ukończyliśmy tę robotę, a raczej, jak mówisz, wykończyliśmy ją z grubsza... ale teraz muszę już iść.

Zawołał z nieszczerym ożywieniem: - Nic podobnego... musimy wypić za sukces filmu... Co u diabła... przecież nie rozstaniemy się tak po skończeniu scenariusza.

Powiedziałem zrezygowany: - Dobrze, jeśli tak, to możemy się napić.

- No to przejdźmy do salonu... myślę, że moja żona chętnie napije się z nami.

Wyszedłem za nim z gabinetu na biały, dość wąski korytarz o nagich ścianach; dolatywał tam zapach kuchni i suszących się pieluszek. Pasetti wszedł pierwszy do salonu wołając: - Luizo, skończyliśmy pisać scenariusz... Chcemy teraz wypić za powodzenie filmu.

Pani Pasetti wstała z fotela i wyszła naprzeciw nas. Była to mała kobieta z dużą głową; pasma czarnych, prostych włosów okalały jej bardzo bladą, owalną twarz.

Oczy miała duże, ale przygaszone i bez wyrazu, ożywiały się

one tylko w obecności męża. Nie odrywała wzroku od jego twarzy, jak to robią psy przywiązane do swoich panów. Lecz wystarczyło, by mąż oddalił się na chwilę, a natychmiast spuszczała wzrok skromnie i z uporem.

Szczupła, drobnej budowy, podczas czterech lat małżeństwa wydała na świat czworo dzieci.

Pasetti powiedział z tą swoją drażniącą wesołością:

- Jest dziś okazja do wypicia... zaraz przygotuję cocktail.

- Tylko nie dla mnie, Gino - wymówiła się pani Pasetti - wiesz, że nie piję.

- No, to my wypijemy.

Usiadłem przed kominkiem z czerwonej cegły na fotelu z jasnego drzewa, obitym kwiecistym materiałem; pani Pasetti usiadła na takim samym fotelu, po drugiej stronie kominka. Gdy rozglądałem się dokoła, przyszło mi na myśl, że ten salon swoim urządzeniem przypomina pana domu: stały tam seryjne meble w pseudo-ludowym stylu, wszystko było czyste, schludne, nowe, ale zarazem tandetne, właśnie jak w domu pedantycznego geometry czy buchaltera. Nie pozostawało mi nic innego, jak rozglądać się po salonie, pani Pasetti bowiem nie zdawała się usposobiona do rozmowy. Siedziała nieruchomo naprzeciw mnie z założonymi rękami i spuszczonej oczyma. A tymczasem Pasetti podszedł do stojącego w głębi pokoju szpetnego mebla, w którym mieściło się radio i podręczny bar.

Obserwowałem go, jak pochyla się na sztywnych, chudych nogach i kanciastymi, precyzyjnymi ruchami wyciąga dwie butelki,

ginu i wermutu, trzy kieliszki oraz „shaker”. Postawił to wszystko na tacy i przyniósł na stół przed kominkiem. Zauważyłem, że obydwie butelki były nie tknięte i zapieczętowane: nie wyglądało na to, żeby Pasetti często pozwalał sobie na picie cocktailu.

Także i „shaker” był nowiuteńki i lśniący. Pasetti oświadczył, że idzie po lód i wyszedł z pokoju.

Siedzieliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu, aż wreszcie odezwałem się, czując, że wypada coś powiedzieć: - Skończyliśmy nareszcie scenariusz.

Pani Pasetti odpowiedziała nie podnosząc oczu: - Tak, mówił mi Gino.

- Jestem pewien, że to będzie bardzo dobry film.
- Ja także jestem pewna, w przeciwnym razie Gino nie podjąłby się tej roboty.

- Zna pani treść?

- Tak, Gino mi opowiadał.

- Podoba się pani?

- Podoba się Ginowi, więc i mnie się podoba.

- Zawsze się państwo tak we wszystkim zgadzają?

- Ja z Ginem? Oczywiście.

- A kto rządzi w domu?

- Naturalnie że Gino.

Zauważyłem, że ilekroć otwiera usta, wymawia imię Gino. Zwracałem się do niej lekko żartobliwym tonem, a ona odpowiadała mi niezmiennie z surową powagą.

Pasetti wrócił z kubełeczkiem lodu i oznajmił: - Riccardo, dzwoni do ciebie żona.

Sam nie wiem czemu, poczułem ukłucie w sercu, jak gdyby znowu powróciła nękająca mnie zmora. Wstałem automatycznie i skierowałem się ku drzwiom. Pasetti dorzucił: - Telefon jest w korytarzu, ale jeżeli chcesz, możesz i stąd mówić... zrobiłem przełącznik.

Telefon stał rzeczywiście na półeczce przy kominku. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Emilii: - Nie gniewaj się, ale nie będę dziś na obiedzie w domu... zjem u matki.

- Ale dlaczego wcześniej mnie o tym nie uprzedziłaś?
- Nie chciałam cię odrywać od pracy.
- Dobrze - odrzekłem - zjem obiad na mieście.
- Zobaczymy się później - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Odszedłem od telefonu, a Pasetti zapytał mnie od razu: - Riccardo, nie idziesz na obiad do domu?

- Nie, pójdę do restauracji.
- No, to zjedz z nami... wprawdzie obiadek jest skromny, ale zrobisz nam wielką przyjemność.

Sam nie wiem czemu, ale na myśl o samotnym obiedzie w restauracji ogarnęło mnie nagle dziwne zniechęcenie. Zapewne dlatego, że już z góry cieszyłem się na podzielenie się z Emilią wiadomością o ukończeniu scenariusza; tak mi się przynajmniej zdawało, bo dotąd nic przed nią nie ukrywałem, ale zapewne w obecnych warunkach nawet bym jej o tym nie wspomniał, skoro nie

interesowała się już moją pracą. W każdym razie zaproszenie Pasettiego ucieszyło mnie i podziękowałem mu z przesadną niemal wylewnością. A tymczasem Pasetti zdążył już otworzyć obydwie butelki i dozował miarki ginu i wermutu, przelewając je do „shakera”; robił to raczej jak aptekarz niż jak człowiek lubiący sobie wypić.

Pani Pasetti jak zwykle nie odrywała oczu od męża. W końcu, gdy skończył potrząsać „shakerem” i zaczął napełniać kieliszki, powiedziała: - Dla mnie tylko odrobinę, proszę... i ty, Gino, nie pij za wiele, mogłoby ci to zaszkodzić.

- Niecodziennie kończy się pisać scenariusz.

Napełnił nasze dwa kieliszki, a do trzeciego nalał tylko trochę cocktailu, zgodnie z prośbą żony. Wszyscy troje wzięliśmy do ręki kieliszki i wznieśliśmy toast: - Sto dalszych scenariuszy! - powiedział Pasetti, zaledwie maczając usta i stawiając kieliszek na stoliku. Ja wypilem swój jednym haustem. Pani Pasetti sączyła cocktail drobnymi łyżkami, a potem wstała mówiąc: - Pójdę zajrzeć na chwilę do kuchni... przepraszam.

Wyszła, Pasetti zajął jej miejsce w fotelu i zaczęliśmy gawędzić. A raczej on opowiadał, przede wszystkim o scenariuszu, a ja słuchałem potakując głową i popijając.

Kieliszek Pasettiego stał na stoliku opróżniony zaledwie do połowy, natomiast ja zdążyłem wypić już trzy. Odczuwałem teraz, nie wiem dlaczego, dotkliwy smutek i piłem w nadziei, że się go pozbędę, gdy zacznie mi się kręcić w głowie. Ale cocktail Pasettiego był słaby i rozwodniony. Tak więc tych kilka kieliszków zwiększyło jeszcze ową

tępą udękę.

Nagle zadałem sobie pytanie: „Dlaczego jestem taki nieszczęśliwy?” i przypomniałem sobie, że poczułem pierwsze ukłucie w sercu, kiedy usłyszałem przez telefon głos Emilii, taki zimny, taki rozsądny, taki obojętny; a przede wszystkim taki odmienny od głosu pani Pasetti, gdy wymawiała imię Gino. Ale nie miałem czasu się nad tym zastanowić, ponieważ zjawiała się pani Pasetti prosząc, byśmy przeszli do jadalni.

Jadalnia Pasettich była podobna do gabinetu i salonu: umeblowanie schludne, kokieteryjne i tandetne, meble z jasnego drzewa; zastawa z kolorowego fajansu; karafki i kieliszki z grubego zielonego szkła; obrus i serwetki z surowego płótna.

Zasiedliśmy w tym maleńkim pokoiku, którego całą prawie powierzchnię wypełniał stół, tak że gdy pokojówka obnosiła półmiski, jedno z nas musiało za każdym razem przesuwać się wraz z krzesłem, by ją przepuścić. Zaczęliśmy jeść w milczeniu. Potem pokojówka zmieniła talerze, a ja, by rozpocząć konwersację, zapytałem Pasettiego, jakie ma plany na przyszłość.

Odpowiedział tym swoim chłodnym, dokładnym, monotonnym głosem, któremu małostkowość i brak wyobraźni zdawały się dyktować nie tylko dobór słów, ale także najdrobniejsze odcienie intonacji. Milczałem, nie mając nic do powiedzenia, ponieważ nie interesowały mnie projekty Pasettiego, a nawet gdyby mnie interesowały, to i tak znudziłby mnie jego bezbarwny, ślamazarny ton. Moje oczy przesuwały się z miejsca na miejsce, z przedmiotu na

przedmiot, nie znajdując żadnego punktu zaczepienia, i zatrzymały się w końcu na twarzy pani Pasetti, która, wsłuchana i wpatrzona w męża, siedziała z podpartą na dłoni brodą. Gdy patrzałem na nią, uderzył mnie wyraz jej oczu: pełen miłości, zachłanny z domieszką niewolniczej admiracji, bezgranicznej wdzięczności, zmysłowego oszołomienia i niemal melancholijnej nieśmiałości. To spojrzenie zdziwiło mnie, bo nie mogłem zrozumieć bijącego zeń uczucia: wydawało się nieprawdopodobne, aby ten nijaki, suchy, przeciętny Pasetti mógł być obiektem takiego zainteresowania. Potem powiedziałem sobie, że ostatecznie każdy mężczyzna znajduje kobietę, która ceni go i kocha, i że błędem jest osądzać uczucia innych miarą własnych uczuć; poczułem sympatię dla tej kobiety tak oddanej swojemu mężczyźnie.

Cieszyło mnie to ze względu na Pasettiego, dla którego, pomimo wszystko, żywiłem coś w rodzaju ironicznej przychylności. Lecz gdy tylko zwróciłem oczy gdzie indziej, zaraz przeszła mnie pewna myśl, a raczej nagłe olśnienie: „W tych oczach odzwierciedla się cała miłość tej kobiety dla męża... a on zadowolony jest z siebie i z pracy, bo ona go kocha... ale w oczach Emilii od dawna już nie ma tego uczucia... Emilia nie kocha mnie i nigdy już kochać nie będzie.”

Na tę myśl, która na nowo rozjątrzyła mój smutek, doznałem niemal fizycznego wstrząsu; skrzywiłem się nawet i pani Pasetti troskliwie zapytała, czy czasem mój kawałek mięsa nie jest twardy. Uspokoilem ją: mięso nie było twarde. A tymczasem udając, że słucham wywodów Pasettiego, który dalej mówił o swoich projektach

na przyszłość, usiłowałem zgłębić owo uczucie bólu tak dotkliwe i nieokreślone zarazem.

Zrozumiałem wtedy, że w ciągu ostatniego miesiąca próbowałem przez cały czas przyzwyczaić się do tej nieznośnej sytuacji i że w rzeczywistości bynajmniej mi się nie udało. Nie mogłem żyć dalej w ten sposób, spędzając dzień za dniem między Emilią, która mnie nie kochała, a pracą, której znienawidziłem z powodu obojętności Emilii. I powiedziałem sobie nagle: „Tak dalej być nie może... muszę przeprowadzić decydującą rozmowę z Emilią... i jeśli to okaże się konieczne, wezmę separację i rzucę pracę.”

Jednakże choć rozumowałem jak desperat, uświadomiłem sobie, że jeszcze nie przestaję się łudzić: nie byłem całkiem przekonany o tym, że Emilia mnie nie kocha, ani że zdobędę się na separację, na porzucenie pracy i samotne życie. Inaczej mówiąc byłem pełen niedowierzania, bolesnego i zupełnie dla mnie nowego, wobec faktu, który mój rozum uznał za nie ulegający wątpliwości. Dlaczego Emilia przestała mnie kochać, jak doszła do tej obojętności? Serce ścisnęło mi się w przewidywaniu, że to pierwsze ogólnikowe i tak smutne spostrzeżenie będzie wymagało nieskończenie długiego i drobiazgowego dociekania, by móc w końcu uzyskać całkowitą pewność; zdawałem sobie sprawę, że analiza drobnych, codziennych wydarzeń jest najboleśniej. Słowem byłem już przekonany, że Emilia mnie nie kocha; lecz nie wiedziałem dlaczego i jak się to stało; musiałem więc zdecydować się na rozmowę z nią, musiałem szukać prawdy, wbijać cienkie i bezlitosne ostrze krzyżowych pytań w ranę,

którą dotychczas starałem się bagatelizować. Ta myśl przerażała mnie; lecz pomimo to rozumiałem, że tylko ostateczne rozwikłanie tej sprawy da mi siłę, by rozstać się z Emilią; podsunął mi po raz pierwszy tę myśl odruch mojej rozpacz.

A tymczasem w dalszym ciągu jadłem, piłem i słuchałem Pasettiego, ale te wszystkie czynności były automatyczne, prawie nie zdawałem sobie z nich sprawy. W końcu, Bogu Najwyższemu dzięki, obiad się skończył. Znowu przeszliśmy do salonu i tu musiałem się poddać dalszym utartym kanonom drobnomieszczańskich przyjęć: kawa z dwiema kostkami cukru; propozycja wypicia likieru słodkiego lub gorzkawego, przyjęta jak zwykle odmownie; banalna konwersacja dla zabicia czasu. Wreszcie, gdy wydało mi się, że nie okazując zbytniego pośpiechu mogę już wyjść, wstałem. Lecz właśnie w tym momencie guwernantka wprowadziła do salonu najstarszą córeczkę Pasettich, by pokazać ją rodzicom przed wyjściem na popołudniową przechadzkę. Była to dziewczynka ciemnowłosa, blada, z dużymi oczyma, o wyglądzie dość pospolitym, słowem, nie wyróżniająca się niczym, tak jak i jej rodzice. Pamiętam, że na widok pieścizot, jakimi obsypywała ją matka, pomyślałem sobie: „Nigdy nie będę taki szczęśliwy jak oni... my z Emilią nigdy nie będziemy mieli dzieci.”

Konsekwencją pierwszej była druga myśl, jeszcze bardziej gorzka: „Jakie to wszystko jest małostkowe, oklepane, bez cienia oryginalności... wstępuję w ślady wszystkich mężów nie kochanych przez swoje żony... zazdroszczę pierwszej lepszej parze małżeńskiej, cackającej się ze swoim potomstwem... tak właśnie, jak każdy mąż

znajdujący się w mojej sytuacji.” Owa upokarzająca myśl napełniła mnie obojętnością wobec czulej rodzinnej sceny, której byłem świadkiem. Oświadczyłem szorstko, że muszę już iść. Wydało mi się, że moje zachowanie zdziwiło i oburzyło panią domu, która oczekiwała zapewne, że rozczuli mnie budujący widok jej miłości macierzyńskiej.

ROZDZIAŁ VII

Praca nad drugim scenariuszem zaczynała się o czwartej, miałem więc jeszcze półtorej godziny czasu. Gdy znalazłem się na ulicy, prawie instynktownie poszedłem w stronę domu.

Wiedziałem, że nie zastanę tam Emilii, która była na obiedzie u matki, ale w nerwowym otępieniu, jakie mnie ogarnęło, prawie miałem nadzieję, że to nieprawda i że zaraz się z nią zobaczę. W tym wypadku, powiadałem sobie, zdobyłbym się na odwagę, by porozmawiać z nią otwarcie i sprowokować definitywne wyjaśnienia. Zdawałem sobie sprawę, że od tych wyjaśnień zależy nie tylko moje współzycie z Emilią, ale i moja praca; po długim okresie kręactwa i obłudy wolałem każdą katastrofę od tej nieokreślonej sytuacji, która niestety nie wróżyła nic dobrego i była coraz trudniejsza do zniesienia. Może nie będę miał innego wyjścia, jak rozstać się z Emilią i odrzucić drugi scenariusz Battisty. Tym lepiej. Wolałem prawdę, choćby najgorszą, niż to upadające dotychczasowe życie, przesiąknięte kłamstwem i współczuciem dla siebie samego. Gdy doszedłem do ulicy, przy której mieszkaliśmy, znowu wróciło niezdecydowanie: Emilii nie było w domu, a w nowym mieszkaniu, które było dla mnie teraz nie tylko obce, ale i wrogie, poczułbym się na pewno jeszcze bardziej samotny i nieszczęśliwy niż w jakimś lokalu. Ogarnęła mnie na moment pokusa, by przeczekać tę godzinę w kawiarni. Lecz zaraz potem, dzięki nagłemu i opatrnościowemu przebłyskowi pamięci, przypomniałem sobie, że właśnie o tej porze miałem czekać w domu

na telefon Battisty. Tak się z nim umówiłem, a szło o ważne spotkanie, gdyż Battista chciał ze mną mówić o nowym scenariuszu, wystąpić z konkretnymi propozycjami i przedstawić mnie reżyserowi. Mógłbym wprawdzie sam zatelefonować do Battisty z kawiarni; lecz nie byłem pewien, czy go zastanę, bo często jadał na mieście, a poza tym uznałem, że potrzebny mi jest jakiś pretekst, by wrócić do domu; spodziewany telefon Battisty był właśnie tym pretekstem.

Wszedłem więc do bramy, wsiadłem do windy, zamknąłem drzwi i nacisnąłem guzik na ostatnie piętro, na którym znajdowało się moje mieszkanie. Lecz gdy jechałem na górę, przyszło mi na myśl, że właściwie nie mam prawa umawiać się z Battistą, skoro nie jestem pewien, czy przyjmę jego nową propozycję. Wszystko zależało od mojej rozmowy z Emilią, a wiedziałem, że gdyby Emilia oznajmiła, że mnie nie kocha, nie napisałbym nie tylko nowego scenariusza, ale żadnego innego do końca mojego życia. Wiedziałem jednak, że Emilii nie ma w domu, więc gdyby Battista zadzwonił, nie mógłbym mu uczciwie odpowiedzieć, czy godzę się na rozmowę o nowym scenariuszu, czy nie. Prowadzić pertraktacje po to, żeby się potem wycofać, wydawało mi się największym absurdem w moim pełnym absurdów życiu. Na, tę myśl, porwany gniewnym histerycznym odruchem, w jednej chwili zatrzymałem windę i nacisnąłem guzik na parter. Będzie lepiej, powiedziałem sobie, o wiele lepiej, jeśli Battista zatelefonuje i nie zastanie mnie w domu. Później, jeszcze tego wieczoru, rozmówię się z Emilią, a jutro, zależnie od tego, czego się dowiem, dam pozytywną lub negatywną odpowiedź. A tymczasem

winda jechała na dół, a ja patrzyłem na przesuwane się kolejno za szybą piętra wzrokiem równie rozpaczliwym jak ryba, która widzi opadający gwałtownie w akwarium poziom wody. W końcu winda stanęła i już chciałem otworzyć drzwi, gdy nagle coś nowego przyszło mi na myśl: to prawda, że losy scenariusza zależały od tego, co powie Emilia, ale może właśnie zapewni mnie o swojej miłości? Po co w takim razie, nie czekając na telefon Battisty, narażać mu się i ryzykować utratę pracy? Wiedziałem z doświadczenia, że producenci filmowi są kapryśni jak tyrani; taki drobiazg jak moja nieobecność w domu mogła wystarczyć, by Battista zmienił swój zamiar i poszukał innego scenarzysty. Te wszystkie myśli wirowały w mojej skołatanej głowie, uzmysławiając mi w sposób dotkliwy i ponury rozpaczliwość mojej sytuacji: byłem nędznym człowieczyzną miotającym się między interesem a uczuciem, niezdolnym do wyboru i decyzji. I kto wie, jak długo stałbym tak jeszcze w windzie, oszołomiony i pełen wahania, gdyby nagle pewna młoda pani, obciążona paczkami, nie otworzyła drzwi. Zobaczywszy mnie przed sobą tak niespodziewanie, wydała okrzyk zgrozy; potem opanowała się, weszła do windy i zapytała, na które piętro chcę jechać.

Powiedziałem jej, że na najwyższe; wtedy oznajmiła, że ona jedzie na drugie i nacisnęła guzik. Winda znowu pojechała do góry.

Gdy w końcu wysiadłem z windy, poczułem głęboką ulgę, ale zarazem pomyślałem: „Co się ze mną dzieje, że zachowuję się w ten sposób? Co mnie do tego doprowadziło? Do czego to już doszło?” Tak myśląc wszedłem do mieszkania, zamknąłem za sobą drzwi i

skierowałem się do salonu. W tym momencie zobaczyłem Emilię: leżała na kanapie w szlafroku, czytając jakiś tygodnik ilustrowany. Obok na małym stoliku stały talerze z resztkami obiadu. A więc Emilia nie wychodziła z domu, nie była na obiedzie u matki, jednym słowem, skłamała.

Musiałem mieć złowrogi wyraz twarzy, bo ona spojrzawszy na mnie zapytała: - Co ci jest?... Co ci się stało?

- Przecież miałaś być na obiedzie u matki - powiedziałem zdławionym głosem. - Jakim sposobem jesteś w domu? Powiedziałaś mi, że wychodzisz na obiad.

- Matka zatelefonowała do mnie potem, że nie ma czasu - odrzekła łagodnie.

- Ale dlaczego nie zawiadomiłaś mnie o tym?

- Matka zadzwoniła w ostatniej chwili... myślałam, że wyszedłeś już od Pasettich.

Sam nie wiem dlaczego, ale od razu pewien byłem, że kłamie. Nie mogąc jednak dowieść tego ani jej, ani sobie, zamilkłem i usiadłem na kanapie. Zapytała po chwili przeglądając pismo i nie patrząc na mnie: - A ty co robiłeś?

- Pasetti zaprosił mnie na obiad.

W tej samej chwili zadzwonił telefon w sąsiednim pokoju. Pomyślałem sobie: „To Battista... zaraz mu powiem, że zdecydowałem skończyć raz na zawsze z pisaniem

scenariuszy... niech wszystko diabli wezmą... to się wprost rzuca w oczy, że ta kobieta nie ma dla mnie ani odrobiny uczucia.” A

tymczasem Emilia z właściwą jej bezwolnością mówiła: - Idź, zobacz, kto to... to na pewno do ciebie. - Wstałem i wyszedłem.

Telefon stał na komódce w sąsiednim pokoju. Zanim podniosłem słuchawkę, rzuciłem okiem na łóżko i zobaczyłem leżącą pośrodku jedną tylko poduszkę. Ten widok utwierdził mnie w moim postanowieniu: wszystko skończone, nie wezmę scenariusza, a potem rozstanę się z Emilią. Wziąłem słuchawkę do ręki, ale usłyszałem nie głos Battisty tylko mojej teściowej, która spytała: - Riccardo, czy Emilia jest w domu?

Odpowiedziałem bez namysłu: - Nie ma... Powiedziała, że idzie na obiad do mamy... wyszła... myślałem, że jesteście razem.

- Przecież telefonowałam do niej, że jestem zajęta, bo służąca ma dzisiaj wychodne... - zaczęła mówić ze zdziwieniem moja teściowa. Spojrzałem w kierunku salonu i poprzez otwarte drzwi zobaczyłem leżącą na kanapie Emilię, która patrzyła na mnie; w jej oczach malowało się nie tyle zdumienie, ile spokojna wrogość i zimna pogarda. Teraz ja powiedziałem nieprawdę i zrozumiałem, że ona wie, dlaczego skłamałem. Zamieniłem jeszcze kilka słów z teściową, po czym nagle zawołałem: - Proszę zaczekać...

Emilia właśnie przyszła... zaraz ją poproszę. - Na migi dawałem znaki Emilii, żeby podeszła do telefonu.

Wstała z kanapy, przeszła przez pokój ze spuszczoną głową i bez słowa, nie patrząc na mnie, wzięła do ręki słuchawkę. Poszedłem do salonu, a ona zrobiła zniecierpliwiony gest, dając mi do zrozumienia, bym zamknął drzwi. Tak też zrobiłem, po czym

zmieszany usiadłem na tapczanie, czekając na nią.

Emilia długo nie wracała od telefonu; w moim zniecierpliwieniu i zdenerwowaniu wydawało mi się, że robi to naumyślnie. Staralem się uspokoić, powtarzając sobie, że jej rozmowy z matką są zawsze bardzo długie. Ogromnie kochała matkę, która była wdową i prócz niej nie miała nikogo na świecie; zdaje się, że Emilia zwierzała się jej ze wszystkiego.

Wreszcie otworzyły się drzwi i ukazała się Emilia. Siedziałem bez ruchu, w milczeniu, odgadując z wyrazu jej twarzy, że jest na mnie zła. Istotnie od razu zaczęła mi robić wymówki, zbierając talerze ze stolika: - Czyś ty oszalał? Dlaczego powiedziałeś matce, że wyszłam z domu?

Dotknięty jej tonem, milczałem. - Żeby sprawdzić, czy powiedziałam prawdę, co? - ciągnęła dalej. - żeby sprawdzić, czy matka rzeczywiście telefonowała, żebym nie przychodziła do niej na obiad?

W końcu odpowiedziałem z wysiłkiem: - Być może, że z tego powodu.

- A więc proszę cię, żebyś tego więcej nie robił... ja zawsze mówię prawdę... nie mam nic do ukrywania... i nie mogę ścierpieć tego rodzaju rzeczy.

Wypowiedziała te słowa stanowczym tonem, po czym wzięła tacę, na której ustawiła talerze i szklanki, i wyszła z pokoju.

Gdy zostałem sam, doznałem przez chwilę uczucia gorzkiego zwycięstwa. A więc miałem rację: Emilia nie kochała mnie już.

Dawniej na pewno nie rozmawiałaby ze mną w ten sposób. Powiedziałyby mi ze słodyczą pomieszaną z żartobliwym zdziwieniem: „Możesz ty naprawdę myślał, że skłamałam”, a potem zaśmiałyby się jak z dziecinnego, łatwo wybaczalnego wybryku i w gruncie rzeczy może by jej to nawet pochlebiło: „Co, naprawdę jesteś zazdrosny? Czy nie wiesz, że kocham tylko ciebie?” Wszystko skończyłoby się pocałunkiem niemal macierzyńskim, potem pogłaskałaby mnie po czole, jak gdyby chcąc odegnać ode mnie wszelkie zmartwienia i troski. Ale prawdą było także i to, że niegdyś nie przyszłoby mi do głowy pilnować jej, a tym bardziej poddawać w wątpliwość jej słowa.

Wszystko się zmieniło; i jej miłość, i moja. I wszystko zdawało się ciągle zmieniać na gorsze.

Lecz człowiek chce zawsze mieć nadzieję, nawet kiedy wie, że znajduje się w rozpaczliwej sytuacji. Emilia okazała swoim zachowaniem, że mnie nie kocha, pomimo to miałem jeszcze wątpliwości, a raczej nadzieję, że fałszywie tłumaczę sobie ten incydent, w gruncie rzeczy błądy. Pomyślałem nagle, że nie należy przyspieszać biegu wypadków; że ona sama powinna mi powiedzieć, iż przestała mnie kochać; że tylko ona dać mi może dowody, których brakowało mi dotychczas... Myśli te następowały błyskawicznie jedna po drugiej, podczas gdy siedziałem bez ruchu na tapczanie, wpatrując się przed siebie. Potem otworzyły się drzwi i wróciła Emilia.

Podeszła do kanapy, położyła się za mną i sięgnęła po pisma. Powiedziałem wtedy, nie poruszając się z miejsca: - Za chwilę

zadzwoń Battista, żeby zaproponować mi nowy scenariusz... idzie o rzecz wielkiej wagi.

- No więc chyba jesteś zadowolony? - dobiegł mnie jej spokojny głos.

- Na tym scenariuszu - ciągnąłem dalej - będę mógł dobrze zarobić... miałbym pieniądze na zapłacenie co najmniej dwóch rat za mieszkanie.

Tym razem nic nie powiedziała. Mówiłem dalej: - Poza tym ten scenariusz miałby dla mnie ogromne znaczenie, bo jeśli go zrobię, będę robił dalsze... to ma być gigantyczny film.

Zapytała obojętnym tonem osoby, która czyta i nie odrywa oczu od książki: - Jaki to będzie film?

- Nie wiem - odrzekłem. Przez chwilę siedziałem w milczeniu, po czym dodałem nieco teatralnym głosem: - Ale ja zdecydowałem, że nie wezmę tej roboty.

- Dlaczego? - Ton był dalej spokojny, bezbarwny.

Wstałem, obszedłem tapczan dokoła i usiadłem naprzeciw Emilii. Trzymała w ręku tygodnik, ale gdy zobaczyła mnie przed sobą, odłożyła go i popatrzyła mi w oczy. - Dlatego - powiedziałem szczerze - że, jak wiesz, nienawidzę tej pracy i podejmuję się jej tylko z miłości do ciebie... żeby zapłacić raty za to mieszkanie, na którym ci tak zależy, czy zdaje się ci tak zależeć... ale teraz wiem z całą pewnością, że mnie już nie kochasz... więc to wszystko przestało mieć znaczenie.

Patrzała na mnie bez słowa szeroko otwartymi oczami. - Nie

kochasz mnie już - ciągnąłem dalej - więc nie będę kontynuował tej pracy... Co do mieszkania, to oddam je na hipotekę albo sprzedam... Jednym słowem, nie mam już sił żyć tak dalej i czuję, że przyszedł moment, by ci to powiedzieć... teraz już wiesz... za chwilę zadzwoni Battista i odeślę go do wszystkich diabłów!

Powiedziałem wszystko, miałem to już za sobą i teraz nadeszła chwila wyjaśnienia, której tak pragnąłem i obawiałem się zarazem. Na tę myśl poczułem pewną ulgę i otwarcie spojrzałem na Emilię, czekając jej odpowiedzi. Milczała przez chwilę. Moje szorstkie słowa na pewno zdziwiły ją i zaskoczyły. Istotnie zapytała w końcu, ostrożnie, jak gdyby chcąc zyskać na czasie: - Ale co ci podsunęło tę myśl, że ja cię już nie kocham?

- Wszystko! - odpowiedziałem gwałtownie.

- Na przykład?

- Najpierw ty mi powiedz, czy to prawda, czy nie?

Powtórzyła z uporem: - Nie, ty mi powiedz, co ci podsunęło tę myśl?

- Wszystko - powiedziałem raz jeszcze. - Sposób, w jaki do mnie mówisz, w jaki na mnie patrzysz, w jaki zachowujesz się wobec mnie... Wszystko... poza tym miesiąc temu zażądałaś, żebyśmy sypiali osobno... dawniej nie zrobiłabyś tego.

Patrzała na mnie zmieszana; potem dojrzałem nagle w jej oczach błysk nagłej decyzji.

Zdecydowała - pomyślałem - w tym właśnie momencie, jak ma wobec mnie postąpić i nie zmieni już tej decyzji bez względu na to, co

powiem i co zrobię. Wreszcie odpowiedziała łagodnie: - Ależ zapewniam cię, mogę ci przysiąc, że nie potrafię spać przy otwartym oknie... potrzebuję ciemności i ciszy... przysięgam ci.

- Przecież proponowałem, żebyśmy spali przy zamkniętym oknie.

- No tak - odrzekła z wahaniem - ale muszę ci też powiedzieć, że nie zachowujesz się cicho we śnie.

- Co to ma znaczyć?

- Chrapiesz. - Lekko się uśmiechnęła, po czym dodała: - Budziłeś mnie co noc... dlatego postanowiłam spać sama.

Byłem nieco skonsternowany tym szczegółem o chrapaniu. Nie wiedziałem, że chrapię, i trudno mi było w to uwierzyć: sypiałem dawniej z innymi kobietami i żadna z nich nigdy mi o tym nie wspomniała. Powiedziałem: - A poza tym nie kochasz mnie, bo kochająca żona - tu zawahałem się chwilę - inaczej oddaje się mężowi niż ty od pewnego czasu.

Zaprotestowała z miejsca kwaśno, znudzonym tonem: - Naprawdę nie rozumiem, o co ci idzie... przecież kochamy się, kiedy tylko zechcesz. Może ci kiedy odmówiłam?

Wiedziałem z doświadczenia, że w poufnych rozmowach na tematy erotyczne jestem o wiele bardziej skrępowany i stropiony od niej. Emilia, zazwyczaj tak powściągliwa i pełna rezerwy, w chwilach intymnych nie znała wstydu; co więcej, nie tylko przed i po, ale nawet podczas miłosnego zbliżenia lubiła o tym mówić i robiła to bez śladu uniesienia czy tkliwości, ze zdumiewającą swobodą, niemal brutalnie.

Dziwiło mnie to zawsze, ale i pociągało w pewien sposób. Odpowiedziałem zmieszany: - Nie, nie odmawiałaś mi, ale...

Emilia ciągnęła dalej zaczepnym tonem: - Kiedy tylko chciałeś, miałeś mnie... poza tym ty nie zadowolasz się samym tylko aktem... jesteś pierwszorzędny w miłości.

Pochlebilo mi to. - Tak uważasz? - zapytałem prawie z zadowoleniem.

- Tak - odrzekła sucho, nie patrząc na mnie - ale gdybym cię nie kochała, to właśnie twoje wyrefinowanie byłoby dla mnie nieznośne i robiłabym wszystko, żeby cię unikać... kobiecie zawsze jest łatwo znaleźć pretekst, żeby się od tego wykręcić, czy nie?

- To prawda - odpowiedziałem - nie wymawiałaś się nigdy... ale sposób, w jaki to robisz... kochająca kobieta nie zachowuje się w miłości tak jak ty.

- A jak ja się zachowuję?

Powinienem był odpowiedzieć: „Jak prostytutka, która ulega swojemu klientowi i chce tylko, żeby się wszystko jak najszybciej odbyło... oto jak się zachowujesz”. Ale wolałem milczeć przez szacunek dla niej i dla siebie. A zresztą, na co by się to przydało? Powiedziałyby, że nie mam racji i może nawet przypomniałyby mi z techniczną precyzją swoje uniesienia erotyczne, w których było wszystko: i umiejętność poszukiwania rozkoszy, i temperament, i szął, i namiętność, wszystko prócz uczucia i tkliwej uległości. I znowu nie wiedziałbym, co na to odpowiedzieć, a przy tym, obrażając ją tym obelżywym porównaniem, winien byłbym ja. Zrozumiałem, że okazja

do wyjaśnienia, które chciałem sprowokować, była stracona, i zrozpaczony zawołałem: - Jakakolwiek jest tego przyczyna, jestem przekonany, że mnie już nie kochasz, to wszystko!

Nie drgnęła nawet i patrzyła na mnie bez słowa, jak gdyby chciała wyczytać z mojej twarzy, co powinna mi odpowiedzieć. Zauważyłem wtedy pewien szczegół, który i przedtem nie uszedł mojej uwagi: jej smągła, ładna twarz, tak harmonijna, symetryczna i regularna, uległa jakby procesowi zniekształcenia: jeden policzek stał się nagle wklęsły, usta nie były już na samym środku twarzy, oczy zapadły głębiej w oczodoły, pociemniały i straciły blask, jak gdyby powleczono je ciemnym woskiem. Jak wspomniałem, znałem już ten szczegół: istotnie zmieniała się tak zawsze, gdy miała powziąć jakąś decyzję, na którą trudno jej się było zdobyć. Potem w nagłym porywie zarzuciła mi ręce na szyję mówiąc głosem, który fałszywie zabrzmiał mi w uszach:

- Ależ Riccardo, dlaczego mi to mówisz? Ja cię kocham... kocham tak samo jak dawniej. - Czułem jej gorący oddech na uchu, jej dłoń na czole, potem na skroniach, na włosach; przyciągnęła do swojej piersi moją głowę i przytuliła ją mocno obydwoma rękami.

Przyszło mi na myśl, że dlatego tak mnie obejmuje, bym nie widział jej twarzy, która była może znudzona i spokojna, jak twarz osoby, która robi coś bezdusznie, wyłącznie z poczucia obowiązku; i choć w rozpaczliwej miłosnej tęsknocie przyciskałem mocno głowę do jej pólnagiej piersi poruszanej równomiernym oddechem, nie mogłem powstrzymać się od myśli: „To tylko gra... ale ona i tak się

zdradzi jakimś słowem, jakimś gestem.”

Czekałem chwilę, po czym usłyszałem, że pyta mnie podchwytliwym tonem: - A co byś ty zrobił, gdybym cię rzeczywiście już nie kochała?

A więc miałem rację, pomyślałem z uczuciem gorzkiego triumfu, zdradziła się!

Chciała wiedzieć, co bym zrobił w wypadku, gdyby mnie nie kochała, dowiedzieć się, co jej może grozić, jeżeli powie całą prawdę. Nie poruszając się, dalej przytulony do niej odrzekłem: - Powiedziałem ci już... Przede wszystkim nie przyjąłbym nowej propozycji Battisty. - Chciałem dodać: „I rozstałbym się z tobą” - lecz nie miałem odwagi tego powiedzieć, gdy czułem na policzku ciepło jej piersi, dotyk jej ręki na czole. A poza tym łudziłem się jeszcze, że ona mnie kocha, i bałem się, że jeśli wymówię słowo rozstanie, to tym samym może ono dojść do skutku. Wreszcie, dalej tuląc mnie do siebie, powiedziała: - Ależ ja cię Kocham... i to wszystko jest nedorzeczne... A teraz wiesz, co masz zrobić? Jak zatelefonuje Battista, umówisz się z nim, pójdziesz na to spotkanie i przyjmiesz nowy scenariusz.

- Po co mam to robić, jeśli mnie nie Kochasz! - krzyknąłem z rozpaczą.

Tym razem odpowiedziała tonem rozsądnej wymówki: - Kocham cię, ale nie każ mi tego więcej powtarzać... Zależy mi na tym, żeby zostać w tym mieszkaniu... ale jeśli ta praca ci nie odpowiada, to nie ma o czym mówić. Natomiast jeżeli chcesz z niej zrezygnować

dlatego, że myślisz, iż cię nie kocham i nie zależy mi już na mieszkaniu, to wiedz, że się mylisz.

Ogarnęła mnie niemal nadzieja, że ona nie kłamie, a zarazem uświadomiłem sobie, że przynajmniej na jeden dzień udało się jej mnie przekonać. Jednakże pragnąłem rozpaczliwie wiedzieć więcej, mieć całkowitą pewność. Ona jak gdyby wyczuła owo pragnienie, bo zmiękła nagle i szepnęła: - Pocałuj mnie, chcesz?

Wstałem i jeszcze spojrzałem na nią przed pocałunkiem: uderzył mnie wyraz śmiertelnego zmęczenia na jej twarzy, jak gdyby dokonała nadludzkiego wysiłku rozmawiając ze mną, tuląc mnie i całując. Pomimo to ująłem ją pod brodę i zbliżyłem moje usta do jej ust. W tym samym momencie zadzwonił telefon. - To Battista - powiedziała Emilia; wywinęła mi się z nieukrywaną ulgą i pobięła do sąsiedniego pokoju.

Siedząc na tapczanie zobaczyłem przez otwarte drzwi, jak sięga po słuchawkę i mówi: - Tak... zaraz go poproszę... jak się pan miewa?

Battista coś do niej mówił, a potem ona, machając ku mnie ręką, odpowiedziała: - Właśnie mówiliśmy o panu i o pańskim nowym filmie...

Nastąpiły dalsze tajemnicze słowa Battisty. Odrzekła spokojnym głosem: - Tak, tak, zobaczymy się niedługo... a teraz oddaję słuchawkę Riccardowi.

Podszedłem do telefonu. Jak przewidywałem, Battista oznajmił, że czeka na mnie nazajutrz po południu u siebie w biurze. Powiedziałem, że przyjdę, zamieniliśmy jeszcze kilka słów i

odłożyłem słuchawkę. Dopiero wtedy zauważyłem, że podczas mojej rozmowy Emilia zdążyła już wyjść z pokoju. I natychmiast przyszło mi na myśl, że odeszła, bo uzyskała już to, czego chciała: moją zgodę na propozycję Battisty. Jej obecność podobnie jak jej pieszczoty nie były już potrzebne.

ROZDZIAŁ VIII

Następnego dnia o oznaczonej godzinie poszedłem na spotkanie. Biuro Battisty zajmowało całe pierwsze piętro starego pałacu, który, jak to bywa, był niegdyś rezydencją patrycjuszowskiej rodziny rzymskiej, a dzisiaj stał się siedzibą kilku przedsiębiorstw handlowych. Obszerne sale łukowo sklepione, zdobne w stiuki i freski, podzielono przy pomocy prostych drewnianych przepierzeń na małe pokoiki i zastawiono biurowymi meblami; tam gdzie dawniej wisiały antyczne obrazy o tematyce mitologicznej czy biblijnej, zawieszono teraz plakaty reklamowe w krzyżujących kolorach; wszędzie roiło się od oprawionych w ramki fotografii aktorów i aktorek filmowych, stronic powyrywanych z ilustrowanych pism, nagród otrzymanych na festiwalach i innych tego rodzaju ozdób, typowych dla agencji wytwórni filmowych. W przedsionku, na tle wyblakłych fresków, królował ogromny, metalowy, pomalowany na zielono kontuar, za którym kilka sekretarek załatwiała interesantów.

Battista był jeszcze młodym producentem; zdobył rozgłos przed kilku laty dzięki filmowi, który nie był żadną rewelacją, ale miał olbrzymie powodzenie i przyniósł poważne dochody.

Jego wytwórnia o bezpretensjonalnej nazwie „Triumpf Film” była w tej chwili jedną z najbogatszych we Włoszech.

Przedsionek był pełen petentów i z doświadczeniem, jakiego zdążyłem nabrać w tej dziedzinie, sklasyfikowałem ich wszystkich już na pierwszy rzut oka. A więc kilku scenarzystów, których łatwo

poznać po zmęczonych i zatroskanych twarzach, po sposobie ubrania wyszukany i niechlujny zarazem, po grubych plikach rękopisów trzymany pod pachą; paru totumfackich, starych wyg, jacy kręcą się zawsze przy produkcji filmów i przypominają swoim wyglądem wiejskich dzierżawców lub handlarzy bydła; kilkanaście dziewcząt, statystek czy początkujących aktoreczek, ładnych nawet, ale jak gdyby przedwcześnie postarzałych i oszpeconych nienaturalnym zachowaniem, przesadnym makijażem, krzykliwym strojem, chorobliwymi ambicjami; wreszcie całą galerię typków, których nigdy nie brak w kuluarach producentów filmowych: bezrobotnych aktorów, grafomanów, wszelkiego rodzaju natrętów. Wszyscy ci ludzie przechadzali się miarowym krokiem po mozaikowej posadzce lub podpierali złocone ściany, pałac i rozmawiając półgłosem. Sekretarki za kontuarem odbierały liczne telefony albo siedziały nieruchomo, wpatrując się przed siebie wzrokiem tak znudzonym i otępiąłym, że ich oczy wyglądały jak szklane. Od czasu do czasu słychać było ostry, niemiły dźwięk dzwonka; wtedy sekretarki otrząsały się z otępienia, wywoływały czyjeś nazwisko, jeden z interesantów wstawał szybko, po czym zniknął za białymi, zdobnymi w złote esy floresy drzwiami.

Podałem swoje nazwisko i także poszedłem usiąść w głębi sali. Mój stan ducha był równie rozpaczliwy jak poprzedniego dnia, tyle tylko, że byłem o wiele spokojniejszy.

Wystarczyła mi chwila zastanowienia nad rozmową z Emilią, by nabrać pewności, że skłamała mówiąc, że mnie kocha. Ale czy zabrakło mi odwagi; czy też zniechęciła mnie nie udana próba

wydobycia z Emilii całej prawdy, dość że zrezygnowałem na razie z konsekwentnego postępowania; nie odmówiłem Battistie, choć miałem absolutną pewność, że ta praca jest już bezcelowa, jak zresztą całe moje życie. Potem, myślałem, gdy tylko zmuszę Emilię do powiedzenia prawdy, zawsze będę jeszcze miał czas wykręcić się od pisania scenariusza i doprowadzić do zerwania kontraktu. A nawet w pewnym sensie odpowiadało mi bardziej to drugie burzliwsze rozwiązanie. Skandal i straty materialne, jakie by stąd wynikły, ukazałyby jej wyraźniej moją rozpacz i moje niezłomne postanowienie, żeby skończyć raz na zawsze z wszelkimi kompromisami.

Jak już powiedziałem, czułem się spokojny; ale był to spokój pełen apatii i bezwładu: ból nieokreślony budzi niepokój, bo w gruncie rzeczy wierzy się do ostatniej chwili, że jest urojony; lecz prawdziwy ból napętnia na jakiś czas tępym spokojem. Byłem spokojny, lecz

wiedziałem, że prędzej czy później to się musi skończyć: pierwszą fazę, tę pełną podejrzeń, miałem już za sobą, a przynajmniej tak mi się zdawało; niedługo miała się zacząć faza cierpienia, buntu i żalu. Wiedziałem to wszystko, ale wiedziałem także, że między tymi dwiema fazami zapadnie okres śmiertelnego spokoju podobnego do dławiącej, złowróznej ciszy, jaka następuje przed burzą.

Wówczas, gdym czekał na wezwanie Battisty, przyszło mi do głowy, że dotychczas biedziłem się tylko nad jednym problemem, czy Emilia kocha mnie, czy nie. Ale teraz wiedziałem na pewno, że jej

miłość się skończyła. Mogłem więc, pomyślałem prawie zdumiony tym odkryciem, zająć się nowym zagadnieniem, a mianowicie: co było przyczyną zmiany jej uczuć. Tym bardziej że gdybym odgadł tę przyczynę, łatwiej byłoby mi zmusić ją do wyjaśnień.

Muszę powiedzieć, że gdy tylko postawiłem sobie to pytanie, ogarnęły mnie wątpliwości, niemal zdumienie. To było niewiarygodne, absurdalne: Emilia nie miała żadnego powodu, by przestać mnie kochać. Skąd brała się we mnie owa pewność, tego nie umiałbym powiedzieć; tak samo jak nie umiałbym powiedzieć, dlaczego przestała mnie kochać, bo przecież, moim zdaniem, nie dałem jej do tego żadnego powodu.

Oszołomiony, zastanawiałem się przez chwilę nad tą sprzecznością między głosem mojego serca i rozumu.

W końcu, tak jak się to robi przy rozwiązywaniu zadań geometrycznych, powiedziałem sobie: „Załóżmy więc, że ten motyw istnieje, bowiem nie może nie istnieć. I zastanówmy się, jaki to motyw.”

Zauważyłem, że im więcej ma się wątpliwości, tym bardziej liczy się na własną logikę, jak gdyby w nadziei, że rozum rozjaśni to, co gmatwają i przesłaniają uczucia. W tym momencie, w którym instynkt podsuwał mi tak sprzeczne odpowiedzi, znajdowałem przyjemność w racjonalnym rozumowaniu, rozumowaniu detektywa z powieści kryminalnej.

Ktoś został zabity, trzeba znaleźć motyw zbrodni, ponieważ to doprowadzi do ujęcia mordercy...

Pomyślałem więc, że motywy mogły być dwojakie: pierwsze zależne od Emilii, drugie ode mnie. A pierwsze, jak zorientowałem się w jednej chwili, ograniczyły się do jednego: Emilia nie kochała mnie już, ponieważ kochała innego.

Z początku wydało mi się, że mogę bezwzględnie odrzucić tę hipotezę. W zachowaniu Emilii nie dopatrzyłem się niczego, co wskazywałoby na istnienie w jej życiu innego mężczyzny, wręcz przeciwnie, zauważyłem u niej wzrastającą skłonność do samotności.

Wiedziałem, że Emilia prawie cały czas spędza w domu, czyta, telefonuje do matki, robi porządki w mieszkaniu; natomiast jeśli szło o rozrywki, kino, spacer, kolacje w restauracji, zawsze dzieliła je ze mną. Jej życie było bez porównania bardziej urozmaicone i światowe zaraz po ślubie, kiedy pozostały jej jeszcze znajomości z panieńskich czasów. Ale te dość szybko się skończyły, a ona coraz bardziej lgnęła do mnie, co czasami stawało się nawet wręcz kłopotliwe. Z drugiej strony owa zależność bynajmniej nie zmniejszyła się, gdy zaczęło wygasać jej uczucie; nie próbowała nawet w sposób niewinny szukać jakichś nowych znajomości, nie próbowała zastąpić mnie kimś innym: czekała jak dawniej, choć obojętnie, na mój powrót z pracy, a wychodziła z domu tylko ze mną. Obecnie w tej jej zależności, odbarwionej z uczucia, było coś patetycznego i smutnego, jak u osoby, której powołaniem jest wierność i która pozostaje wierna, choćby nawet nie miała już powodów do wierności.

Słowem, pomimo że przestała mnie kochać, w jej życiu istniałem tylko ja.

Z drugiej strony inna jeszcze obserwacja kazała mi wykluczyć tę możliwość, że Emilia jest zakochana w innym mężczyźnie. Znałem ją i wydawało mi się, że znam ją bardzo dobrze. I wiedziałem, że nie potrafi kłamać, przede wszystkim z powodu swojej szorstkiej, bezwzględnej szczerości: najmniejszy fałsz był dla niej nie tyle wstrętny, co nudny i męczący.

Poza tym przy swoim kompletnym braku wyobraźni nie umiała nawet fantazjować, bo nie istniało dla niej nic poza rzeczami konkretnymi i realnymi. Przy takim więc usposobieniu, pewien byłem, że gdyby zakochała się w kimś innym, nie znalazłaby lepszego wyjścia, jak powiedzieć mi to natychmiast i to z nieświadomie okrutną brutalnością, właściwą środowisku, z jakiego pochodziła. Teraz gdy wygasło jej uczucie, stała się wobec mnie powściągliwa i milcząca, lecz o wiele trudniej byłoby jej stworzyć sobie podwójne życie dla ukrywania zdrady. Nie potrafiłaby jak inne kobiety usprawiedliwiać się bytnością u krawcowej albo modystki, wizytami u krewnych czy przyjaciółek, opóźnieniami wynikającymi ze wzmożonego ruchu ulicznego czy niepunktualnego rozpoczęcia seansu kinowego. Nie, jej oziębły stosunek do mnie nie oznaczał bynajmniej, że zapalała miłością do innego. I jeśli istniał jakiś motyw, a nie mógł nie istnieć, należało doszukiwać się go nie w jej życiu, ale w moim.

Byłem tak pogrążony w tych myślach, że w pierwszej chwili nie dostrzegłem stojącej przede mną sekretarki, która powtarzała z uśmiechem: - Panie Molteni... doktor Battista czeka na pana. - Otrząsnąłem się wreszcie z odrętwienia i odkładając na później dalsze

medytacje, szybkim krokiem wszedłem do gabinetu Battisty.

Siedział w głębi dużego salonu, w którym sufit pokryty był freskami, a na ścianach widniały złocone stiuki; metalowe biurko polakierowane na zielono było zupełnie podobne do kontuaru, za którym w przedsiionku siedziały sekretarki. Przyszło mi na myśl w tej chwili, że choć często wspominałem Battistę, nie opisałem go jeszcze, i uważam, że należy to zrobić.

Battista więc był jednym z owych ludzi, których współpracownicy i podwładni obdarzają za plecami wdzięcznymi epitetami w rodzaju: brutal, małpizjon, bestia, goryl. Nie mogę zaprzeczyć, że owe epitety były zasłużone, w każdym razie o ile szło o powierzchowność Battisty. Jednakże ja nie używałem ich nigdy, choćby dlatego, że z zasady nie lubię żadnych przezwisk. Poza tym dlatego, że według mnie te epitety nie uwzględniały podstawowych cech charakteru Battisty, jego nieprzeciętnego sprytu, a nawet finezji, zresztą zresztą ukrywanej pod maską brutalności. Był on na pewno wielkim zwierzem obdarzonym zawziętą i kipiącą witalnością; ale ta witalność wyrażała się nie tylko w jego wielkich apetytach, lecz także w wyszukanych manierach, czasami bardzo wyrafinowanych, służących właśnie do zaspokojenia owych apetytów.

Battista był średniego wzrostu, miał bardzo szerokie ramiona, nisko osadzone biodra i krótkie nogi: stąd właśnie pochodziło jego podobieństwo do dużej małpy i właśnie dlatego obdarzano go wyżej przeze mnie wymienionymi przezwiskami. W jego twarzy było także coś małpiego: włosy, wyłysiałe na skroniach, zmierzwione były po

bokach i nisko opadały na kark; miał gęste i nieprzyjemnie ruchliwe brwi; małe oczy; nos krótki i spłaszczony; usta szerokie, ale prawie bez warg, niby kreska. Battista nie miał brzucha tylko żołądek; chcę przez to powiedzieć, że wypinał do przodu klatkę piersiową. Ręce miał grube, o krótkich palcach, pokryte czarnymi włosami, które rosły też na przegubie i ginęły w mankiecie od koszuli. Gdy byliśmy razem tego lata na plaży, zobaczyłem, że ma gęste uwłosienie także na ramionach, na piersiach i na brzuchu. Ten człowiek o wyglądzie tak grubiańskim miał głos łagodny i miękki, mówił z nieco cudzoziemskim akcentem, bo urodzony był w Argentynie. W tej zgoła nieprzewidzianej i zdumiewającej barwie głosu dopatrywałem się oznaki owego sprytu i finezji, o których przed chwilą wspomniałem.

Battista nie był sam. Przy biurku naprzeciw niego siedział jakiś mężczyzna, którego Battista przedstawił mi jako Rheingolda. Dobrze wiedziałem, kto to taki, choć osobiście zetknąłem się z nim po raz pierwszy. Rheingold był reżyserem niemieckim, który w okresie przed-hitlerowskim w Niemczech zrobił kilka filmów gigantów; odniosły one znaczny sukces. Oczywiście nie dorównywał on artystom tej miary co Pabst czy Lang, ale był bezwzględnie reżyserem pełnym godności, nie podchodził po kupiecku do filmu i miał wielkie ambicje, co do których można by mieć zastrzeżenia, ale które na pewno były poważne. Po objęciu władzy przez Hitlera nic się już o nim nie słyszało.

Mówiono, że pracuje w Hollywood, lecz żaden z jego filmów nie był wyświetlany w ostatnich latach we Włoszech.

Teraz objawił się nagle i niespodziewanie w biurze Battisty. Przyglądałem mu się z zaciekawieniem. Czy widzieliście kiedy na jakimś starym sztychu twarz Goethego?

Równie szlachetna, regularna i olimpijska była twarz Rheingolda i okalały ją tak samo połyskliwe, długie siwe włosy. Słowem była to głowa wielkiego człowieka; dopiero poddając ją dokładniejszym oględzinom stwierdziłem, że temu majestatowi i szlachetności brakowało konsystencji: rysy były dość grube a zarazem kruche i gąbczaste, podobnie jak na olbrzymich maskach, obnoszonych po ulicach w karnawałowym pochodzie. Rheingold wstał, by uścisnąć mi dłoń, skłaniając lekko głowę i sztywno, po niemiecku szurgając obcasami; zobaczyłem wtedy, że jest niski, choć - jak gdyby dla podkreślenia majestatu twarzy - szeroki w ramionach. Zauważyłem także, że witając się ze mną, uśmiechnął się bardzo serdecznie, przy czym kąciki jego ust uniosły się w górę, ukazując zęby tak białe i regularne, że od razu przyszło mi na myśl, że ma sztuczną szczękę. Lecz gdy tylko usiadł z powrotem, ten uśmiech znikł bez śladu, tak jak ginie księżyc na niebie, gdy zachodzi nań chmura. Jego twarz przybrała teraz wyraz twardy i nieprzystępny, było w niej coś pogardliwego i autorytatywnego zarazem.

Battista, zgodnie ze swoim zwyczajem, zaczął okrężną drogą podchodzić do interesu.

Powiedział wskazując na Rheingolda:

- Mówiliśmy właśnie z Rheingoldem o Capri... A czy pan zna Capri, panie Molteni?

- Trochę - odpowiedziałem.

- Mam willę na Capri - ciągnął dalej Battista - i mówiłem właśnie Rheingoldowi, co to za uroczy zakątek... Capri to miejscowość, gdzie nawet ja, człowiek interesu, czuję się po trosze poetą. - Była to jedna z najbardziej charakterystycznych cech Battisty: entuzjazmowanie się tym, co piękne i wzniosłe, słowem wszystkim, co wkraczało w sferę ideału. Ale najbardziej zadziwiało mnie to, że jego entuzjazm był naprawdę szczery, choć zmierzał zawsze do niezbyt bezinteresownych celów. Po chwili zaczął mówić dalej, prawie wzruszony własnymi słowami. - Przebogata przyroda, cudowne niebo, morze zawsze błękitne... i kwiaty, wszędzie dokoła kwiaty. Myślę, że gdybym był pisarzem jak pan, panie Molteni, to chciałbym zamieszkać na stałe tam właśnie, u źródła natchnienia... dziwne, że malarze nie malują pejzażów z Capri, lecz zasypują nas ohydnymi kiczami, z których nic nie można zrozumieć... można powiedzieć, że na Capri obrazy są już gotowe... wystarczy spojrzeć na krajobraz i kopiować go...

Nic nie odpowiedziałem; zerknąłem z ukosa na Rheingolda i zobaczyłem, że kiwa potakująco głową, z tym swoim uśmiechem przypominającym sierp księżyca na bezchmurnym niebie. Battista mówił dalej: - Ciągle myślę o tym, by spędzić tam kilka miesięcy i raz w życiu poleniuchować, ale nigdy mi się nie udaje... my, mieszczuchy, prowadzimy życie przeciw naturze... Człowiek nie jest stworzony po to, żeby żyć wśród papierów przy biurku...

I rzeczywiście ludzie na Capri wyglądają na o wiele

szczęśliwszych od nas.

Trzeba ich widzieć, jak wychodzą wieczorem na spacer: młodzi chłopcy, dziewczęta, uśmiechnięci, spokojni, weseli, pełni wdzięku... To dlatego, że nie próbują osiągnąć czegoś wielkiego w życiu.

Małe ambicje, drobne interesy, małe kontrasty... ba, szczęśliwcy.

Znowu zaległo milczenie, po czym Battista ciągnął dalej: - Jak już powiedziałem, mam willę na Capri i niestety nigdy w niej nie mieszkam. Od czasu kiedy ją kupiłem, spędziłem tam zaledwie kilka dni. Mówiłem właśnie Rheingoldowi, że ta willa nadawałaby się idealnie na opracowanie scenariusza filmu. Pejzaż da wam natchnienie... także i dlatego że, jak już powiedziałem Rheingoldowi, ten pejzaż jest stonowany z tematem filmu.

Rheingold odpowiedział: - Można wszędzie pracować, proszę pana... Oczywiście, że pobyt na Capri miałby swoje dobre strony, tym bardziej że, jak myślę, będziemy kręcić plenery w Zatoce Neapolitańskiej.

- Oczywiście... jednakże Rheingold mówi, że woli mieszkać w hotelu, bo ma różne swoje przyzwyczajenia, a poza tym w pewnych godzinach chce być sam, żeby spokojnie pomyśleć nad scenariuszem. Uważam natomiast, że pan, panie Molteni, mógłby zamieszkać w willi razem z żoną. Mnie zrobicie tym wielką przyjemność, nareszcie ktoś tam będzie mieszkał... w willi są wszystkie wygody i nie będzie wam trudno znaleźć kobietę, która zajmie się gospodarstwem...

Jak zawsze, od razu pomyślałem o Emilii; i pomyślałem także, iż taki pobyt na Capri, w pięknej willi, mógłby rozwiązać wiele

problemów. Powiem prawdę: nagle, bez żadnego powodu, ogarnęła mnie pewność, że to rozwiąże wszystko. I dlatego podziękowałem Battiście ze szczerym uniesieniem: - Dziękuję... ja też uważam, że Capri to wymarzone miejsce do pisania scenariusza... i chętnie zamieszkamy z żoną w pańskiej willi.

- Doskonale, wobec tego możemy to uważać za uzgodnione - powiedział Battista podając mi rękę gestem, który mnie trochę obraził: wyglądało na to, że chce tym sposobem powstrzymać potok dalszych podziękowań. - Doskonale, pojedziecie na Capri i ja też tam się wkrótce zjawię. A teraz porozmawiajmy trochę o filmie.

„Najwyższy czas” - pomyślałem i uważnie spojrzałem na Battistę. Wyrzucałem sobie teraz, że tak pochopnie przyjąłem jego zaproszenie. Nie wiedziałem czemu, ale czułem, że Emilia nie pochwali mego pośpiechu. „Powinienem był mu powiedzieć, że muszę się namyślić - myślałem nieco poirytowany - że muszę się poradzić z żoną.” Także i radość, jaką przyjąłem zaproszenie, wydawała mi się niewłaściwa, zupełnie nie na miejscu. A tymczasem Battista mówił dalej: - Wszyscy zgadzamy się co do tego, że w filmie trzeba wynaleźć coś nowego... okres powojenny mamy już za sobą i odczuwa się potrzebę nowej formuły.

Neorealizm, na przykład, trochę już znudził wszystkich... Otóż, analizując przyczyny, dla których znudził nas film neorealistyczny, może dojdziemy do tego, jaka winna być ta nowa formuła.

Pisałem już o tym, że ulubionym konikiem Battisty było podchodzenie okrężną drogą do tematu. Battista nie był cynikiem, a w

każdym razie zależało mu na tym, by za takiego nie uchodzić. Toteż w przeciwieństwie do innych reżyserów pomijał milczeniem sprawy finansowe i bardzo trudno było wyciągnąć coś od niego na ten temat. Zysk, który był dla niego nie mniej ważny niż dla innych, a może nawet i ważniejszy, pozostawał zawsze w dyskretnym cieniu. A jeśli na przykład temat filmu nie wydawał mu się dość rentowny, nie mówił jak większość reżyserów: „Nie zarobimy złamanego szeląga”, ale: „Ten temat nie podoba mi się z tego czy innego powodu” - i motywy były zawsze z dziedziny estetyki lub moralności.

Pomimo to zawsze i tylko zysk decydował o jego ostatecznym wyborze; po długich dyskusjach o tym, co ma największą wartość artystyczną w sztuce filmowej, po przewlekłych wstępach, które ja nazywałem „zasłonami dymnymi” Battisty, wybór padał niezmiennie na tematy najbardziej komercyjne. Dlatego też już od dawna straciłem zainteresowanie dla długich i skomplikowanych wywodów Battisty o filmach złych i dobrych, moralnych i amoralnych i czekałem spokojnie, kiedy wyłoni się najistotniejsza dla niego sprawa: strona finansowa. Tym razem także pomyślałem: „Oczywiście nie powie, że film neorealistyczny znudził reżyserów dlatego, że jest nierentowny... posłuchajmy, co też wymyśli.”

Rzeczywiście Battista po chwili namysłu oświadczył: - Moim zdaniem film neorealistyczny trochę znudził wszystkich przede wszystkim dlatego, że nie jest zdrowy.

Przerwał, a ja spojrzałem z ukosa na Rheingolda: nawet nie mrugnął okiem.

Battista, który swoim milczeniem chciał podkreślić słowo „zdrowy”, przeszedł teraz do wyjaśnienia:

- Kiedy mówię, że film neorealistyczny nie jest zdrowy, mam na myśli, że nie jest to film, który by zachęcał i budził zaufanie do życia... film neorealistyczny jest deprymujący, pesymistyczny, szary... pomijając już kwestię, że przedstawia Włochy jako kraj obdartusów, ku wielkiej radości cudzoziemców, w których interesie leży uważać nas za nędzarzy.

A więc pomijając nawet tę kwestię dostatecznie ważną, kładzie on zbyt duży nacisk na negatywne strony życia, na to wszystko, co jest brzydkie, brudne i anormalne w egzystencji człowieka... słowem, jest to film pesymistyczny, niezdrowy, film, który przypomina ludziom trudności życiowe, zamiast pomóc im w ich przezwyciężaniu.

Spojrzałem na Battistę i znowu, po raz nie wiem który, ogarnęła mnie niepewność, czy on udaje, czy też rzeczywiście mówi to, co myśli. Z jego słów niewątpliwie była szczerść; może jednak była to tylko szczerść człowieka, który łatwo nabiera przekonania do tego, co wychodzi mu na dobre, tak czy owak była to w każdym razie szczerść.

Battista mówił dalej tym swoim głosem o prawie nie ludzkiej barwie, metalicznym nawet przy lekkim natężeniu: - Rheingold zrobił pewną propozycję, która mnie zainteresowała.

Zauważył, że w ostatnich latach cieszyły się wielkim powodzeniem filmy oparte na Biblii...

Rzeczywiście te filmy miały największe kasy - dodał w tym

miejscu niemal ze smutkiem, ale takim tonem, jak by otwierał w tym miejscu nawias i życzył sobie, by nie przywiązywano do tych słów żadnego znaczenia. - Ale dlaczego? Według mnie dlatego, że Biblia jest i będzie zawsze najzdrowszą księgą na przestrzeni wieków... A więc Rheingold powiedział mi:

Anglosasi mają Biblię, wy, narody Morza śródziemnego, macie Homera... czy nie tak? - przerwał zwracając się do Rheingolda, jak gdyby niepewny, czy dobrze przytoczył jego słowa.

- Tak, tak - potwierdził Rheingold z lekkim odcieniem niepokoju na uśmiechniętej twarzy.

- Dla was - ciągnął dalej Battista, znowu cytując Rheingolda - Homer jest tym, czym Biblia dla Anglosasów... Dlaczego nie mielibyśmy na przykład zrobić filmu osnutego na Odysei?

Zaległo milczenie. Zdumiony, zadałem pytanie, by zyskać na czasie: - Osnutego na całej Odysei czy też na jednym z epizodów?

- Dyskutowaliśmy nad tym - z miejsca odrzekł Battista - i doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie wziąć pod uwagę całość Odysei. Ale to nieistotne... najważniejsze jest to - dorzucił podnosząc głos - że czytając ostatnio Odyseję, zrozumiałem nareszcie, czego ja przez cały czas szukałem, nie zdając sobie z tego sprawy, czego, jak wyczuwałem, nie znalazłbym na przykład w filmach neorealistycznych... czego nie znajdowałem nigdy w tematach, które niedawno proponował mi pan, panie Molteni... Słowem czegoś, co

potrzebne jest zarówno w filmie, jak i w życiu: poezji.

Znowu spojrzałem na Rheingolda: uśmiechał się w dalszym

ciągu, może nawet jeszcze szerzej niż przedtem i kiwał potakująco głową. Powiedziałem dość sucho, na chybił trafił: - Oczywiście, że Odyseja to czysta poezja... jest z czego czerpać... tylko cały szkopał w tym, żeby umieć przenieść ją na ekran.

- Słusznie - rzekł Battista, biorąc z biurka linijkę i przykładając mi ją do piersi - słusznie, ale od tego jesteście właśnie wy dwaj, pan i Rheingold. Wiem, że to czysta poezja... waszym zadaniem będzie tę poezję wydobyć.

- Odyseja to cały świat - odpowiedziałem - można z niej wydobyć, co tylko dusza zapagnie... trzeba wiedzieć, z jakiego punktu widzenia do niej podejść.

Teraz wyglądało na to, że Battista jest skonsternowany moim brakiem entuzjazmu: przyglądał mi się uważnie, jak gdyby chciał odgadnąć, co się kryje za maską powściągliwości. Najwidoczniej rozmyślił się jednak po chwili, odkładając ten egzamin na później, wstał bowiem, obszedł biurko dokoła i zaczął spacerować po pokoju z podniesioną głową i z rękami w kieszeniach spodni. Odwróciliśmy się w jego stronę, a on zaczął mówić dalej: - Co uderzyło mnie najbardziej w Odysei, to że poezja Homera zawsze jest obrazowa... Film musi być obrazowy, widowiskowy, to się właśnie podoba publiczności.

Weźmy na przykład epizod z Nausikaa... te wszystkie piękne, nagie dziewczęta, które pluskają się w wodzie pod okiem ukrytego za krzakiem Ulissesa... i proszę, macie już z małym wariantem scenę z „Piękności w kąpielu”. Albo weźcie Polifema: potwora z jednym

okiem, olbrzymia, dzieciojada... ależ to King Kong, jeden z największych powojennych sukcesów... albo na przykład taka Circe w swoim pałacu... toż to Antinea z „Atlantydy”. Oto, co nazywam prawdziwym widowiskiem... i takie widowisko jest nie tylko widowiskiem, ale i poezją. - Podniecony w najwyższym stopniu Battista stanął przed nami i powiedział uroczyście: - Oto jak widzę Odyseję wyprodukowaną przez „Triumpf Film”.

Nic na to nie odpowiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że poezja jest czym innym dla Battisty, a czym innym dla mnie i że według tej jego koncepcji Odyseja nakręcona przez „Triumpf Film” byłaby filmem skopiowanym z wielkich filmów biblijnych w sosie amerykańskim, pełnych erotyzmu i górnolotnych frazesów, z potworami, nagimi kobietami, scenami uwodzenia dziewczyc. Powiedziałem sobie, że w gruncie rzeczy Battista ma jeszcze ten sam gust, jaki mieli włoscy producenci filmowi za czasów d’Annunzia; i jak mogłoby być inaczej? Tymczasem Battista znowu okrążył biurko dokoła, usiadł i zapytał mnie:

- A co pan o tym powie, panie Molteni?

Każdy, kto jest obeznany ze światem filmowym, wie, że są takie filmy, o których nawet przed napisaniem pierwszego słowa scenariusza wiadomo, że zostaną wyprodukowane; są natomiast i takie, które po podpisaniu kontraktu, po zapisaniu setek stron scenariusza nie dochodzą do skutku. Teraz, wyrobionym już węchem zawodowego scenarzysty, wyczułem od razu, że Odyseja jest jednym z tych filmów, o których dużo się mówi, ale które nigdy nie zostają

nakręcone. Dlaczego odniosłem takie wrażenie? Nie wiem, może z powodu zbyt wygórowanych ambicji tego filmu, może z powodu powierzchowności Rheingolda, który był tak majestatyczny, kiedy siedział, i taki niepozorny, kiedy stał. Wydawało mi się, że postać Rheingolda jak gdyby personifikuje losy tego filmu, którego początek będzie wspaniały, a koniec żalospny; przeczuwałem, że sprawdzi się tutaj osławione powiedzenie o syrenach: *desinit in piscem*.^{*} A poza tym dlaczego Battista chciał robić tego rodzaju film?

Wiedziałem, że jest on bardzo ostrożny i uznaje tylko zysk bez ryzyka. Prawdopodobnie w nadziei, że gdy uderzy w strunę wielkiego Homera, znajdzie oddźwięk u finansjery choćby amerykańskiej, która da mu środki na zrealizowanie filmu. Ale wiedziałem również, że gdyby film nie został zrealizowany, Battista znalazłby jakiś pretekst, by nie zapłacić mi za moją pracę; w tym nie różnił się bynajmniej od innych reżyserów. Działo się tak zawsze: jeśli film nie dochodził do skutku, stawiano krzyżyk także nad wypłatami i, co więcej, producent proponował, że przeniesie honorarium za zrobiony już scenariusz na następny, który będzie robiony w przyszłości, i gdzieżby biedny scenarzysta, przyciśnięty do muru, śmiał protestować!

Powiedziałem więc sobie, że muszę się zabezpieczyć na obydwie strony, żądając podpisania umowy, a przede wszystkim wypłacenia zaliczki. Był na to tylko jeden sposób: wysunąć jakieś zastrzeżenia i odmówić współpracy. Odpowiedziałem sucho: - Uważam, że to wspaniały pomysł?

- Ale nie wygląda pan na rozentuzjasmowanego.

- Obawiam się, że to nie jest mój rodzaj - odpowiedziałem dość szczerze - że to jest film, który nie leży w zakresie moich możliwości.

- Dlaczego? - Battista wydawał się teraz zirytowany. - Zawsze pan mówił, że chciałby pan popracować nad naprawdę wartościowym filmem. Daję panu teraz tę możliwość, a pan się wycofuje.

Próbowałem się tłumaczyć: - Widzi pan... czuję, że moim powołaniem są filmy psychologiczne... ten film natomiast, o ile dobrze zrozumiałem, ma mieć przede wszystkim charakter czysto widowiskowy... w guście filmów amerykańskich opartych na tematach biblijnych.

Tym razem Battista nie zdążył mi odpowiedzieć; całkiem nieoczekiwanie zabrał głos Rheingold: - Panie Molteni - powiedział przywołując znowu na swoją martwą twarz sztuczny, półkolisty jak sierp księżycy uśmiech, niczym aktor, który nagle przyprawia sobie pod nosem sztuczne wąsiki; pochylił się ku mnie i uroczyście, niemal uwodzicielsko, rzekł:

- Pan Battista znakomicie to wszystko wyraził, przedstawił obrazowo film, który chcę zrealizować z pańską pomocą. Pan Battista mówił jak producent, trzymając się raczej elementów widowiskowych... Ale jeśli pan czuje powołanie do wątków psychologicznych, powinien pan koniecznie robić ten film, będzie to właśnie film psychologiczny na temat stosunków między Ulisessem i Penelopą... Zamierzam zrobić film o mężczyźnie, który kocha swoją żonę i nie jest przez nią kochany.

Zmieszałem się nieco, tym bardziej że rozjaśniona sztucznym

uśmiechem twarz Rheingolda znajdowała się tuż obok i zdawała się odbierać mi możliwość jakiegokolwiek wykrętu, a trzeba było odpowiedzieć od razu. I właśnie w momencie, kiedy chciałem zaprotestować: „Ależ ta nieprawda, że Penelopą nie kocha Ulissesa!” - słowa reżysera...

„mężczyzna, który kocha swoją żonę i nie jest przez nią kochany” nasunęły mi nagle na myśl moje stosunki z Emilią i moją sytuację mężczyzny nie kochanego, przez żonę. I zarazem przez jakieś tajemne skojarzenie przypomniało mi się coś, co mogło stanowić odpowiedź na pytanie, nad którym głowiłem się w poczekalni Battisty: dlaczego Emilia przestała mnie kochać?

Gdy opiszę teraz ten epizod, wyda się on może długi, ale w rzeczywistości owo podobne do wizji wspomnienie w błyskawicznym tempie przemknęło mi przez głowę. A więc gdy Rheingold przysunął do mnie swoją uśmiechniętą twarz, zobaczyłem nagle siebie dyktującego maszynistce scenariusz w saloniku owej pani, u której przedtem wynajmowaliśmy pokój. Kończyłem właśnie dyktowanie, które trwało dobrych kilka dni; mimo to nie umiałbym nawet powiedzieć, czy maszynistka jest ładna, czy nie.

Dopiero pewien incydent otworzył mi oczy. Przepisywała właśnie jakieś zdanie na maszynie, a ja, stojąc za nią, spojrzałem na arkusz i zauważyłem błąd. Chciałem go sam poprawić, więc pochyliłem się i dotknąłem palcami klawiszy maszyny, przy czym musnąłem niechcący rękę sekretarki. Dopiero wtedy zauważyłem, że ma ona dłoń dużą i silną, kontrastującą z jej drobną budową, i

zauważyłem także, że nie cofnęła ręki. Zamiast błędnie użytego słowa wystukałem na maszynie inne, właściwe, po czym, tym razem świadomie, pogłaskałem ją po palcach. Gdy spojrzałem na jej twarz, zobaczyłem, że patrzy na mnie wymownie, z wyrazem oczekiwania, a nawet zachęty. Wydało mi się wtedy, że widzę ją po raz pierwszy: była pełna wdzięku, miała pełne małe usta, kapryśny nosek, duże czarne oczy i gęste, zaczesane do tyłu włosy. Ale jej blada, delikatna twarzyczka miała wyraz niechętny, wyniosły i pogardliwy.

Ostatni szczegół: gdy powiedziała: - Przepraszam, nie uważałam - uderzył mnie jej suchy, chłodny, stanowczo niemiły ton głosu. Spojrzałem na nią znowu: nie tylko że śmiało wytrzymała mój wzrok, ale spoglądała na mnie wręcz zaczepnie. Musiałem się widocznie zmieszać czy rzucić jej wymowne spojrzenie, bo potem przez kilka dni ciągle patrzyliśmy na siebie. A raczej ona wpatrywała się we mnie wyzywająco, ze świadomym bezwstydem, szukając moich oczu, kiedy je odwracałem, zaborczo świdrując mnie wzrokiem, gdy tylko zdarzyło mi się na nią spojrzeć. Jak to zawsze bywa, z początku te spojrzenia były rzadkie, potem coraz częstsze; w końcu, nie wiedząc, jak ich uniknąć, dyktowałem stojąc za jej plecami. Ale uparta kokietka znalazła sposób, żeby przewyciężyć i tę przeszkodę; patrzała na moje odbicie w lustrze, które wisiało naprzeciw, tak więc ilekroć podnosiłem oczy, napotykałem w lustrze jej nieustępliwy wzrok. Wreszcie to, czego pragnęła, stało się; pewnego dnia, kiedy jak zwykle pochylałem się nad jej ramieniem, by poprawić błąd, i spojrzałem na nią, spotkały się nasze oczy, a potem nasze usta w

nagłym pocałunku. Jej pierwsze słowa po pocałunku były dość charakterystyczne: - No nareszcie!...

Myślałam już, że nigdy się nie zdecydujesz. - Jednym słowem, zdawała się być pewna, że ma mnie już w garści, tak pewna, że zaraz po pocałunku zabrała się z powrotem do pracy, nie zwracając na mnie uwagi. Poczulem zmieszanie i niesmak: ta dziewczyna podobała mi się, bez wątplenia, inaczej nie pocałowałbym jej, lecz byłem także pewien, że nie jestem w niej zakochany i że ona wydarła mi ten pocałunek, drażniąc moją męską próżność swoim prowokującym a pochlebny dla mnie uporem. Teraz pisała na maszynie ze spuszczonej oczyma, nie patrząc już na mnie, ładniejsza niż kiedykolwiek z tą swoją bladą, okrągłą twarzą i czarną, gęstą czupryną. Po chwili, może naumyślnie, znowu zrobiła błąd i ja, jak przedtem, pochyliłem się nad nią, żeby go poprawić. Lecz ona obserwowała każdy mój ruch i gdy tylko zbliżyłem twarz do jej twarzy, gwałtownie się odwróciła obejmując mnie ramieniem za szyję i przysuwając swoje usta do moich. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i weszła Emilia.

Sądzę, że nie muszę opisywać ze szczegółami tego, co się potem stało. Emilia wycofała się natychmiast, a ja szybko powiedziałem sekretarce: - Na dzisiaj praca skończona... może pani iść do domu. - Potem niemal biegiem opuściłem salon i dogoniłem Emilię, już w naszym pokoju. Oczekiwałem sceny zazdrości, ale na mój widok Emilia ograniczyła się tylko do krótkiej uwagi: - Mógłbyś przynajmniej zetrzeć sobie z ust szminkę. - Wytarłem usta, a potem

usiadłem przy Emilii i próbowałem się usprawiedliwić, mówiąc całą prawdę. Słuchała mnie, przybierając nieokreślony wyraz twarzy, ponuro nieufny i pobłażliwy zarazem. W końcu oświadczyła, że jeśli naprawdę zakochałem się w sekretarce i chciałbym wziąć separację, to ona nie ma nic przeciwko temu. Ale powiedziała to bez cienia goryczy, tylko z melancholijną łagodnością, jak gdyby z niemą zachętą, bym zaprzeczył.

Wreszcie po dłuższych wyjaśnieniach i rozpaczliwych prośbach (byłem wprost przerażony myślą, że Emilia mogłaby mnie opuścić) udało mi się uzyskać jej przebaczenie.

Tego samego dnia po południu w obecności Emilii zatelefonowałem do sekretarki i poinformowałem ją, że nie będzie mi już potrzebna. Próbowała namówić mnie na spotkanie poza domem, ale odpowiedziałem jej w sposób wymijający i od tej pory nie widziałem jej więcej.

Jak już powiedziałem, owo wspomnienie może się wydać długie, lecz w istocie mignęło mi ono z zawrotną szybkością w pamięci, sprowadziło się do obrazu Emilii, która otwiera drzwi, podczas gdy ja całuję sekretarkę. I ogarnęło mnie zdumienie, że przedtem nie przyszło mi to do głowy. Niewątpliwie, pomyślałem, wypadki potoczyły się w sposób następujący: Emilia udawała, że nie przykłada wagi do tego incydentu, a tymczasem, może nawet podświadomie, była głęboko dotknięta. I z czasem nie tylko o tym nie zapomniała, lecz narastało w niej przekonanie, że spotkał ją gorzki zawód; tak więc ten pocałunek, który był przemijającą słabostką z

mojej strony, ją zranił w samo serce i owa rana nie tylko nie chciała się zabiżnić, ale jąrzyła się coraz boleśniej. Myśląc o tym musiałem mieć bardzo roztargniony wyraz twarzy, bo wyrwał mnie nagle z odrętwienia głos Rheingolda, który pytał z niepokojem: - Czy pan mnie słyszy, panie Molteni?

Oprzytomniałem w jednej chwili i zobaczyłem tuż koło siebie uśmiechniętą twarz reżysera. - Przepraszam - powiedziałem - zamyśliłem się właśnie nad tym, co mówił pan Rheingold: mężczyzna, który kocha swoją żonę i nie jest przez nią kochany...

Ale... ale... - nie wiedząc co powiedzieć, wystąpiłem nagle z zastrzeżeniem, które w ostatniej chwili przyszło mi do głowy: - Ależ Ulisses kocha Penelopę z wzajemnością... co więcej, motorem całej Odysei jest miłość Penelopy do Ulissesa.

Zobaczyłem, że Rheingold przyjął moją odpowiedź z pobłażliwym uśmiechem. - Wierność, panie Molteni, nie miłość... Penelopa jest wierna Ulissesowi, ale nie wiemy, do jakiego stopnia jest w nim zakochana... a jak pan wie, można być najwierniejszym, a przy tym nie kochać... A nawet w pewnych wypadkach wierność jest formą zemsty, szantażu, odwetem upokorzonej miłości własnej... Wierność, nie miłość.

Znowu uderzyły mnie słowa Rheingolda; i znowu musiałem pomyśleć o Emilii, zadając sobie pytanie, czy zamiast jej wierności i obojętności nie wolałbym zdrady. Bo niewątpliwie gdyby Emilia zdradziła mnie i czuła się wobec mnie winna, byłbym o wiele spokojniejszy. Ale właśnie przed chwilą doszedłem do wniosku, że

Emilia nie zdradza mnie, co więcej, że ja ją zdradzam. Tym razem wyrwał mnie z kręgu moich myśli głos Battisty: - Panie Molteni, więc to już postanowione, będzie pan współpracował z Rheingoldem.

Odpowiedziałem z wysiłkiem: - Tak, postanowione.

- Doskonale - odrzekł z wyraźną satysfakcją Battista - a więc zrobimy tak:

Rheingold musi jechać jutro rano do Paryża i zatrzyma się tam przez tydzień. W ciągu tego tygodnia pan przygotuje streszczenie Odysei i przyniesie mi je. Zaraz po powrocie Rheingolda z Paryża pojedziecie na Capri i od razu weźmiecie się do pracy.

Zobaczyłem, że po tym oświadczeniu Rheingold wstaje, wstałem więc machinalnie i ja. Wiedziałem, że powinienem pomówić o umowie i o zaliczce, bo w przeciwnym razie będę siedział w kieszeni u Battisty. Lecz nie dawała mi spokoju myśl o Emilii, a bardziej jeszcze niepokoiła mnie dziwna zbieżność homerowskiej interpretacji Rheingolda z moimi osobistymi sprawami. W każdym razie gdy szliśmy już do drzwi, udało mi się wyjąkać: - A kontrakt?

- Kontrakt jest gotowy - odrzekł całkiem nieoczekiwanie Battista obojętnym tonem - i zaliczka przygotowana. Może pan, panie Molteni, wstąpić teraz do sekretariatu, żeby ją odebrać i podpisać kontrakt.

Byłem niemal ogłuszony ze zdziwienia: oczekiwałem, że tak samo, jak bywało przy innych scenariuszach, Battista wystąpi z subtelnymi wykrętami, byle tylko zmniejszyć mi honorarium lub opóźnić jego wypłacenie. A tymczasem płacił bez słowa, nie wdając

się w żadne dyskusje. Cisnęły mi się na usta słowa podziękowania i gdy przeszliśmy wszyscy trzej do sąsiedniego pokoju, gdzie mieścił się dział administracyjny, szepnąłem: - Dziękuję panu... pan wie, że potrzebuję pieniędzy...

Zagryzłem usta; przede wszystkim nie zgadzało się to z prawdą: nie potrzebowałem pieniędzy aż tak, jak dawały do zrozumienia moje słowa; poza tym czułem, sam nie wiedząc dlaczego, że nie powinienem był tego powiedzieć. Moje wyrzuty sumienia wzmogły się jeszcze, gdy Battista dodał: - Odgadłem to, drogi chłopcze - tu poklepał mnie protekcyjnym, ojcowskim gestem po ramieniu - i chciałem dopomóc. - Potem zwrócił się do siedzącego za biurkiem sekretarza: - To pan Molteni... przyszedł podpisać umowę i wziąć zaliczkę.

Sekretarz od razu wstał, wziął akta i wyjął z teczki gotowy już kontrakt, do którego przyczepiony był spinaczem czek. Battista uścisnął dłoń Rheingolda, mnie po raz drugi poklepał po ramieniu, życząc owocnej pracy, i wrócił do swego gabinetu. - Panie Molteni - rzekł Rheingold zbliżając się i wyciągając do mnie rękę - zobaczymy się po moim powrocie z Paryża... pan tymczasem zrobi streszczenie Odysei, pokaże Battiście i razem je przedyskutujecie.

- Dobrze - odrzekłem patrząc na niego z pewnym zdziwieniem, bo wydało mi się, że mruga do mnie porozumiewawczo.

Rheingold popatrzył mi w oczy, ujął mnie za ramię i przysuwając usta do mego ucha, szepnął: - Niech pan będzie spokojny... proszę się o nic nie bać... niech Battista mówi, co chce, a

my zrobimy film psychologiczny, tylko i wyłącznie psychologiczny. -
Zauważyłem, że wymawia słowo psychologiczny z niemiecka:
„psükologiczny ”; potem uśmiechnął się, uścisnął mi dłoń, skłaniając
głowę i szurgając obcasami, i wyszedł. Obserwowałem go, jak się
oddalał, po czym usłyszałem głos sekretarza, który mówił: - Panie
Molteni, pan będzie łaskaw podpisać tutaj...

ROZDZIAŁ IX

Już o siódmej wróciłem do domu i na próżno szukałem Emilii po pustym mieszkaniu: nie było jej i zapewne zamierzała wrócić dopiero na kolację. Byłem rozczarowany i nieco rozgoryczony; liczyłem na to, że ją zastanę i pomówię z nią od razu o incydencie z maszynistką; byłem pewien, że właśnie ten pocałunek stał się przyczyną naszego konfliktu, i pełen nowej otuchy sądziłem, że w kilku słowach wyjaśnię całe nieporozumienie; poza tym chciałem się z nią podzielić dobrymi wiadomościami: podpisaniem umowy na Odyseję, otrzymaniem zaliczki i projektowanym wyjazdem na Capri. Można by powiedzieć, że jestem w gorącej wodzie kąpany, bo ta rozmowa mogła się odwlec zaledwie o dwie godziny, niemniej byłem rozdrażniony i zawiedziony, a przy tym gnębiło mnie złe przeczucie. W tej chwili czułem się pewny siebie, lecz kto wie, czy za dwie godziny będę umiał mówić równie przekonywająco. Jak widać, chociaż wmawiałem w siebie, że dotarłem do sedna sprawy, czyli odkryłem przyczynę zobojętnienia Emilii, w gruncie rzeczy dalej trapiła mnie niepewność. I wystarczyła drobna przeszkoda, to, że nie było jej w domu, by napełnić mnie niepokojem i wprawić w zły humor.

Zniechęcony, zdenerwowany, zgnębiony poszedłem do mego pokoju i machinalnie zdjąłem z półki Odyseję w przekładzie Pindemonta. Potem usiadłem przy biurku, założyłem papier na maszynę i zapaliwszy papierosa, zabrałem się do pisania streszczenia.

Myślałem, że praca uspokoi mnie, a w każdym razie da mi

chwilę zapomnienia: już nieraz uciekałem się do tego sposobu. Otworzyłem więc książkę i przeczytałem powoli pierwszą pieśń.

Potem wypisałem na środku strony tytuł: „Streszczenie Odysei” i niżej: „Wojna trojańska jest już skończona. Wszyscy bohaterowie greccy, którzy brali w niej udział, powrócili do ojczyzny. Wszyscy prócz Ulissea, który znajduje się jeszcze daleko od swojej wyspy i od swoich bliskich.” W tym miejscu urwałem, zastanawiając się, czy umieścić w moim streszczeniu naradę bogów, dyskutujących właśnie na temat powrotu Ulissea do Itaki. Uważałem, że owa narada jest szczególnie bardzo istotnym, ponieważ wprowadza do poematu element przeznaczenia i próżności bogów, a zarazem uwydatnia szlachetność i bohaterstwo wysiłków człowieka. Pominięcie tej narady oznaczało wyeliminowanie nadprzyrodzonych pierwiastków w poemacie, przemilczenie interwencji bogów i wykreślenie pełnych uroku, poetyckich postaci najrozmaitszych bóstw. Jednakże nie ulegało wątpliwości, że Battista nie będzie chciał nawet słyszeć o żadnych bogach, których uzna za nudne gaduły, wtrącające swoje trzy grosze do spraw, o których mogą równie dobrze decydować sami bohaterowie poematu. Co do Rheingolda, to jego dwuznaczna wzmianka o filmie psychologicznym również nie wróżyła nic dobrego dla bogów: psychologia wyklucza, rzecz oczywista, przeznaczenie i boskie interwencje. W najlepszym razie dopuszcza istnienie przeznaczenia w głębi duszy ludzkiej, w labiryntach tak zwanej podświadomości. A więc bogowie byli nieużyteczni zarówno od strony obrazowej jak i psychologicznej...

Myślałem o tym wszystkim coraz bardziej chaotycznie i ospale; co chwila rzucałem okiem na maszynę i powtarzałem sobie, że muszę się wziąć do pracy, lecz nie udawało mi się to, nawet nie ruszyłem palcem; wreszcie wpadłem w głębokie, tępe zamyślenie, siedząc nieruchomo przy biurku i wpatrując się w przestrzeń. W rzeczywistości było to nie tyle rozmyślanie, ile przetrwanie cierpkiego smaku przykrych uczuć, które przewalały się we mnie; byłem jednak tak ogłupiały, zmęczony i zdenerwowany, że nie potrafiłem określić ich dokładnie.

Potem, równie nagle jak wyskakuje na nieruchomą powierzchnię stawu pęcherzyk powietrza, który Bóg wie jak długo znajdował się pod wodą, przebiegła mi przez głowę myśl:

- Teraz z kolei będę ćwiartował Odyseję, poddając ją filmowym skrótom... Kiedy skończę pisać scenariusz, ta książka wróci na półki, tak samo jak inne, które służyły mi za podstawę scenariusza... i za kilka lat, szukając znowu nowej książki do nowego scenariusza, zobaczę znowu Odyseję i powiem sobie: - Ach tak, robiłem wtedy razem z Rheingoldem scenariusz do Odysei... i potem nic z tego nie wyszło... nic z tego nie wyszło, chociaż przez kilka miesięcy od rana do nocy mówiło się tylko o Ulissesie, o Penelopie, o Cyklopach, o Circe, o Syrenach... nic z tego nie wyszło, bo... bo zabrakło pieniędzy.

- Ta myśl znowu obudziła we mnie głęboki niesmak do pracy, którą musiałem wykonywać. I znowu z wielkim bólem uświadomiłem sobie, że źródłem owego niesmaku jest pewność, iż Emilia już mnie nie kocha.

Pracowałem dotąd dla Emilii i tylko dla Emilii, gdy zabrakło jej miłości, moja praca nie miała już celu.

Sam nie wiem, jak długo tak siedziałem, nieruchomy, skulony na krześle przed maszyną do pisania, z oczyma utkwionymi w okno. W końcu usłyszałem, że w głębi mieszkania otwierają się drzwi frontowe, potem z sąsiedniego pokoju dobiegł mnie odgłos kroków i zrozumiałem, że Emilia wróciła. Ale nie ruszyłem się z miejsca.

Wreszcie otworzyły się drzwi do sypialni i doleciał mnie za plecami głos Emilii, która pytała: - Jesteś tutaj? Co robisz? Pracujesz?

Stała na progu, jeszcze w kapeluszu, z paczką w ręku. Odpowiedziałem od razu i bardzo stanowczo, co po tylu zwątpieniach i rozterkach zadziwiło mnie samego: - Nie, nie pracuję... zastanawiam się właśnie, czy przyjąć, czy odrzucić nowy scenariusz Battisty.

Zamknęła drzwi, podeszła do mnie i stanęła przy biurku: - Byłeś u Battisty?

- Tak.

- I nie doszliście do porozumienia? Daje ci za mało?

- Nie, daje dużo... i doszliśmy do porozumienia.

- No więc... a może nie odpowiada ci temat?

- Nie, to dobry temat.

- A jaki?

Nie odpowiedziałem od razu i spojrzałem na nią: jak zwykle wyglądała na roztargnioną i obojętną, widać było, że rozmawia ze mną tylko z musu. - To Odyseja - odrzekłem krótko.

Położyła paczkę na biurku, po czym powolnym, leniwym

ruchem zdjęła kapelusz i potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu włosy. Ale jej twarz pozostała bez wyrazu: albo nie zrozumiała, że szło o słynny poemat Homera, albo - co było bardziej prawdopodobne - ten tytuł, który może nawet znała, nic jej nie mówił. - No więc co? - odezwała się wreszcie prawie z niecierpliwością. - Nie podoba ci się temat?

- Przecież ci już powiedziałem, że mi się podoba.

- Czy to ta Odyseja, której uczą w szkole? Dlaczego nie chcesz jej robić?

- Bo ta praca mi nie odpowiada.

- Przecież jeszcze dziś po południu byłeś zdecydowany ją wziąć.

Zrozumiałem nagle, że nadszedł moment powtórnego i tym razem ostatecznego wyjaśnienia. Skoczyłem na równe nogi, chwyciłem ją za ramię i powiedziałem: - Chodźmy do tamtego pokoju, muszę z tobą pomówić.

Przestraszyła się zapewne nie tyle mojego tonu, ile siły konwulsyjnego niemal uchwytu, który zaciskał jej ramię: - Co ci się stało... czyś ty oszalał?

- Nie, nie oszalałem. Chodźmy tam i porozmawiajmy.

Ciągnąłem opierającą się Emilię przez sypialny pokój, otworzyłem drzwi i wepchnąłem ją do salonu wskazując fotel: - Siadaj. - Usiadłem naprzeciw niej i powiedziałem: - Teraz porozmawiamy...

Patrzała na mnie niepewnie, jeszcze trochę wystraszona: - No, mów, słucham cię.

Zacząłem mówić chłodnym, bezbarwnym tonem: - Wczoraj... pamiętasz?... powiedziałem ci, że nie mam chęci pracować nad tym scenariuszem, ponieważ nie jestem pewien, czy mnie kochasz... i tyś odpowiedziała, że mnie kochasz i żebym jednak wziął tę pracę... czy było tak?

- Tak było.

- Otóż ja - oświadczyłem żywo - myślę, że skłamałaś... nie wiem dlaczego, może z litości... może dla interesu...

- Dla jakiego znowu interesu? - przerwała mi cierpko.

- Bo podoba ci się to mieszkanie - wyjaśniłem - i nie miałabyś ochoty się stąd wyprowadzić.

Zaskoczyła mnie gwałtowność jej reakcji. Wyprostowała się na fotelu i zawołała podniesionym głosem: - Kto ci to powiedział? To mieszkanie nic mnie nie obchodzi... Nie obchodzi mnie nic a nic! Jestem gotowa w każdej chwili przenieść się do wynajętego pokoju.

Widzę, że wcale mnie nie znasz... powtarzam, że to nic mnie nie obchodzi.

Na te słowa poczułem dotkliwy ból, jak człowiek, który widzi, że obraźliwie, z pogardą odrzuca się jego dar, zdobyty za cenę gorzkich wyrzeczeń i poświęceń.

Przecież to mieszkanie, o którym wyrażała się tak lekceważąco, było owocem dwóch lat mojego życia, dla tego mieszkania rzuciłem ulubioną pracę, wyrzekłem się najdroższych mi ambicji.

Zapytałem słabym głosem, prawie niedowierzająco: - Nic cię nie obchodzi?

- Nic a nic - jej głos był zmieniony, brzmiała w nim wściekłość i pogarda. - Nic!... Zrozumiałeś?... Nic!

- Jeszcze wczoraj mówiłaś, że zależy ci na tym, żeby pozostać w tym mieszkaniu.

- Powiedziałam tak, żeby ci zrobić przyjemność... bo myślałam, że tobie na tym zależy.

Oniemiałem ze zdumienia: a więc to mnie, który poświęciłem moje aspiracje teatralne, mnie, który nigdy nie przywiązywałem wagi do tych rzeczy, mnie zależało na mieszkaniu!

Zrozumiałem, że Emilia obrała teraz taktykę pełną fałszu, nie wiedziałem tylko, z jakiego powodu; i powiedziałem sobie, że na nic się nie przyda rozjątrzać ją wypominaniem, jak bardzo pragnęła tego, czym teraz pogardza. Zresztą sprawa mieszkania była tylko błałym szczegółem, szło o coś bez porównania ważniejszego. - Zostawmy w spokoju mieszkanie - powiedziałem próbując się opanować i nadać mojemu głosowi ugodowe, rzeczowe brzmienie.

- Nie chcę mówić z tobą o mieszkaniu, ale o twoich uczuciach dla mnie... wczoraj, nie wiem, z jakich pobudek, skłamałaś mówiąc, że mnie kochasz... skłamałaś i dlatego nie mam ochoty dłużej pracować dla filmu... bo robiłem to tylko dla ciebie, a skoro mnie nie kochasz, nie widzę powodu, żeby robić to dalej.

- Co ci nasunęło tę myśl, że skłamałam?

- Wszystko i nic... także i o tym mówiliśmy już wczoraj i nie mam ochoty rozwałkować tego na nowo... to są rzeczy, które się czuje, nie potrzeba ich tłumaczyć... a ja czuję, że mnie już nie

kochasz.

Po raz pierwszy uległa odruchowi szczerości: - Dlaczego ty chcesz koniecznie wiedzieć pewne rzeczy - zapytała nagle smutnym znużonym głosem, patrząc w stronę okna.

- Dlaczego?... Daj spokój... Tak będzie lepiej dla nas obojga.

- A więc - powiedziałem ostro - sama przyznajesz, że mogę mieć rację.

- Wcale nie przyznaję... Chciałabym tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju...

Zostaw mnie w spokoju. - Powiedziała te słowa niemal płacząco, a potem dodała: - A teraz dosyć... idę się przebrać. - Wstała i skierowała się ku drzwiom, ale zatrzymałem ją od razu, chwytając przegub jej ręki. Także i dawniej robiłem to wiele razy: ona wstawała, mówiła, że musi już iść, a kiedy przechodziła koło mnie, ujmowałem ją za przegub dłoni, który miała długi i wąski. Lecz dawniej zatrzymywałem ją, bo ogarniało mnie nagle pożądanie i ona wiedziała o tym; przystawała potulnie, czekając, bym przytulił głowę do jej nóg lub wziął ją na kolana. Po słabym oporze z jej strony, długich pieszczotach, kończyło się to wszystko miłością i kochaliśmy się albo na fotelu, albo na stojącym obok tapczanie. Tym razem jednak kierowało mną coś innego i nie bez gorzkości zdawałem sobie z tego sprawę. Nie próbowała mi się wyrwać, ale stała sztywno obok fotela, patrząc na mnie z góry: - Czy dowiem się wreszcie, czego ode mnie chcesz?

- Prawdy.

- Chcesz koniecznie, żeby nasze stosunki jak najgorzej się ułożyły... oto czego chcesz!

- Przyznajesz więc, że ta prawda nie byłaby dla mnie przyjemna?

- Nic nie przyznaję.

- Powiedziałaś przecież, że nasze stosunki przez to gorzej się ułożą.

- Powiedziałam to ot, tak sobie... a teraz puść mnie.

Jednakże nie próbowała się uwolnić, stała bez ruchu, czekając, żebym puścił jej rękę.

Pomyślałem, że wolałbym otwarty wściekły bunt od tej chłodnej i pogardliwej cierpliwości; niemal z nadzieją, że obudzę w niej ciepłe uczucia tym dawnym odruchem, który niegdyś był wstępem do miłości, puściłem jej dłoń i objąłem ją za kolana. Miała na sobie długą, bardzo szeroką, fałdowaną spódnicę. Tuląc się mocno do Emilii gniotłem tę spódniczkę, która owinęła się wokół jej prostych, długich, muskularnych nóg, jak żagiel owijający się wokół masztu. I wtedy ogarnęło mnie nagłe pożądanie, tak rozpaczliwie bezradne, że aż bolesne.

Zwracając oczy ku górze, powiedziałem: - Emilio, co mi masz do zarzucenia?

- Nie mam ci nic do zarzucenia... A teraz pozwól mi odejść. - Jeszcze mocniej objąłem ramionami jej nogi i wtuliłem twarz w jej łono. Zazwyczaj, kiedy to robiłem, czułem już po chwili, że ona kładzie na mojej głowie swoją dużą, kochaną dłoń i głaszcze mnie

leciutko i pieszczotliwie. Był to sygnał, że mi ulega, że i w niej budzi się pożądanie. Lecz tym razem jej dłoń zwisała bezwładnie, nieruchomo. Widząc tę zmianę, doznałem przeszywającego bólu w sercu. Puściłem ją i chwytając znowu jej rękę zawołałem:

- Nie, nie pójdziesz... musisz mi powiedzieć prawdę i to natychmiast! Nie ruszysz się stąd, dopóki nie powiesz mi prawdy!

Emilia w dalszym ciągu spoglądała na mnie z góry; nie patrzyłem na nią, ale czułem jej niepewny wzrok na mojej pochylonej głowie. W końcu powiedziała: - No więc dobrze, sam tego chciałeś... moim życzeniem było utrzymać obecny stan rzeczy. Sam tego chciałeś: tak, nie kocham cię już... oto cała prawda.

Można wyobrażać sobie najprzykrzejsze rzeczy i to wyobrażać sobie z całkowitą pewnością, że są prawdziwe. Lecz potwierdzenie tych przypuszczeń lub raczej tych pewników, zawsze będzie nieoczekiwane i bolesne. Wiedziałem, że Emilia mnie już nie kocha, lecz gdy usłyszałem to od niej samej, krew zakrzepła mi w żyłach. Nie kochała mnie już: te słowa, tylekroć przeze mnie przemyśliwane, nabrały w jej ustach zupełnie nowego znaczenia. Nie były już przypuszczeniem, a nawet pewnością, stały się faktem.

Wzrósł ich ciężar gatunkowy i przybrały w moich myślach rozmiary, jakich nie miały nigdy przedtem.

Nie przypominam sobie dokładnie, jak przyjąłem owo oświadczenie. Prawdopodobnie doznałem wstrząsu jak człowiek, który wskakuje pod lodowaty prysznic z całą świadomością, że woda jest lodowata, a mimo to wzdryga się, jak gdyby się tego nie

spodziewał.

Potem usiłowałem się opanować i zachować się obiektywnie, rzeczowo. Powiedziałem, jak tylko mogłem najłagodniej: - Chodź tu... Usiądź i wytłumacz mi, dlaczego mnie już nie kochasz.

Posłuchała i usiadła znowu, tym razem na tapczanie. Odpowiedziała nieco poirytowana: - Tu nie ma co tłumaczyć... nie kocham cię już i to jest wszystko, co ci mam do powiedzenia.

Zdawałem sobie sprawę, że im bardziej staram się opanować na zewnątrz, tym większy ból mi sprawia wbijająca się w serce drzazga. Odpowiedziałem z twarzą wykrzywioną sztucznym uśmiechem: - Przyznasz chyba sama, że winna mi jesteś jakieś wytłumaczenie... Nawet kiedy oddała się służącą, podaje się jej powód.

- Nie kocham cię już, nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Ale dlaczego! Kochałaś mnie przecież, czy nie?

- Tak, kochałam cię... nawet bardzo... ale teraz cię już nie kocham.

- Bardzo mnie kochałaś?

- Tak, bardzo... teraz jednak wszystko się skończyło.

- Ale dlaczego? Musi przecież istnieć jakiś powód!

- Być może... ale nie umiałabym powiedzieć, jaki... Wiem tylko tyle, że cię nie kocham.

- Nie powtarzaj tego co chwila! - zawołałem tracąc panowanie nad sobą i bezwiednie podnosząc głos.

- Ty mi to każesz powtarzać. Nie chcesz uwierzyć, więc muszę ci powtarzać.

- Teraz już uwierzyłem.

Zaległo milczenie. Emilia paliła papierosa ze wzrokiem utkwionym w podłogę. - A jeżeli to ja ci podam ten powód - powiedziałem - czy uznasz go za prawdziwy?

- Ależ ja sama nie wiem, jaki to był powód.

- Ale jeżeli ci go podam, może przyznasz, że szło właśnie o to.

- No dobrze... powiedz.

„Nie mów do mnie w ten sposób” - miałem ochotę krzyknąć, głęboko zraniony jej lekceważącym, obojętnym tonem. Ale ugryzłem się w język i próbując nadal zachować rozsądek, zacząłem mówić: - Czy pamiętasz tę dziewczynę, która przychodziła do nas kilka miesięcy temu przepisywać mi na maszynie scenariusz? Tę sekretarkę...

Przyłapałaś nas, kiedy całowaliśmy się... Zapomniałem się na chwilę i popełniłem ten idiotyzm... ale przysięgam ci, że to był pierwszy i ostatni pocałunek... nie widziałem jej nigdy więcej... A teraz powiedz prawdę, czy to ten pocałunek oddalił cię ode mnie? Powiedz prawdę... czy właśnie od chwili tego pocałunku przestałaś mnie kochać?

Mówiąc to wszystko obserwowałem ją uważnie. W pierwszej chwili była wyraźnie zdziwiona i jak gdyby przecząco poruszyła ręką; wyglądało na to, że moje przypuszczenie wydaje się jej całkiem nedorzeczne. Potem nagle zamyśliła się i zmienił się wyraz jej twarzy.

Odpowiedziała powoli: - No przypuśćmy, że szło o ten

pocałunek... teraz, kiedy już wiesz, ulżyło ci?

Od razu miałem pewność, że nie idzie o ten pocałunek, że ona chce mi po prostu to wmówić. Wszystko było jasne: początkowo Emilia była po prostu zdumiona moim przypuszczeniem, bardzo dalekim od prawdy; potem nagle wyrachowanie kazało jej przyznać mi rację. Pomyślałem więc, że przyczyna zmiany jej uczuć musiała, być o wiele poważniejsza niż ten przelotny pocałunek. A nie chciała mi wyjawiać tej przyczyny, bo pozostały jej jeszcze resztki względów dla mnie. Wiedziałem, że Emilia nie jest złośliwa i nie lubi nikogo obrażać.

Musiała więc to być przyczyna obrażająca moją godność własną.

Powiedziałem łagodnie: - To nieprawda... to nie był ten pocałunek.

Zdziwiła się: - Dlaczego? Skoro ci mówię, że tak.

- Nie, to nie idzie o ten pocałunek, idzie o coś całkiem innego.

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Wiesz doskonale.

- Daję ci słowo honoru, że nie wiem.

- A ja ci mówię, że wiesz.

Zniecierpliwiła się we właściwy jej jak gdyby macierzyński sposób: - Dlaczego chcesz koniecznie wszystko wiedzieć? Ach, jaki ty jesteś... Po co te dociekania... co cię to obchodzi?

- Bo wolę prawdę, choćby najgorszą, od kłamstwa... A poza tym jeśli nie mówisz mi prawdy, mogę wyobrazić sobie Bóg wie co... najprzykrzejsze dla mnie rzeczy.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie, w milczeniu; a potem zapytała:

- Co cię to obchodzi? Masz przecież spokojne sumienie, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- No, to co cię obchodzi reszta?

- A więc miałem rację - powiedziałem z naciskiem - muszę być przygotowany na najgorsze.

- Wcale tego nie powiedziałam... powiedziałam tylko, że jeśli masz czyste sumienie, reszta nie powinna cię obchodzić.

- Mam spokojne sumienie, to prawda. Ale to nic nie znaczy... czasami i sumienie potrafi oszukać.

- Ale nie twoje, co? - odrzekła z lekką ironią, która wydała mi się jeszcze bardziej obraźliwa niż uprzednia obojętność.

- Także i moje.

- No, muszę iść - oświadczyła nagle. - Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Nie odejdziesz stąd, dopóki nie powiesz mi prawdy.

- Powiedziałam prawdę: nie kocham cię już.

Trudno mi wyrazić, co za wrażenie wywierały na mnie te cztery słowa. Zbladłem i wyjąkałem rozpaczliwie, znękany głosem: - Prosiłem cię już, żebyś mi tego co chwila nie mówiła... to zbyt bolesne dla mnie.

- Mnie też nie jest przyjemnie to powtarzać... ty mnie do tego zmuszasz.

- Dlaczego chcesz mi wmówić, że przestałaś mnie kochać z powodu tego pocałunku? - ciągnąłem dalej, idąc za wątkiem moich

myśli. - Pocałunek to błahostka... ta dziewczyna to głupiutkie stworzenie i nie widziałem jej więcej... i ty wiesz o tym, i rozumiesz to... nie, naprawdę przestałaś mnie kochać dlatego - z namysłem starałem się dobierać słowa, bo niełatwo mi było wyrazić to, co intuicyjnie, lecz niejasno wyczuwałem - że coś zaszło... coś, co zmieniło twoje uczucia dla mnie... i to coś może nawet zmieniło pojęcie, jakie o mnie miałaś, a potem konsekwentnie nastąpiła zmiana uczuć.

Odrzekła szczerym tonem zdziwienia, w którym brzmiała nuta podziwu: - Trzeba przyznać, że jesteś inteligentny.

- Więc to prawda.

- Nie powiedziałam, że to prawda. Powiedziałam tylko, że jesteś inteligentny.

Zrobiłem wysiłek, żeby się skupić, bo czułem, że mam już prawdę - jak się to mówi - na końcu języka. Nalegałem dalej: - Słowem, zanim ta rzecz się stała, myślałaś o mnie jak najlepiej... a potem zaczęłaś myśleć źle i dlatego przestałaś mnie kochać.

- Być może, że właśnie tak było.

Nagle wstrząsnęło mną przerażające uczucie: ten mój rozsądny, rzeczowy ton, czułem to, był fałszywy. Byłem jak najdalszy od rozsądku, przechodziłem nieludzkie katusze, byłem zrozpaczony, wściekły, zdruzgotany. Po co miałem udawać opanowanie? Sam nie wiem, co się ze mną w tej chwili stało. Zanim zdążyłem zdać sobie z tego sprawę, zerwałem się na równe nogi i ryknąłem: - Nie wyobrażaj sobie, że siedzimy tu po to, żeby pleść trzy po trzy!

- Rzuciłem się na nią, chwyciłem ją za gardło i przewróciłem na tapczan, krzycząc jej prosto w twarz: - Powiedz prawdę... powiedz mi wreszcie prawdę... powiedz!

Broniła się, czułem, jak pręży się pode mną jej piękne ciało, które tak kochałem; twarz jej poczerwieniała jak by napuchła, musiałem ścisnąć ją bardzo mocno i uświadomiłem sobie, że chcę ją zabić. Powtórzyłem: - Powiedz wreszcie prawdę - i zarazem jeszcze mocniej zacisnąłem jej szyję. „Uduszę ją teraz! - przemknęło mi przez myśl - ma mnie nienawidzić, to wolę, żeby nie żyła!” Potem poczułem, że Emilia próbuje mnie kopnąć kolaniem w żołądek; udało się jej to zrobić i uderzyła mnie z taką, siłą, że świeczki stanęły mi w oczach.

Ten cios zabolął mnie niemal jak jej słowa: „Nie kocham cię już”; był to cios wroga, który próbuje ugodzić, jak tylko może najdotkliwiej swojego przeciwnika. Lecz mordercza furia opuściła mnie i oderwałem ręce od szyi Emilii. Uwolniła się w jednej chwili i pchnęła mnie tak mocno, że upadłem na tapczan. Zanim zdążyłem oprzytomnieć, krzyknęła rozpaczliwym głosem: - Pogardzam tobą! Oto co czuję do ciebie, oto powód, oto dlaczego przestałam cię kochać. Czuję wstręt, kiedy mnie dotykasz. Wiesz teraz całą prawdę... Pogardzam tobą, brzydzę się ciebie!

ROZDZIAŁ X

Jak już zaznaczyłem, Emilia miała małe wykształcenie: skończyła tylko pięć klas szkoły powszechnej i jedną czy dwie klasy szkoły średniej. Potem przerwała naukę, skończyła kurs stenografii i pisania na maszynie i już jako szesnastoletnia panienska pracowała na posadzie w kancelarii adwokackiej. Pochodziła, jak się to mówi, z dobrej rodziny, to znaczy z rodziny zamożnej, która posiadała niegdyś dobra w okolicach Rzymu. Lecz dziadek przepuścił całą fortunę w nieszczęśliwych spekulacjach handlowych, a ojciec Emilii był do śmierci drobnym urzędnikiem w ministerstwie finansów. Tak więc wyrosła w biedzie i jej sposób myślenia oraz edukacja były mniej więcej na poziomie dziewczyny ze wsi.

Jak niejedna prosta dziewczyna kierowała się we wszystkim tylko i wyłącznie rozsądkiem, co niekiedy graniczyło niemal z głupotą, a co najmniej wskazywało na brak inteligencji. Bywało jednak i tak, że dzięki owemu zdrowemu rozsądkowi umiała czasem formułować, w sposób całkiem dla mnie niezrozumiały i tajemniczy, niezwykle bystre myśli i spostrzeżenia; tak właśnie jak rozumują ludzie prości, którzy idą za głosem natury i których umysłu nie zaciemniają żadne konwencje czy przesady. Mówiła te rzeczy tylko dlatego, że przemyślała je poważnie, szczerze i logicznie, i rzeczywiście z jej słów biła niezaprzeczalna prawda. Lecz nie zdawała sobie sprawy ze swojej logiki, a więc nie chełpiła się nią, i ową skromnością podkreślała jeszcze rzetelność swego zdrowego

rozsądku.

Tak więc tego dnia, gdy krzyknęła: „Pogardzam tobą!”, zrozumiałem w jednej chwili, że słowa, które w ustach innej kobiety mogły być tylko frazesem, u niej wyrażały naprawdę to, co czuła: pogardzała mną i nie było na to żadnej rady. A gdybym nawet nie znał usposobienia Emilii, wystarczył ton, jakim wypowiedziała te słowa: bezpośredni, spontaniczny, ton osoby, która bezwiednie wydobyła je z podświadomości i wypowiedziała może po raz pierwszy w życiu. Tak samo właśnie jak chłop, który wyraża się niejasno, nieskładnie, używając wyłącznie gwary, wyrwie się czasem z zaskakująco trafnym i celnym osądem, który nie zadziwiłby nikogo u osoby wykształconej, ale w ustach prostego człowieka wydaje się wprost niewiarygodny. „Pogardzam tobą” - te dwa słowa, jak stwierdziłem z goryczą, brzmiały równie prawdziwie i przekonywająco, jak inne i całkiem odmienne, które powiedziała po raz pierwszy, wyznając mi swoją miłość: „Kocham cię”.

Byłem tak przekonany o szczerości tych słów, że gdy znalazłem się sam, zacząłem spacerować po pokoju bezmyślnie, z drżącymi rękami, z obłędem w oczach, nie wiedząc, co robić. Te dwa słowa Emilii zdawały się przenikać coraz to głębiej do mojej świadomości, wpijały się niczym dwie drzazgi, sprawiając mi dotkliwy ból; wiedziałem tylko jedno: że cierpię, poza tym nic nie rozumiałem. Oczywiście najboleśniej było to, że Emilia nie tylko

mnie nie kocha, ale mną pogardza; jednakże nie mogąc znaleźć żadnej, choćby nawet najdrobniejszej przyczyny owej pogardy,

doznałem gwałtownego uczucia krzywdy, a zarazem lęku, że może nie dzieje mi się niesprawiedliwość, że może istnieje jednak rzeczywisty motyw owej pogardy, z którego ja nie zdaję sobie sprawy, a który dla innych jest bezsporny. Dotychczas miałem o sobie jak najlepsze pojęcie, tyle tylko że zaprawione lekkim współczuciem, bo uważałem się za człowieka niezbyt szczęśliwego, do którego los nie uśmiechnął się tak jak powinien, lecz daleki byłem od tego, by sobą pogardzać, wprost przeciwnie. Teraz słowa Emilii zburzyły owo pojęcie i po raz pierwszy nasunęły mi podejrzenie, że nie znam siebie, że się przeceniam, słowem, że moja opinia o sobie daleka jest od prawdy.

W końcu poszedłem do łazienki i wsadziłem głowę pod kran; ten zimny prysznic otrzeźwił mnie trochę; wydawało mi się, że mam mózg w płomieniach, jak gdyby Emilia podpaliła go swoimi słowami i dowiodła mi, że to materiał łatwopalny, o czym dotychczas nie wiedziałem. Uczesałem się, umyłem twarz, poprawiłem krawat i wróciłem do salonu.

Lecz widok nakrytego we wnęce pod oknem stołu wzbudził we mnie uczucie buntu: nie mogłem jak codziennie zasiąść do kolacji i jeść w tym pokoju, w którym zdawały się rozbrzmiewać jeszcze głośniejszym echem wstrząsające słowa Emilii. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła ona, z rozpogodzoną już i spokojną twarzą.

Powiedziałem, nie patrząc na nią: - Nie mam ochoty jeść dzisiaj w domu, powiedz służącej, żeby sprzątnęła ze stołu, a potem ubierz się... pójdziemy do restauracji.

Odrzekła ze zdziwieniem: - Przecież kolacja już jest gotowa... potem się wszystko marnuje i trzeba wyrzucać jedzenie.

Ogarnięty wściekłą pasją, krzyknąłem: - Ani słowa więcej! Wyrzucaj sobie, co tylko chcesz, ale ubieraj się natychmiast, bo idziemy do restauracji. - W dalszym ciągu nie patrzyłem na nią i usłyszałem, jak mruknęła: - Ładne maniery. - Potem wyszła zamykając drzwi za sobą.

W kilka minut później wyszliśmy z domu. Na wąskiej ulicy, zabudowanej po obydwu stronach nowoczesnymi kamienicami, podobnymi do naszej, o fasadach pełnych balkonów i tarasów, stał wśród luksusowych maszyn mój mały samochód; był to świeży nabytek, podobnie jak mieszkanie, i zamierzałem go również spłacać z zarobków za dalsze scenariusze. Byłem jego posiadaczem dopiero od kilku miesięcy i przepełniała mnie jeszcze dziecinna próżność, jaką budzi początkowo tego rodzaju ułatwienie sobie życia. Lecz tego wieczoru, gdy nie patrząc na siebie zbliżaliśmy się w milczeniu do samochodu, przemknęło mi przez myśl: „Ten samochód, tak samo jak mieszkanie, jest owocem mojego poświęcenia... i to poświęcenie było bezcelowe”. I rzeczywiście ogarnęła mnie na chwilę świadomość jaskrawego kontrastu między tą luksusową ulicą, na której wszystko zdawało się cenne i nowe, naszym mieszkaniem, które spoglądało na nas oknami trzeciego piętra, samochodem, czekającym o kilka metrów dalej, a moim nieszczęściem. Owo nieszczęście właśnie sprawiło, że te nowe nabytki stały się drażniące i zbyteczne.

Wsiadłem do samochodu i gdy wsiadła także Emilia,

wyciągnąłem rękę, by zamknąć drzwi. Zazwyczaj przy tej okazji głaskałem jej kolana lub zwracając się ku niej całowałem ją w policzek. Tym razem, rozmyślnie, starałem się jej nie dotknąć. Drzwi zatrzęsnęły się głośno i siedzieliśmy przez chwilę nieruchomo, bez słowa. Potem Emilia spytała: - Dokąd jedziemy? - Zastanowiłem się i odrzekłem: - Jedziemy na via Appia.

Nieco zdziwiona, zrobiła uwagę: - Jeszcze za wcześnie na via Appia. Restauracje będą puste, a jest za zimno, żeby siedzieć na powietrzu.

- Nie szkodzi... wystarczy, że będziemy tam my.

Zamilkła, a ja ruszyłem szybko w stronę via Appia. Wyjechałem z naszej dzielnicy, przeciąłem śródmieście i przez ulicę dei Trionfi wjechałem na Passeggiata Archeologica. Oto antyczne, omszałe mury, parki, ogrody warzywne, wille ukryte w drzewach na pierwszym odcinku via Appia. Oto wejście do katakumb, oświetlone dwiema słabymi latarniami.

Emilia miała rację, było jeszcze za wcześnie na via Appia. Gdy weszliśmy do restauracji o archeologicznej nazwie, zobaczyliśmy na sali w pseudoludowym stylu tylko puste stoliki i grupkę kelnerów. Byliśmy jedynymi klientami i nie mogłem powstrzymać się od myśli, że w tej opustoszałej, źle ogrzanej sali, w otoczeniu zbyt licznych, nadskakujących kelnerów, nie rozwiążemy naszych problemów, wręcz przeciwnie. Potem przypomniałem sobie, że dwa lata temu, w okresie naszej miłości, jadaliliśmy najczęściej właśnie tutaj i uzmysłowiłem sobie nagle, dlaczego wśród tylu innych wybrałem

właśnie ten lokal, tak pusty i nieprzytulny o tej porze roku. Z jednej strony stał przy nas kelner z kartą w ręku; z drugiej właściciel restauracji podawał listę win. Zacząłem od potraw, proponując Emilii to i owo, pochylając się ku niej tak, jak powinien robić ugrzeczniony i troskliwy mąż. Siedziała ze spuszczonej oczyma i nie podnosząc ich, odpowiadała monosylabami: - Tak, nie, dobrze. - Zamówiłem też butelkę gatunkowego wina, chociaż Emilia protestowała, mówiąc, że nie pije. - To ja wypiję - powiedziałem. Właściciel lokalu uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo i oddalił się wraz z kelnerem. Nie chcę opisywać szczegółowo tej kolacji, chcę tylko odmalować mój stan ducha, który był czymś całkiem nowym tego wieczoru, ale potem stał się niestety całkiem normalny w moich stosunkach z Emilią. Powiadają, że człowiek może żyć bez zmęczenia nie tylko dlatego, że wykonywa większość ruchów nieświadomie jak automat. Na to, żeby zrobić choćby jeden krok, trzeba współdziałania niezliczonej ilości mięśni, a jednak nie zdajemy sobie z tego sprawy. Coś podobnego dzieje się w naszych stosunkach z innymi ludźmi.

Dopóki wierzyłem, że Emilia mnie kocha, wszystko układało się między nami na zasadzie automatyzmu; świadomość kierowała moim postępowaniem tylko do pewnych granic, reszta pogrążona była w mroku pełnego tkliwości, odruchowego przyzwyczajenia. Lecz teraz, gdy skończyły się złudzenia, odkryłem, że jestem świadomy każdej, najdrobniejszej mojej czynności. Często wałem ją winem, podawałem jej sól, odwracałem od niej wzrok i wszystkiemu, co tylko robiłem, towarzyszyła bolesna, tępa, rozpaczliwa świadomość. Czułem się jak

w pętach, byłem bezwolny, sparaliżowany. Zdawałem sobie sprawę, że przy każdym moim ruchu zapytuję sam siebie: czy zrobię to dobrze, czy zrobię to źle? Jednym słowem znikła dawna, poufała zażyłość. W stosunku do osób całkiem obcych można się starać ją odzyskać, lecz w stosunku do Emilii owa zażyłość należała już do przeszłości, umarła i nie mogłem mieć żadnej nadziei na to, by ją wskrzesić. Tak więc panowało między nami milczenie, przerywane od czasu do czasu banalnymi, nic nie znaczącymi słowami: - Chcesz wina? Może ci podać chleb? Jeszcze kawałek mięsa? - Chciałbym opisać intymny charakter owego milczenia, które wkradło się pomiędzy nas po raz pierwszy tego wieczoru, by nigdy już nas nie opuścić. Było to milczenie nieznośne, bo całkiem negatywne, polegające na zatajaniu tych wszystkich rzeczy, które chciałem wypowiedzieć, a których nie mogłem wykrztusić. Określenie: wrogie milczenie nie odpowiadałoby prawdzie. W istocie nie było między nami wrogości, a w każdym razie z mojej strony, tylko zobojętnienie, bezsilność.

Wiedziałem, że chcę mówić, że mam bardzo wiele do powiedzenia, a zarazem zdawałem sobie sprawę, że za późno już na słowa i że nie potrafiłbym nawet uderzyć w odpowiedni ton.

Utwierdzony w tym przekonaniu milczałem, lecz nie doznawałem pogodnego odprężenia jak człowiek, który nie widzi konieczności zabrania głosu; wręcz przeciwnie, miałem świadomość, że nie znajdujące upustu słowa aż przelewają się we mnie, a mimo to nadaremnie objąłem się o tę świadomość jak o więzienne kraty. Mało

tego: czułem, że owo nieznośne milczenie jest dla mnie pomimo wszystko okolicznością najbardziej sprzyjającą. I że gdybym je przerwał, choćby w sposób jak najtaktowniejszy i serdeczny, wywołałbym dyskusję jeszcze trudniejszą do zniesienia.

Lecz nie przywykłem jeszcze do milczenia. Zjedliśmy pierwsze danie, potem drugie, nie zamieniając ani słowa. Przy deserze nie wytrzymałem i zapytałem: - Dlaczego jesteś taka milcząca?

Odpowiedziała z miejsca: - Bo nie mam nic do powiedzenia.

Nie wyglądała ani smutno, ani wrogo; także i w tych słowach brzmiał akcent prawdy.

Powiedziałem dydaktycznym tonem: - Niedawno powiedziałaś mi rzeczy, które wymagałyby kilku godzin wyjaśnień.

Jej odpowiedź znowu była szczerą: - Zapomnij o tym... zachowuj się tak, jak gdybym w ogóle nic nie powiedziała.

Zapytałem z nutą nadziei w głosie: - Dlaczego miałbym o tym zapomnieć?

Zapomniałbym, gdybym wiedział, że to nieprawda... że te słowa wymknęły ci się tylko w złości.

Tym razem nic nie odpowiedziała. I znowu obudziła się we mnie nadzieja. Może tak było naprawdę: powiedziała, że mną pogardza, bo rozgniewało ją moje niepoczytalne zachowanie. Ostrożnie prowadziłem dalszą indagację: - No przyznaj się, że nie ma ani słowa prawdy w tym, co mi dziś powiedziałaś... powiedziałaś to wszystko dlatego, bo zdawało ci się, że mnie nienawidzisz, i chciałaś mnie obrazić.

Znowu spojrzała na mnie w milczeniu. Wydało mi się, lecz mogłem się mylić, że widzę łzy w jej ciemnych oczach. Ośmielony tym, wyciągnąłem rękę, ścisnąłem jej dłoń i zapytałem: - Emilio, więc to nieprawda?

Wyrwała mi się gwałtownie, nie tylko cofnęła rękę, ale całym ciałem odsunęła się do tyłu: - Nie! To prawda.

Uderzyła mnie brutalna i rozpaczliwa szczerłość tej odpowiedzi. Wyglądało na to, iż ona zdaje sobie sprawę, że wystarczyłoby skłamać, a wszystko ułożyłoby się - przynajmniej na jakiś czas, przynajmniej pozornie. I widać było, że przez sekundę miała pokusę, by skłamać. Przemogła się jednak i nie zrobiła tego. Przeniknął mnie dotkliwy ból i pochylając głowę, wycedziłem przez zaciśnięte zęby: - Czy nie rozumiesz, że pewnych rzeczy, tym bardziej gdy są niczym nie usprawiedliwione, nie wolno mówić nikomu... nikomu, a zwłaszcza własnemu mężowi?

Nic nie odpowiedziała i popatrzyła na mnie niemal z niepokojem: moja twarz musiała być wykrzywiona gniewem. W końcu odrzekła: - Pytałeś mnie, więc ci powiedziałam.

- Ale nie dałaś mi żadnych wyjaśnień.

- Co przez to rozumiesz?

- Musisz mi wytłumaczyć, dlaczego... dlaczego mną pogardzasz?

- Tego nie powiem ci nigdy... nawet w godzinie śmierci.

Zaskoczył mnie jej stanowczy ton. Lecz moje zdziwienie trwało krótko. Porwał mnie taki gniew, że nie miałem czasu na rozmyślanie.

- Powiedz - nalegałem, delikatnie ujmując ją za rękę - powiedz, dlaczego mną pogardzasz?

- Powiedziała ci już, że nigdy się tego nie dowiesz.

- Powiedz albo wykręcę ci rękę. - Wściekły, gwałtownie wykręciłem jej palce.

Przez chwilę spoglądała na mnie ze zdumieniem, po czym grymas bólu skrzywił jej usta i wyraz owej pogardy, o której nie chciała mówić, odmalował się na jej twarzy. - Puść - krzyknęła szorstko - teraz w dodatku znęcasz się nade mną. - Ubodło, mnie słowo „w dodatku”, wyglądało na to, że jestem tyranem; z wściekłości zabrakło mi tchu. - Przestań, nie wstydzisz się? - dodała. - Kelnerzy na nas patrzą.

- Powiedz, dlaczego mną pogardzasz?

- Nie rób z siebie kretyna, puść mnie!

- Powiedz, dlaczego mną pogardzasz?

- Uff! - wyrwała rękę tak gwałtownie, że jedna ze szklanek spadła na ziemię.

Brzęknęło rozbite szkło; Emilia wstała i idąc w kierunku drzwi powiedziała głośno: - Zaczekam na ciebie w samochodzie... zapłać tymczasem rachunek.

Wyszła, a ja siedziałem przy stole bez ruchu, skamieniały, nie tyle ze wstydu (Emilia miała rację, wszyscy kelnerzy w braku lepszego zajęcia patrzyli na nas przez cały czas i nie stracili ani słowa z naszej kłótni), ile z wrażenia, jakie zrobiło na mnie jej zachowanie. Było to coś całkiem nowego: nigdy dotąd nie mówiła do mnie tym

tonem, nigdy jeszcze mnie nie obraziła. Poza tym słowo „w dodatku” jeszcze brzmiało mi w uszach, niczym jedna więcej przykra zagadka do rozwiązania. Kiedy i jak ją skrzywdziłem? Na co skarżyła się tym „w dodatku”? W końcu zawołałem kelnera, zapłaciłem rachunek i wyszedłem.

Na dworze mżył drobny, gęsty deszcz, na który zresztą zanosilo się od rana, bo pogoda była niepewna i mglista. Na ciemnym placyku przed restauracją dostrzegłem nieruchomą postać Emilii, stała przy samochodzie; drzwiczki były zamknięte na klucz i czekała na deszczu bez cienia niecierpliwości. Powiedziałem niepewnym głosem: - Przepraszam cię, zapomniałem, że zamknąłem drzwi na klucz. - Usłyszałem jej spokojny głos: - Nie szkodzi... już prawie nie pada. - Te pełne uległości słowa znowu rozbudziły we mnie szaleńcze złudzenia, że nastąpi między nami zgoda: ona nie mogła mną pogardzać, skoro przemawiała tak miłym, spokojnym głosem. Otworzyłem drzwi i wsiałem do samochodu, Emilia usiadła przy mnie. Zapaliłem motor i powiedziałem głosem, który wydał mi się nagle dziwnie pogodny, prawie wesoły: - No więc Emilio, dokąd masz ochotę pojechać?

Odpowiedziała nie odwracając się i patrząc wprost przed siebie: - Nie wiem... gdzie chcesz.

Nacisnąłem starter i samochód ruszył. Jak już wspomniałem, czułem się teraz swobodnie, byłem pogodny i wesoły; wydawało mi się, że obracając wszystko w żart i lekko podchodząc do tej całej sprawy uda mi się naprawić moje stosunki z Emilią. Sam nie wiem, co

się działo ze mną w tej chwili: może rozpacz jak za mocne wino uderzyła mi do głowy.

Powiedziałem rozbawionym, żartobliwym tonem: - A więc jedźmy przed siebie, na los szczęścia... co będzie, to będzie.

Czułem, że to zdanie wypadło nad wyraz niezgrabnie, że powiedziałem je ni w pięć, ni w dziewięć. Lecz Emilia milczała, a ja folgowałem sobie dalej, czerpiąc z tego nowego, jak mi się zdawało, niewyczerpanego źródła, które niestety wyschło bardzo szybko.

Prowadziłem teraz auto przez via Appia. Światło latarni połyskiwało na niezliczonych niteczkach deszczu; co chwila migały mi przed oczyma cyprysy, stare ruiny, posągi z białego marmuru.

Przejechaliśmy już spory szmat drogi i nagle powiedziałem sztucznym i egzaltowanym tonem: - Zapomnijmy na chwilę, kim jesteśmy i wyobraźmy sobie siebie jako parę studentów, która szuka zacisznego kącika, ukrytego przed niedyskretnymi spojrzeniami, by kochać się w spokoju.

I tym razem nic nie odpowiedziała, więc ośmielony jej milczeniem, przejechałem kawałek drogi, po czym nagle zatrzymałem wóz. Lało teraz jak z cebra, wycieraczki przesuwające się z góry na dół po szybie nie nadążały ze zmywaniem obfitych strug deszczu.

- Jesteśmy parą studentów - powtórzyłem już mniej pewnym tonem - mnie na imię Mario, a tobie Maria... znaleźliśmy wreszcie zaciszny, choć deszczowy kącik... ale w samochodzie jest przytulnie... pocałuj mnie. - Mówiąc to, z uporem pijaka objąłem ją ramieniem i próbowałem pocałować.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Po tym, co zaszło w restauracji, powinienem być przygotowany na to, co się stało. Emilia próbowała początkowo wywinąć się z moich objęć w milczeniu i w sposób raczej łagodny; potem, widząc, że nie ustępuję i chwytając ją pod brodę przyciągam jej twarz do mojej twarzy, odepchnęła mnie twardo: - Czyś ty zwariował... czy jesteś pijany?

- Nie, nie jestem pijany - szepnąłem - pocałuj mnie.

- Ani mi się śni - odrzekła wzgardliwie, znowu odpychając mnie od siebie. Po chwili dodała: - I potem się dziwisz, kiedy ci mówię, że tobą pogardzam... skoro tak postępujesz po tym wszystkim, co zaszło między nami.

- Ależ ja cię kocham.

- A ja nie.

Czułem, że jestem śmieszny, ale w tragiczny sposób, jak człowiek, który znalazł się w podwójnie niemiłej sytuacji, rozpaczliwej i komicznej zarazem. Ale nie chciałem jeszcze dać za wygraną: - Pocałujesz mnie albo dobrowolnie, albo cię do tego zmuszę - wycodziłem tonem, który miał być brutalny i męski. I rzuciłem się na nią.

Nie powiedziała ani słowa, tylko otworzyła drzwi, tak że upadłem do przodu na puste siedzenie. Wskoczyła z samochodu i pobiegła naprzód pomimo deszczu, który lał teraz strumieniami.

Siedziałem przez chwilę jak ogłuszony, wpatrując się w puste miejsce obok siebie.

Potem powiedziałem sobie: „Jestem skończonym głupcem” i

także wysiadłem z
samochodu.

Deszcz mocno zacinał i stawiając nogę na ziemię wdepnąłem aż po kostkę w kałużę.

Zirytowało mnie to, a przy tym poczułem nagle cały ogrom mojego nieszczęścia.

Zawołałem z nutą rozpaczony w głosie: - Emilio... wracaj... bądź spokojna... nie tknę cię już.

Z ciemności dobiegł mnie jej głos, musiała odbiec niezbyt daleko: - Albo się uspokoisz, albo wrócę piechotą do Rzymu.

Odpowiedziałem drżącym głosem: - Wracaj... obiecuję ci wszystko, co chcesz.

Deszcz padał bez przestanku, woda wlewała mi się za kołnierz, niemile ziębiąc kark, czułem też, jak spływa mi po skroniach i po czole. Latarnie samochodu oświetlały tylko krótki odcinek drogi, z boku majaczył kawałek rzymskiej ruiny i wysoki czarny cyprys, którego czubek rozpływał się w gęstym mroku. Lecz choć wypatrywałem oczy, nie mogłem dojrzeć Emilii. Znekany zawołałem jeszcze raz: - Emilio, Emilio - i mój głos załamał się, jak gdybym płakał.

W końcu Emilia wyłoniła się z ciemności i stanęła w kręgu światła reflektorów. - Czy przyrzekasz, że zostawisz mnie w spokoju?
- zapytała.

- Tak, przyrzekam.

Podeszła do samochodu i powiedziała wsiadając: - Co za

idiotyczne żarty...

Przemokłam do nitki, mam mokre włosy... jutro z samego rana będę musiała iść do fryzjera.

Wsiadłem także do samochodu i od razu ruszyliśmy w dalszą drogę. Emilia raz po raz kichała i robiła to ostentacyjnie, jak gdyby chcąc dać mi do zrozumienia, że naraziłem ją na przeziębienie. Lecz nie podjąłem tego wyzwania: prowadziłem teraz wóz jak we śnie. Jak w koszmarnym śnie, w którym jak w rzeczywistości było mi na imię Riccardo i miałem żonę imieniem Emilia, którą kochałem, a która nie tylko mnie nie kochała, ale mną pogardzała.

ROZDZIAŁ XI

Następnego ranka obudziłem się zmęczony i obolały, z uczuciem głębokiego wstrętu do wszystkiego, co miało spotkać mnie tego dnia i w ciągu dni następnych, i w przyszłości, bez względu na to, jak by się ona ułożyła. Emilia spała w sypialni, a ja leżąc na tapczanie w salonie długo jeszcze wylegiwałem się po ciemku, usiłując przyswoić sobie powoli smutną rzeczywistość, o której zapomniałem we śnie. Rozważając moją sytuację, doszedłem do wniosku, że po pierwsze muszę zdecydować, czy wezmę scenariusz Odysei; po drugie dowiedzieć się, dlaczego Emilia mną pogardza; po trzecie znaleźć sposób na odzyskanie miłości Emilii.

Wspomniałem już, że czułem się osłabiony, przygnębiony, bezwolny; od razu zdałem sobie sprawę, że owo niemal biurokratyczne podsumowanie trzech najbardziej zasadniczych kwestii mojego życia nie było niczym innym, jak próbą odzyskania wiary w siebie.

Szukałem pociechy w złudzeniach, nie byłem bowiem ani przewidujący, ani energiczny. Tę zasadę rozbijania problemów na poszczególne konkretne punkty zwykli stosować generałowie, mężowie stanu, ludzie interesu, by uczynić je bardziej uchwytnymi, łatwiejszymi do rozwiązania. Lecz ja nie byłem tego rodzaju człowiekiem, wręcz przeciwnie.

Wiedziałem, że owa przenikliwość i energia, które próbowałem sobie w tej chwili wmówić, obróciłyby się przeciwko mnie, gdybym

tylko chciał przejść do czynu.

Uświadamiałem sobie jasno moją całkowitą bezradność; lecz pomimo to, gdy leżałem na wznak na tapczanie z zamkniętymi oczyma, starając się znaleźć odpowiedź na te trzy pytania, moja wyobraźnia odrywała się od rzeczywistości i ulatywała w obłoki. W tych marzeniach widziałem siebie piszącego scenariusz do Odysei, jak gdyby nigdy nic; potem skłaniałem Emilię do wyjaśnień i dowiadywałem się, że jej pogarda, tak druzgocąca na pozór, powstała w istocie z dziecinnego nieporozumienia; w końcu godziłem się z Emilią.

Lecz gdy myślałem o tym wszystkim, nie uszło mojej uwagi, że wybieram same tylko pomyślne rozwiązania, zgodne z moimi życzeniami. I między tym szczęśliwym zakończeniem a sytuacją rzeczywistą powstawała taka przepaść, że w żaden sposób nie mogłem jej zapełnić; nie udawało mi się znaleźć ani jednego pozytywnego elementu, którego mógłbym się uczepić.

Słowem, pragnąłem rozwiązać tę sytuację tak, jak sobie tego życzyłem, ale nie miałem pojęcia, co należy w tym celu zrobić.

Zacząłem drzemać i w pewnej chwili zasnąłem. Gdy obudziłem się znowu, zobaczyłem siedzącą obok mnie w szlafroku Emilię. W salonie panował półmrok, bo żaluzje nie były jeszcze podniesione, lecz na stoliku przy tapczanie paliła się mała lampka. Emilia weszła więc, zapaliła lampę i usiadła obok mnie, kiedy jeszcze spałem.

Widząc ją blisko siebie, przypomniałem sobie moje dawne, szczęśliwe przebudzenia i na chwilę wstąpiła we mnie nowa nadzieja.

Usiadłem na łóżku, bełkocząc: - Emilio, kochasz mnie?

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała: - Słuchaj, muszę się z tobą rozmówić.

Zrobiło mi się zimno; miałem ochotę jej powiedzieć, żeby nie mówiła, żeby pozwoliła mi spać i zostawiła mnie w spokoju. Jednakże zapytałem: - O czym chcesz mówić?

- O nas.

- Przecież nie ma o czym mówić - odrzekłem próbując opanować nagły niepokój - nie kochasz mnie, mało tego, pogardzasz mną... wszystko zostało wyjaśnione.

- Nie, chciałam ci powiedzieć - zaczęła mówić powoli - że dziś jeszcze przeprowadzę się do matki. Chciałam cię uprzedzić, zanim do niej zatelefonuję... to wszystko.

Nie przewidziałem tego rodzaju możliwości, chociaż po tym, co wczoraj zaszło, było to całkiem logiczne i zrozumiałe. Może się to wydać dziwne, ale naprawdę nie przyszła mi do głowy myśl, że Emilia mogłaby mnie opuścić; uważałem, że osiągnęła już wobec mnie szczyt okrucieństwa swoim dotychczasowym postępowaniem. A tymczasem teraz posunęła się jeszcze dalej, decydując się na krok całkiem nieoczekiwany. Wyjąkałem niewyraźnie: - Chcesz mnie opuścić?

- Tak.

Milczałem przez chwilę; potem poczułem ból, który był tak dotkliwy, że stał się bodźcem do działania. Zeskoczyłem na podłogę, podbiegłem do okna, by podnieść żaluzje, lecz nagle zmieniłem

zamiar, odwróciłem się i zawołałem głośno: - Przecież nie możesz tak odejść... ja nie chcę!

- Nie bądź dzieckiem - odrzekła rozsądnie. - Separacja będzie dla nas jedynym wyjściem. Wszystko się między nami skończyło, w każdym razie jeśli o mnie idzie... tak będzie lepiej dla nas obojga.

Sam nie wiem, co się ze mną działo, kiedy Emilia wypowiedziała te słowa.

Musiąłem zachowywać się jak w ataku szału, sam nie wiedząc, co robię i mówię. Zdaje się, że biegałem po salonie w piżamie, z potarganymi włosami, to błagając Emilię, by mnie nie opuszczała, to wyjaśniając jej moją sytuację, to mówiąc sam do siebie, jak gdyby nikogo nie było w pokoju.

Scenariusz Odysei, mieszkanie, zaległe raty, wyrzeczenie się ambicji teatralnych, miłość dla Emilii, Battista, Rheingold, ludzie i wydarzenia z całego życia, to wszystko sypało się z moich ust szybko i chaotycznie, jak kawałki kolorowego szkła na dnie kalejdoskopu, potrząsanego rozwścieczoną ręką. Lecz jednocześnie czułem, że ten kalejdoskop jest tylko nędznym, złudnym przedmiotem, tylko garstką niczym więcej; i ten kalejdoskop stłukł się teraz: u moich stóp, na ziemi leżały okruchy szkła. A zarazem czułem się opuszczony, co napełniało mnie takim lękiem, że nie byłem w stanie nie tylko myśleć, ale nawet normalnie oddychać.

Wszystko buntowało się we mnie gwałtownie na myśl o rozstaniu i mojej przyszłej samotności. Jednakże zdawałem sobie sprawę, że pomimo całej szczerości owego buntu, nie potrafiłem

znaleźć przekonywających argumentów. Rzeczywiście, gdy chwilami mijało uniesienie, które niczym mgła przesłaniało mi oczy, widziałem siedzącą na tapczanie Emilię i słyszałem jej spokojny głos: - Ależ Riccardo, bądźże rozsądny: to ostatnia rzecz, jaka ci pozostała.

- Ale ja nie chcę - powtarzałem stając przed nią. - Nie chcę.

- Dlaczego nie chcesz? Mniej trochę logiki.

Sam nie wiem, co jej odpowiedziałem, poszedłem w kąt pokoju i wczepiłem palce we włosy, targając je bezlitośnie. Zrozumiałem wtedy, że w tym stanie rozdrażnienia nie potrafię nie tylko przekonać Emilii, ale nawet sklecić najprostszego zdania. Zrobiłem nadludzki wysiłek, by się opanować; usiadłem na tapczanie, pochyliłem się i opierając czoło na rękach, zapytałem: - Kiedy się chcesz wyprowadzić?

- Jeszcze dzisiaj.

Powiedziawszy te słowa wstała i nie zajmując się mną dłużej, wyszła z pokoju.

Nie spodziewałem się, że mnie tak zostawi, jak zresztą nie spodziewałem się tego wszystkiego, co spotkało mnie tego ranka. Siedziałem przez chwilę jak ogłuszony. Potem rozejrzałem się po pokoju i doznałem dziwnego uczucia, które było tak precyzyjne, że krew zakrzepła mi w żyłach: rozstanie było faktem dokonany i już rozpoczęła się moja samotność.

Pokój wyglądał niby tak samo jak przed chwilą, kiedy Emilia siedziała na tapczanie, a jednak spostrzegłem, że wyglądał całkiem inaczej. Nie mogłem powstrzymać się od myśli, że wraz z nią zniknął

jeden z jego wymiarów. Nie był to już ten pokój, na który patrzyłem mając świadomość obecności Emilii, ale pokój, który będę oglądał Bóg wie przez ile lat, wiedząc, że Emilii nie ma przy mnie i nigdy już nie będzie. Posmak rozstania unosił się w powietrzu, bił z każdego mebla, z każdego kąta i co dziwniejsze nie promieniował ze mnie ku otoczeniu, ale z otoczenia ku mnie. Owo doznanie było odbiciem nie tyle myśli, ile wyczulonej, bolesnej wrażliwości. Potem zdałem sobie sprawę, że płaczę, bo poczułem swędzenie w kącie ust i kiedy dotknąłem palcem tego miejsca, było ono mokre od łez. Wyrwało mi się z piersi głębokie westchnienie i zacząłem rozpaczliwie szlochać. W pewnej chwili wstałem i wyszedłem z salonu, światło dzienne wpadające przez otwarte okno w sypialni przez kontrast z półmrokiem salonu wydało mi się nie do zniesienia i raziło moje zapłakane oczy. Emilia siedziała na nie zasłanym łóżku i rozmawiała przez telefon; od razu po pierwszych słowach zorientowałem się, że mówi z matką. Wydało mi się, że ma wyraz twarzy przygnębiony i niepewny; usiadłem przy niej i kryjąc twarz w dłoniach, płakałem dalej. Sam nie wiedziałem, dlaczego płaczę: może opłakiwałem moje zrujnowane życie, a może jakieś dawne zmartwienia, które nie miały nic wspólnego z Emilią ani z jej decyzją porzucenia mnie. A tymczasem Emilia słuchała wywodów matki, które były długie i zapewne skomplikowane; obserwowałem przez łzy jej twarz i dostrzegłem, że przesłania ją jak chmura wyraz rozczarowania, niechęci i goryczy. W końcu powiedziała: - No dobrze, już dobrze, rozumiem, nie mówmy o tym więcej - lecz matka przerwała jej i znowu zaczęła coś mówić.

Tym razem jednak Emilia nie miała cierpliwości wysłuchać jej do końca i szybko wtrąciła: - Już mi to mówiłaś... dobrze, rozumiem, do widzenia. - Matka coś jeszcze dodała, Emilia powtórzyła: - Do widzenia - i odłożyła słuchawkę, chociaż dolatywał z niej jeszcze głos matki.

Potem podniosła zamyślane oczy i spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem. Wtedy instynktownie schwyciłem ją za rękę i wyjąkałem: - Nie odchodź ode mnie... błagam cię... nie odchodź.

Dzieci uważają płacz za najbardziej przekonujący argument uczuciowy, tak samo zresztą jak kobiety i wszyscy ludzie o miękkim i słabym charakterze. I choć moje łzy były naprawdę szczere, miałem w tej chwili nadzieję jak dziecko, kobieta czy inna słaba istota, że ten płacz przekona Emilię i skłoni ją do zmiany decyzji; to złudzenie stanowiło pewną pociechę, ale przy tym było w nim coś z hipokryzji, jak gdybym zmuszał się do płaczu, chcąc w ten sposób szantażować Emilię. Nagle zrobiło mi się wstyd i nie czekając na odpowiedź Emilii, wyszedłem z pokoju.

Emilia przysłała do mnie w kilka minut później. Zdążyłem już doprowadzić się trochę do porządku, wytrzeć oczy i włożyć na piżamę szlafrok. Usiadłem w fotelu i machinalnie zapaliłem papierosa, którego wcale nie miałem ochoty palić. Emilia usiadła także i powiedziała od razu: - Nie bój się... nie odejdę od ciebie. - Ale głos jej brzmiał gorzko, smutno, niepewnie. Spojrzałem na nią: miała oczy spuszczone i zdawała się nad czymś namyślać. Zauważyłem jednak, że kąciki jej ust drżą, a ręce zaciskają nerwowo rąbek szlafroka.

Potem dodała z akcentem szczerzej rozpacz: - Matka nie chce mnie wziąć do siebie... powiedziała, że wynajęła mój pokój lokatorowi... przedtem miała już dwóch, teraz wzięła trzeciego i mieszkanie jest przepełnione... powiedziała, że nie wierzy, żeby to była poważna decyzja... że powinnam się dobrze zastanowić... więc nie mam się gdzie podziąć... nikt mnie nie chce... i muszę z tobą zostać.

Uderzyło mnie to ostatnie zdanie, tak okrutne w swojej szczerości i wzdrygnąłem się, jak by mnie ktoś ukłuł. Dotknięty do żywego, nie mogłem powstrzymać okrzyku: - Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? Musisz?! Co ja ci takiego zrobiłem?

Dlaczego mnie tak nienawidzisz?

Teraz ona zaczęła płakać, choć usiłowała ukryć łzy, zasłaniając część twarzy ręką.

Potem potrząsnęła głową i powiedziała: - Przecież nie chciałeś, żebym odeszła... więc zostaję... powinieneś być zadowolony.

Wstałem z fotela, usiadłem przy niej na tapczanie i chwyciłem ją w ramiona, choć poczułem w pierwszej chwili, że próbuje stawiać mi opór. - Oczywiście chcę, żebyś została - powiedziałem - ale nie tak... nie z musu... Co ja ci takiego zrobiłem, Emilio, że mówisz do mnie w ten sposób?

- Jeżeli chcesz, to odejdę - odpowiedziała - wynajmę sobie gdzieś pokój... będziesz mi musiał pomagać tylko z początku... będę zarabiała jak dawniej pisaniem na maszynie... jak tylko znajdę posadę, nie wezmę od ciebie ani grosza.

- Ależ nie - krzyknąłem - chcę, żebyś została... ale nie z musu,

Emilio, nie z

musu.

- To nie ty mnie zmuszasz do tego - odpowiedziała płacząc - to życie.

Gdy tuliłem ją w ramionach, znowu ogarnęła mnie pokusa, by ją zapytać, dlaczego przestała mnie kochać, dlaczego mną pogardza, co się takiego stało, co jej właściwie zrobiłem. Ale teraz jej płacz, jej załamanie, kto wie, może prawem kontrastu, uspokoiły mnie.

Powiedziałem sobie, że to nie jest odpowiednia chwila na zadawanie pytań; że pytania do niczego nie doprowadzą; że muszę dotrzeć do prawdy innym, subtelniejszym sposobem.

Czekałem cierpliwie, podczas gdy ona płakała, odwracając ode mnie zalaną łzami twarz. W pewnej chwili zaproponowałem: - Słuchaj, Emilio, zakończmy już wszelkie wyjaśnienia i dyskusje... przestańmy torturować się wzajemnie. Nie chcę o niczym wiedzieć, przynajmniej w tej chwili. A teraz słuchaj: pomimo wszystko przyjąłem ten scenariusz Odysei... ale Battista chce, żebyśmy go opracowali nad Zatoką Neapolitańską, gdzie będą potem kręcić większość plenerów. Postanowiliśmy więc, że pojedziemy na Capri. Tam będziesz miała spokój, przysięgam, że nie będę ci się narzucał. Będę zresztą pracował od rana do nocy razem z reżyserem, będziesz mnie widywała tylko w porze posiłków... Capri to precudna miejscowość, niedługo będzie można się już kąpać w morzu... wypoczniesz, będziesz się kąpała, chodziła na spacer, przemyślisz wszystko spokojnie i zdecydujesz, tak jak będziesz chciała... twoja

matka ma rację: musisz się zastanowić... potem, za kilka miesięcy, powiedz mi, na co się decydujesz i dopiero wtedy wszystko omówimy.

W dalszym ciągu siedziała z pochyloną na ramię głową, jak gdyby nie chciała na mnie patrzeć. Ale zapytała po chwili, wyraźnie pocieszona: - A kiedy mielibyśmy wyjechać?

- Zaraz... to znaczy mniej więcej za dziesięć dni... Jak tylko reżyser wróci z Paryża.

Tuląc ją do siebie i mając tak blisko jej krągłe, jędrne ciało zacząłem się zastanawiać, czy nie mógłbym w tej chwili zaryzykować pocałunku. I chociaż Emilia biernie poddawała się mojemu uściskowi, łudziłem się, że nie jestem jej jednak całkiem obojętny. W tym samym momencie usłyszałem jej spokojny już, ale zarazem trochę niepewny głos: - A gdzie zamieszkamy na Capri? W hotelu?

Odpowiedziałem wesoło, myśląc, że zrobię jej przyjemność: - Nie, nie zajedziemy do hotelu... hotel jest męczący na dłuższą metę... mamy coś lepszego... Battista daje nam swoją willę, będziemy ją mieli do dyspozycji na cały czas pobytu.

Wyczułem w jednej chwili, jak zresztą i kilka dni temu, kiedy zbyt pochopnie przyjąłem zaproszenie Battisty, że Emilii nie odpowiada ten projekt.

Rzeczywiście, od razu wyrwała się z moich ramion i odsuwając się na drugi koniec tapczanu, powtórzyła:

- W willi Battisty... i ty już przyjąłeś to zaproszenie?

- Zdawało mi się, że to ci sprawi przyjemność - próbowałem się

usprawiedliwiać - willa jest o wiele wygodniejsza niż hotel.

- I już się na to zgodziłeś?

- Tak, myślałem, że będziesz zadowolona.

- I reżyser też będzie tam mieszkał?

- Nie, Bheingold zamieszka w hotelu.

- A Battista przyjedzie?

- Battista? - odpowiedziałem odruchowo, zdziwiony tym pytaniem. - Przypuszczam, że będzie przyjeżdżał od czasu do czasu... ale raczej tylko na weekendy... żeby się zorientować, jak się posuwa praca.

Tym razem nic nie odpowiedziała, tylko włożyła ręce do kieszeni szlafroka, wyciągnęła z niej chusteczkę i wytarła nos. Przy tym ruchu rozsunał się jej szlafrok, ukazując brzuch i uda. Nogi miała mocno zaciśnięte, jak gdyby przez skromność, ale było w

tej jej nagości coś nieświadomie wyzywającego, co zdawało się silniejsze od wszelkiego sprzeciwu.

Wyglądało to tak, jak gdyby oddawała mi się bezwiednie; i wtedy, gdym patrzył na nią, ogarnęło mnie pożądanie tak gwałtowne i spontaniczne, iż wydało mi się, że wystarczy zbliżyć się do niej, by móc ją posiąść.

Lecz zrozumiałem, że pomimo owego przemożnego pragnienia za nic bym tego nie zrobił; więc gdy wycierała sobie nos, patrzyłem na nią tylko, i w dodatku ukradkiem, by tego nie zauważyła. Zrozumiałem nagle, że doszedłem do szczytu nedorzeczności; podglądałem własną żonę z uczuciem, że robię coś zakazanego,

niczym wyrostek zerkaający potajemnie przez dziurkę od klucza do kabiny plażowej. Tak mnie to rozzłościło, że nagłym ruchem zakryłem jej szlafrokiem kolana. Wydawało się, że wcale tego nie zauważyła, bo włożyła do kieszeni chusteczkę i powiedziała spokojnym już głosem: - Pojadę na Capri... ale pod jednym warunkiem.

- Nie stawiaj mi żadnych warunków... nie chcę nic wiedzieć... a teraz idź już, idź! - Widocznie w moim głosie musiało być coś strasznego, bo Emilia wstała natychmiast, prawie wystraszona, i szybko wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ XII

Przyszedł dzień wyjazdu na Capri. Battista postanowił nas tam odwiedzić, by, jak się sam wyraził, robić honory domu. Gdy wyszliśmy na ulicę, zastaliśmy obok mego małego samochodu duży, czerwony, luksusowy wóz producenta. Był już początek czerwca, lecz jakoś nie chciało się ocieplić i utrzymywała się brzydka pogoda. Battista, w wiatrówce i szarych flanelowych spodniach, rozmawiał z Rheingoldem, który, jak każdy Niemiec, uważał Włochy za kraj wiecznego słońca: ubrany był w czapkę z białego płótna i lniany prążkowany garnitur o kolonialnym kroju. Wyszliśmy z Emilią przed dom, za nami szedł portier i służąca z walizkami; obydwaj panowie od razu wyszli naprzeciw nas.

- No więc jak siadamy? - zapytał Battista zaraz po przywitaniu. I nie czekając na odpowiedź, dodał: - Ja proponuję, żeby pani pojechała ze mną moim wozem, a Rheingold z panem, panie Molteni. Tym sposobem już w drodze będziecie mieli okazję porozmawiać o filmie, bo - zakończył z uśmiechem, ale poważnym tonem - od dzisiaj zaczyna się praca.

Chcę mieć w ręku gotowy scenariusz za dwa miesiące.

Odruchowo spojrzałem na Emilię i zauważyłem to, co zauważałem już nieraz, że rysy jej twarzy jak gdyby ulegają zniekształceniu, co było u niej zawsze widoczną oznaką wahania i niechęci. Nie przejąłem się tym jednak ani nie powiązałem tego faktu z rozsądną zresztą propozycją Battisty. - Doskonale - powiedziałem

usiłując przybrać wyraz twarzy uradowanego wycieczkowicza, wybierającego się nad morze, ponieważ, jak sądziłem, wymagały tego ode mnie okoliczności. - Doskonale, Emilia pojedzie z panem, a Rheingold ze mną... ale nie obiecuję, że będziemy rozmawiali o scenariuszu.

Emilia zaczęła mówić: - Boję się szybkiej jazdy... a pan jeździ zawsze za szybko tym samochodem... - Lecz Battista ujął ją pod ramię, wołając: - Ze mną nie ma się pani czego bać... A zresztą czego się pani boi? Ja też dbam o własną skórę. - Mówiąc to niemal ciągnął ją do swojego samochodu. Zobaczyłem, że Emilia spogląda na mnie pytająco z niemym przerażeniem w oczach i zastanowiłem się przez moment, czy nie powinienem jednak jakoś na to zareagować i postarać się, żeby pojechała ze mną. Ale pomyślałem sobie, że Battista mógłby się obrazić; był zapalonym automobilistą i rzeczywiście świetnym kierowcą; nic zatem nie powiedziałem. Emilia jeszcze słabo się broniła: - Ale ja bym wolała pojechać z mężem. - Battista zaprotestował żartobliwie: - Z mężem? Po co z mężem? Męża ma pani na codzień... no, bo się naprawdę obrazę. - Doszli tymczasem do samochodu, Battista otworzył drzwi, Emilia wsiadła i Battista obszedł wóz, żeby wsiąść z drugiej strony.

Patrzyłem na Emilię głęboko zamyślony i wzdrygnąłem się słysząc głos Rheingolda, który mówił:

- Jesteśmy już gotowi do drogi? - Otrząsnąłem się, wsiadłem do auta i zapaliłem motor.

Usłyszałem za plecami warkot silnika Battisty, potem jego wóz

minął nas i szybko zjechał w dół wąską ulicą. Mignęły mi przez szybę sylwetki siedzących obok siebie Emilii i Battisty i samochód zniknął za zakrętem.

Battista prosił nas, żebyśmy w drodze omówili scenariusz. Było to polecenie całkiem zbyteczne: gdy tylko przejechaliśmy przez miasto i skręciłem na drogę prowadzącą do Formii, milczący dotychczas Rheingold zaczął mówić: - No niech się pan przyzna: zląkł się pan wtedy u Battisty, że będzie pan musiał zrobić film „kolossal” - podkreślił niemieckie słowo uśmiechem.

- Jeszcze teraz się tego boję - odrzekłem z roztargnieniem - tym bardziej że jest to teraz ogólny prąd w wytwórniach włoskich.

- A więc niech się pan nie boi - rzekł przybierając nagle stanowczy, autorytatywny ton - my zrobimy film psychologiczny i tylko psychologiczny. Ja, drogi panie, nie mam zwyczaju robić tego, czego chcą producenci, robię to, co sam chcę. W teatrze nikt nie ma prawa niczego mi dyktować: albo odmawiam współpracy i tyle... proste czy nie?

- Odpowiedziałem mu: - Bardzo proste - rozweselonym tonem, bo słowa Rheingolda obudziły we mnie nadzieję, że łatwo dojdę z nim do porozumienia i że praca nad scenariuszem będzie może mniej uciążliwa niż zazwyczaj. Rheingold po chwili milczenia ciągnął dalej: - Teraz chciałbym panu wyjaśnić, jak ja się na to zapatruję. Czy może pan jednocześnie słuchać i prowadzić wóz? - Odpowiedziałem: - Naturalnie. - Lecz w tej samej chwili, kiedy lekko zwróciłem głowę w stronę Rheingolda, na szosę wjechał z bocznej drogi wóz zaprzężony

w dwa woły i musiałem ostro zahamować. Samochód zarzucił, zakreślił gwałtowny zygzak i byliśmy o włos od katastrofy, bo otarliśmy się niemal o przydrożne drzewo. Rheingold zaczął się śmiać: - Wygląda na to, że nie bardzo.

- Niech się pan tym nie przejmuję - powiedziałem trochę podrażniony. - I tak nie dostrzegłbym w porę tych wołów... proszę mówić dalej... słucham.

Rheingold nie dał się prosić: - Widzi pan, panie Molteni, zgodziłem się pojechać na Capri... plenery rzeczywiście będzie się kręcić w Zatoce Neapolitańskiej... ale to będzie tylko tło... jeśli idzie o resztę, moglibyśmy byli równie dobrze zostać w Rzymie.

Dramat Ulissesza nie jest dramatem marynarza, podróżnika czy powracającego z wojny żołnierza. Mit o Ulisesie kryje w sobie prawdziwą historię pewnego typu mężczyzny.

Odpowiedziałem na chybił trafił: - Wszystkie mity greckie zawierają wątek odwiecznych dramatów ludzkich, nie zlokalizowanych ani w czasie, ani w przestrzeni.

- Właśnie... mówiąc innymi słowami, wszystkie mity greckie są alegoriami ludzkiego życia... a teraz, co musimy zrobić my, ludzie współcześni, by wskrzesić te mity antyczne i skomplikowane? Przede wszystkim wyłować z nich to, co może mieć znaczenie dla współczesności, a dalej pogłębić owo znaczenie, zinterpretować je, zilustrować... ale w sposób żywy, autonomiczny; nie dać się przytłoczyć arcydziełom, jakie w literaturze greckiej powstały z owych mitów. Dla przykładu, zna pan zapewne sztukę O'Neill'a

„Żałoba przystoi Elektrze”, z której także zrobiony był film?

- Znam, oczywiście.

- Otóż O’Neill także rozumiał tę prawdę tak prostą: że trzeba zinterpretować współcześnie antyczne mity i zrobił to z Oresteją... ale mimo to nie podoba mi się ta jego sztuka „Żałoba przystoi Elektrze”, a wie pan dlaczego? Bo O’Neill dał się onieśmielić Ajschylosowi... Rozumował słusznie, że mit Orestesa można zinterpretować psychoanalitycznie... lecz, onieśmielony tym tematem, zrobił zbyt dosłowną transkrypcję tego mitu, jak dobry uczeń, który przepisuje wypracowanie do poliniowanego zeszytu...

Widać linie, panie Molteni. - Usłyszałem śmiech Rheingolda, zadowolonego ze swojej krytyki O’Neilla.

Jechaliśmy teraz przez Kampanię Rzymską, niedaleko morza, między niskimi pagórkami, pokrytymi żółtym, dojrzałym zbożem; gdzieś rosnęły pojedyncze, rozłożyste drzewa. Pomyślałem, że musimy być daleko w tyle za Battistą, bo widoczna przed nami na dużej przestrzeni droga na prostych odcinkach i na zakrętach była pusta. Jadący z szybkością stu kilometrów na godzinę Battista wyprzedził nas już na pewno o dobre pięćdziesiąt kilometrów. Znowu usłyszałem głos Rheingolda: - Jeśli O’Neill zrozumiał tę prawdę, że mity greckie trzeba interpretować na współczesną modłę, zgodnie z najnowszymi osiągnięciami psychologii, nie powinien był trzymać się kurczowo tematu, ale pobawić się nim jak piłką, przewietrzyć go, odnowić... Nie zrobił tego, jego sztuka „Żałoba przystoi Elektrze” jest nudna i zimna... to wypracowanie szkolne.

- Mnie się wydaje bardzo piękna - wyraziłem sprzeciw.

Rheingold nie zwrócił uwagi na moje słowa i ciągnął dalej: - Musimy teraz z Odysei zrobić to, czego O'Neill nie chciał czy nie umiał zrobić z Orestei... otworzyć ją cięciem, jakie robi się na zwłokach w prosektorium, zanalizować wewnętrzny mechanizm, rozebrać go i potem złożyć zgodnie z naszymi nowoczesnymi wymaganiami.

Zastanowiłem się, do czego Rheingold zmierza. Powiedziałem machinalnie: - Mechanizm Odysei jest dobrze znany: sprzeczność między tęsknotą za domem, rodziną i ojczyzną, a przeszkodami, które uniemożliwiają powrót do tejże rodziny i ojczyzny... prawdopodobnie każdy jeniec wojenny, każdy żołnierz powracający z wojny jest na swój sposób mikroskopijnym Ulissesem.

Rheingold wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak gdakanie kury: - Spodziewałem się tego: żołnierz powracający z wojny, jeniec... Nic podobnego, panie Molteni. Pan trzyma się strony zewnętrznej, faktów... w takim wypadku filmowi z Odysei rzeczywiście grozi niebezpieczeństwo, że będzie tylko filmem „kolossal”, wielką przygodą, tak jak tego chce Battista. Battista jest producentem i ma słuszość rozumując w ten sposób, ale pan, panie Molteni, pan, który jest intelektualistą... pan musi popracować głową... proszę spróbować to zrobić.

- Pracuję wyłącznie głową - odrzekłem nieco dotknięty - nie robię nic innego.

- Nie, nie pracuje pan głową... proszę się skupić i zwrócić uwagę

przede wszystkim na jedno: Historia Ulissea jest historią stosunków między Ulissem a jego żoną.

Nic nie odpowiedziałem, a Rheingold perorował dalej: - Co jest rzeczą najbardziej uderzającą w Odysei? To, że Ulisses nie spieszy się z powrotem do domu, że zabiera mu to dziesięć lat czasu... i że w przeciągu tych dziesięciu lat, pomimo osławionej miłości dla Penelopy, zdradza ją, ilekroć nadarzy się ku temu okazja... Homer powiada nam, że Ulisses myśli tylko o Penelopie, że nie pragnie niczego innego, tylko połączyć się z Penelopą... ale czy mamy mu wierzyć, panie Molteni?

- Jeśli nie mamy wierzyć Homerowi - odpowiedziałem żartobliwie - to już nie wiem, komu moglibyśmy wierzyć.

- Samym sobie, bo jako ludzie współcześni umiemy przejrzeć na wylot legendę...

Czytałem Odyseję wiele razy i doszedłem do wniosku, że w rzeczywistości Ulisses, zapewne podświadomie, ale nie chce wrócić do domu, nie chce połączyć się z Penelopą...

Taki jest mój wniosek, panie Molteni.

Znowu nic nie odpowiedziałem. Moje milczenie było dla Rheingolda ostrogą do dalszych wywodów: - W istocie Ulisses jest mężem, który boi się wrócić do żony, zobaczymy później dlaczego, i z powodu tej obawy szuka mimo woli przeszkód do powrotu... jego żyłka obieżyświata, tak słynna, nie jest w rzeczywistości niczym innym, jak podświadomym pragnieniem przedłużenia podróży, a do tego celu służą mu właśnie wszystkie spotykające go po drodze

przygody... to nie Skylla i Charybda, nie Kalipso, Polifem i Kirke, i bogowie sprzeciwiają się powrotowi Ulissesa; to podświadomość Ulissesa podsuwa mu coraz to nowe preteksty, by zatrzymać się tu na rok, tam na dwa lata i tak dalej.

Tak więc wyglądała owa klasycznie freudowska interpretacja, którą chciał przedstawić Rheingold. Zdziwiłem się tylko, że z tego z góry nie przewidział.

Rheingold był Niemcem, zaczął swoją karierę w Berlinie, w okresie pierwszych sukcesów Freuda, potem przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie psychoanaliza była wysoko ceniona, oczywiście więc chciał zaaplikować swoje metody nawet do bohatera tak pozbawionego kompleksów jak Ulisses. Powiedziałem sucho: - To bardzo ciekawa koncepcja... tylko nie widzę jeszcze, jak...

- Chwileczkę, panie Molteni, chwileczkę... A więc, jak widać w świetle mojej interpretacji, jedynej zresztą, jaką dyktują nam ostatnie odkrycia nowoczesnej psychologii, Odyseja jest tylko i wyłącznie historią wewnętrznej niechęci, że tak powiem, małżeńskiej... i nad nią właśnie tak długo debatuje i rozmyśla Ulisses. Dopiero po dziesięciu latach walki ze sobą samym udaje mu się przezwyciężyć ową niechęć, i pogodzić się z sytuacją, która ją wytworzyła... Mówiąc innymi słowami, Ulisses przez okrągłe dziesięć lat stwarza sobie wszelkie możliwe przeszkody i wymyśla wszelkie możliwe preteksty, by nie wracać do swojej małżonki... kilkakrotnie nawet próbuje się związać z inną kobietą... w końcu jednak udaje mu się przełamać swój opór wewnętrzny i wraca. Ten powrót Ulissesa jest właśnie jednoznaczny z

pogodzeniem się z sytuacją, która spowodowała jego wyjazd i opóźnienie powrotu.

- Z jaką sytuacją? - zapytałem tym razem szczerze zdumiony. - Czy Ulisses nie wyjechał po prostu dlatego, żeby wziąć udział w wojnie trojańskiej?

- Pozornie, pozornie - niecierpliwie odrzekł Rheingold - ale o sytuacji Itaki przed wyjazdem Ulissesa na wojnę i o wszystkim innym będę mówił później, kiedy wyjaśnię już powody, które wstrzymywały Ulissesa od powrotu do ojczyzny i zobaczenia się z żoną. Na razie chciałbym podkreślić pierwszy i najważniejszy punkt: Odyseja to nie pełna przygód podróż po wielkich przestrzeniach świata, jak chce nam wmówić Homer... to wewnętrzny dramat Ulissesa... i wszystko, co się tam dzieje, symbolizuje podświadomość Ulissesa... Pan oczywiście zna Freuda, panie Molteni.

- Tak, trochę.

- A więc Freud właśnie posłuży nam za przewodnika w tym „pejzażu wewnętrznym”

Ulissesa, nie Berard ze swoimi mapami i swoją filologią, która nic nie tłumaczy... natomiast z Morza śródziemnego wydobędziemy ducha Ulissesa... a raczej jego podświadomość.

Dziwnie zirytowany, odpowiedziałem może zbyt gwałtownie: - Skoro mamy pisać dramat buduarowy, to nasz wyjazd na Capri jest zbyteczny... równie dobrze można było wynająć w tym celu pokój w jednej z luksusowych dzielnic Rzymu.

Na te słowa Rheingold obrzucił mnie zdziwionym i obrażonym

spojrzeniem, a potem roześmiał się nieszczerze, jak człowiek, który woli obrócić w żart niemile zapowiadającą się dyskusję. - Omówimy to wszystko w spokoju na Capri - powiedział - nie może pan przecież prowadzić wozu i jednocześnie dyskutować ze mną na temat Odysei. Będzie pan sobie teraz spokojnie prowadził, a ja porozglądam się trochę po pięknej okolicy.

Nie śmiałem mu się sprzeciwić i blisko przez godzinę jechaliśmy w zupełnym milczeniu. Oto tereny dawnych błot pontyjskich z wąskim kanałem o nieruchomej powierzchni po prawej stronie drogi i zieloną nawodnioną doliną po lewej; oto Cisterna; i oto Terracina. Odtąd droga zaczyna biec wzdłuż morza, a z przeciwnej strony wyrasta pasmo niewysokich, kamienistych, spalonych słońcem gór. Morze nie było spokojne; za czarnymi i żółtymi wydmami widniały jego zielonobrunatne wody, mętne, bo pomieszane z piaskiem, który wydobył z dna wiatr podczas ostatniej burzy. Potężne fale wznosiły się leniwie i zalewały wąską plażę, spienioną, podobną do mydlin wodą. Dalej morze było wzburzone i kolor zielony zmieniał się w niebieski o prawie fioletowym odcieniu; ukazywały się tam co chwila, i zaraz nikły, pędzące z wiatrem białe grzywki piany. Na niebie panował rozgardiasz równie kapryśny i ożywiony: mleczone obłoki gnały we wszystkich kierunkach, szerokie przestrzenie błękitu poprzecinane były smugami oślepiającego światła; mewy to wzbijały się w górę, to opadały w dół, to szybowały na wietrze. Prowadziłem wóz, wpatrzony w ten morski krajobraz. I nagle przyszło mi na myśl, że niesłusznie robiłem sobie wyrzuty, gdy obraziłem Rheingolda

określając jego interpretację Odysei jako „buduarowy dramat”. Miałem rację: na tym morzu tak świeżym w kolorze, pod tym olśniewającym niebem, wzdłuż tych opustoszałych brzegów nietrudno byłoby wyobrazić sobie wśród fal czarne statki Ulissesa, płynące ku wybrzeżom Morza śródziemnego, wówczas jeszcze dziewiczym i nieznanym.

I

Homer chciał przedstawić takie właśnie morze, pod takim właśnie niebem, wzdłuż takiego brzegu oraz bohaterów podobnych do owej natury, pełnych antycznej prostoty i czarującego umiaru. Tylko to, nic więcej. A tymczasem Rheingold chciał zamknąć ten świat bajecznie kolorowy i świetlany, ożywiony wiatrem, przesycony słońcem, zamieszkały przez istoty pełne żywotności i krzepy, w ciemną, pozbawioną kształtu, powietrza i słońca orbitę podświadomości Ulissesa. Tak więc Odyseja przestawała być cudowną przygodą odkrycia krajów śródziemnomorskich w fantastycznym zaraniu ludzkości i przekształcała się w dramat współczesnego człowieka obarczonego skomplikowaną psychozą. Myśląc o tym wszystkim doszedłem do wniosku, że trudno byłoby o gorszy scenariusz: oprócz panującej ogólnie w filmie tendencji zmieniania na gorsze rzeczy, które nie wymagały żadnych zmian, dołączała się w tym wypadku nieznośna szarzyzna czysto mechanicznej i abstrakcyjnej psychoanalizy, której na domiar złego trzeba było poddać takie arcydzieło jak Odyseja.

Przejeżdżaliśmy w tym momencie prawie tuż obok morza: przy

drodze zieleniły się bujne gałęzie posadzonej już niemal na piasku winnicy; dalej, na czarnej od wodorostów plaży rozbijały się duże, spienione fale. Zahamowałem gwałtownie, mówiąc sucho: - Muszę rozprostować nogi.

Wysiedliśmy: szybkim krokiem wszedłem na ścieżkę, wiodącą przez winnicę na brzeg morza. Powiedziałem Rheingoldowi: - Siedziałem zamknięty w czterech ścianach przez osiem miesięcy... Widziałem ostatni raz morze w zeszłym roku w lecie... Chodźmy na chwilę na plażę.

Poszedł za mną w milczeniu, zapewne był jeszcze obrażony i boczył się na mnie.

Ścieżka wiała się przez winnicę i w odległości około pięćdziesięciu metrów kończyła się na piaszczystym wybrzeżu. Mechaniczny i monotony warkot motoru zastąpił teraz tak miły dla ucha, nieregularny, uroczysty huk fal, które rozbijały się i kłębiły przy brzegu. Szedłem wzdłuż morza to wchodząc na mokry, błyszczący piasek, to cofając się przed nadbiegającą falą; wreszcie zatrzymałem się i stanąłem nieruchomo, obserwując horyzont.

Czułem, że obraziłem Rheingolda i że powinienem w uprzejmy sposób powrócić do prowadzonej uprzednio rozmowy; Rheingold z pewnością tylko na to czekał. I chociaż nie miałem ochoty przerywać mojej ukradkowej kontemplacji morskiego bezmiaru, zdecydowałem się wreszcie.

- Musi mi pan wybaczyć - powiedziałem nagle - może źle się wyraziłem przed chwilą... ale prawdę mówiąc, pańska interpretacja

nie bardzo mnie przekonała... i jeśli pan chce, mogę powiedzieć dlaczego.

Skwapliwie odpowiedział: - Proszę mi powiedzieć... proszę mi powiedzieć... dyskusja jest przecież częścią naszej pracy, czy nie?

- A więc - zacząłem mówić nie patrząc na niego - nie przeczę, że można i w ten sposób interpretować Odyseję, ale nie jestem o tym przekonany, dlatego... że znamiennej cechą poematów homeryckich i w ogóle sztuki klasycznej jest ukrywanie wszelkich ubocznych znaczeń i domysłów, jakie mogą przyjść do głowy nam, ludziom współczesnym, a to dzięki ściśle określonej formie, którą nazwałbym głęboko przemyślaną... Chcę przez to powiedzieć - dodałem z nagłą, niewytłumaczoną irytacją - że cała piękność Odysei polega na tej wierze w rzeczywistość taką, jaka jest i jak się obiektywnie przedstawia... słowem w tej formie, której nie można ani analizować, ani rozkładać na części i która jest, jaka jest: trzeba ją przyjąć lub odrzucić... Chcę przez to powiedzieć - ciągnąłem dalej w dalszym ciągu nie patrząc na Rheingolda, lecz na morze - że świat Homera jest realnym światem...

Homer należał do cywilizacji, która rozwijała się zgodnie z naturą a nie wbrew naturze... i dlatego Homer wierzył w rzeczywistość świata uczuciowego i widział go tak właśnie, jak go przedstawił. My też powinniśmy brać go takim, jaki jest, wierząc weń tak, jak wierzył Homer... brać go dosłownie, nie doszukując się żadnych ukrytych znaczeń.

Zamilkłem, bynajmniej nie uspokojony, wprost przeciwnie,

dziwnie zrozpaczony moimi wyjaśnieniami, jak gdybym uważał je za daremny wysiłek. Istotnie, prawie natychmiast usłyszałem odpowiedź Rheingolda i jego śmiech, który tym razem zabrzmiał triumfalnie: - Pozory... takie są pozory, panie Molteni, pan jak wszyscy ludzie z Południa ujmuje kwestie od strony zewnętrznej, nie dbając o wewnętrzną... Nie ma w tym zresztą nic złego... pan podchodzi do zagadnienia od strony zewnętrznej, a ja od wewnętrznej... i dlatego właśnie wybrałem pana. Będziemy się wzajemnie uzupełniać i nasza współpraca pójdzie jak po maśle.

Miałem mu właśnie ostro odpowiedzieć, bo zirytowała mnie jego głupota i myślę, że moja odpowiedź znów by go obraziła, lecz w tej samej chwili usłyszałem za plecami dobrze mi znany głos: - Rheingold... Molteni... co tam robicie, panowie? Wdychacie powietrze morskie?

Obejrzałem się i zobaczyłem na wysokiej wydmie, w jaskrawym świetle poranka postacie Battisty i Emilii. Battista szedł szybko w naszą stronę, wymachując ręką na powitanie; Emilia schodziła powoli, ze spuszczoną głową. Z całego zachowania Battisty było większe jeszcze niż zazwyczaj zadowolenie i pewność siebie; Emilia natomiast była wyraźnie nie w humorze, wyglądała na przygnębioną i jak by czymś urażoną.

Trochę zdziwiony, powiedziałem zaraz Battiście: - Myśleliśmy, że jesteście już daleko przed nami... w Formii, a nawet dalej.

Battista odpowiedział z ostentacyjną swobodą: - Pojechaliliśmy dalszą drogą... chciałem pokazać pańskiej żonie moją posiadłość pod

Rzymem, gdzie buduję teraz willę... a później natknęliśmy się po drodze na kilka zamkniętych szlabanów. - Potem zwrócił się do Rheingolda i zapytał: - No co, wszystko w porządku? Mówiliście o Odysei?

- Wszystko w porządku - odpowiedział Rheingold tym samym telegraficznym stylem, spoglądając spod daszka płóciennej czapki. Był wyraźnie niezadowolony z pojawienia się Battisty, wolałby dyskutować ze mną dalej na temat Odysei.

- No to wspaniale, cudownie. - Battista ujął nas obydwóch poufale pod rękę i pociągnął ku Emilii, która zatrzymała się nie opodal na plaży. - A więc - dorzucił z galanterią, która wydawała mi się nie do zniesienia - a więc, piękna pani, proszę wybierać...

Zjemy obiad w Neapolu czy w Formii? Jak pani woli?

Emilia wzdrygnęła się i odrzekła: - Jak chcecie... mnie jest wszystko jedno.

- Co znowu, do diaska... wybór należy do kobiet.

- Wobec tego zjedzmy w Neapolu... nie jestem jeszcze głodna.

- Świetnie, w Neapolu... zupa rybna z przyprawami... orkiestry, które grają „O sole mio” - Battista był zdecydowanie wesóły.

- O której godzinie odpływa statek na Capri? - zapytał Rheingold.

- O wpół do trzeciej... trzeba już jechać - odrzekł Battista i poszedł w stronę szosy, a za nim Rheingold. Emilia natomiast nie ruszyła się z miejsca, jak gdyby chciała, żeby tamci się oddalili, i udawała, że patrzy na morze. Ale gdy tylko zbliżyłem się do niej,

ujęła mnie pod ramię i powiedziała cicho: - Pojadę teraz z tobą... i żebyś tylko nie próbował odwieść mnie od tego zamiaru.

Uderzył mnie jej zapalczywy ton: - Ale co się stało?

- Nic... tylko Battista za szybko jedzie. Przeszliśmy w milczeniu przez ścieżkę.

Kiedy znaleźliśmy się na drodze, Emilia zdecydowanym krokiem podeszła do mojego samochodu.

- Hop, hop! - zawołał Battista - pani nie jedzie ze mną?

Obejrzałem się: Battista stał przy otwartych drzwiach swojego wozu, na zalanej słońcem drodze, a Rheingold między jednym samochodem a drugim spoglądał na nas niepewnie. Emilia powiedziała spokojnie, nie podnosząc głosu: - Pojadę teraz z mężem... zobaczymy się w Neapolu.

Myślałem, że Battista zrezygnuje z towarzystwa Emilii i nie będzie już nalegał.

Zdziwiłem się więc, że podbiega do nas: - Proszę pani, z mężem będzie pani przez całe dwa miesiące na Capri, a ja - dodał cicho, by nie usłyszał go reżyser - miałem już po uszy towarzystwa Rheingolda w Rzymie... i zapewniam panią, że to nie było zabawne.

Pani mąż nie ma pewno nic przeciwko temu, żeby pojechała pani ze mną nieprawdaż, panie Molteni?

Nie mogłem zaprzeczyć, choć odpowiedź nie przyszła mi łatwo:

- Oczywiście, że nie... tylko Emilia mówi, że pan za szybko jedzie.

- Będę się teraz włókł jak ślimak - skwapliwie i z zapalem

obiecował Battista - tylko proszę mnie nie zostawiać z Rheingoldem. - Znowu zniżył głos: - żeby pani wiedziała, jaki z niego nudziarz, mówi tylko o filmie.

Sam nie wiem, co mnie napadło w tym momencie. Może pomyślałem, że dla takiego głupstwa nie warto się narażać Battiście. I zanim zdążyłem się zastanowić, powiedziałem odruchowo: - No, Emilio, zróbże przyjemność Battiście! On zresztą ma rację - dorzuciłem z uśmiechem - z Rheingoldem można rozmawiać tylko o filmie.

- Właśnie - potwierdził z zadowoleniem Battista. A potem chwytając Emilię pod ramię, wysoko prawie pod pachą, zawołał: - No, śliczna pani, proszę się zlitować nade mną... przyrzekam, że będę się włókł jak ślimak.

Zobaczyłem, że Emilia obrzuca mnie spojrzeniem, które trudno by mi było określić; potem odpowiedziała wolno: - Skoro ty mnie o to prosisz... - Nagle odwróciła się energicznie i mówiąc: - No to jedźmy już - odeszła razem z Battistą, który dalej trzymał ją pod rękę, jak gdyby w obawie, aby mu nie uciekła. Zmieszany, stałem nieruchomo przy swoim samochodzie, patrząc na Emilię oddalającą się z Battistą. Szła przy boku krępego i niższego od niej Battisty, jej krok był powolny, leniwy i jakby niechętny, a zarazem pełen intensywnej i tajemnej zmysłowości. Wydała mi się prześliczna w tej chwili; nie była dla mnie tylko ładną kobietką o pociągającej urodzie, co podkreślał na przykład Battista zwracając się do niej swoim pożądanym i metalicznym głosem: „piękna pani”, ale precudną

istotą, nie związaną ani z czasem, ani z przestrzenią, zlewającą się w jedno z tym błyszczącym morzem i świetlanym niebem, na których tle odcinała się jej sylwetka.

Odniosłem także wrażenie, zresztą sam nie wiedząc, czemu je przypisać, że w jej piękności było coś magicznie pociągającego i odpychającego zarazem. Gdy tak patrzałem na nią, nagle przyszło mi na myśl: „Co z ciebie za idiota... może Emilia chciała zostać z tobą sam na sam... chciała z tobą pomówić, ostatecznie wszystko wyjaśnić, zrobić jakieś zwierzenia... może chciała ci wyznać, że cię kocha... a tyś ją zmusił, żeby pojechała z Battistą”.

Na tę myśl doznałem gorzkiego wyrzutu i podniosłem rękę, jak gdyby chcąc przywołać Emilię.

Lecz było już za późno: wsiadła do samochodu Battisty, Battista siadał właśnie koło niej, a w moją stronę szedł Rheingold. Wsiadłem więc i ja do mojego wozu, przy mnie usadowił się Rheingold. W tej samej chwili samochód Battisty minął nas, zaczął szybko maleć w oddali i wreszcie zniknął.

Rheingold musiał się prawdopodobnie zorientować, że wszystko aż gotuje się we mnie, bo zamiast rozpocząć dyskusję o Odysei, nacisnął czapkę na oczy, skulił się i szybko zasnął. Prowadziłem więc w milczeniu mój mały samochód, starając się wycisnąć z niego maksymalną szybkość; a tymczasem mój zły humor wzmagał się w sposób niepohamowany i gwałtowny. Droga oddaliła się od morza i biegła teraz przez żyzną wieś ozłoconą słońcem.

Jakżeby w innej chwili widokiem gęstych

przydrożnych drzew, których bujne gałęzie tworzyły zielony tunel nad moją głową; oliwkami ciągnącymi się na czerwonych wzgórzach, jak daleko oko sięgało; gajami pomarańczowymi, gdzie wśród gęstego, ciemnego, połyskliwego listowia błyszczało złoto owoców; starymi, poczerniałymi szopami, przy których stały płowe sterty słomy. Nie usiłowałem odkryć przyczyny mojego gniewu, który musiał wypływać z przyczyn znacznie poważniejszych niż tylko żal gnębiący mnie z powodu niespełnienia prośby Emilii; a zresztą gdybym nawet chciał, nie umiałbym się skupić, bo ze zdenerwowania wprost mąciło mi się w głowie. Tak więc podobnie jak bywa z atakami nerwowych konwulsji, które muszą trwać przez pewien czas, potem uspokajają się powoli i wreszcie ustają, pozostawiając chorego w stanie kompletnego ogłuszenia, mój zły humor narastał w tej jeździe przez pola, gaje, doliny i wzgórza, osiągnął swój szczyt, potem zaczął się zmniejszać i w końcu minął w okolicach Neapolu. Zjeżdżaliśmy teraz szybko ku morzu, mijaliśmy pinie i magnolie, przed nami rozciągała się Zatoka Neapolitańska. Byłem oszołomiony i obolały, tak właśnie jak epileptyk, wyczerpany do ostatka fizycznie i moralnie atakiem gwałtownych i niepohamowanych konwulsji.

ROZDZIAŁ XIII

Willa Battisty, jak dowiedzieliśmy się przyjeżdżając na Capri, była położona daleko od centralnego placu; stała w opustoszałym punkcie wybrzeża, od strony Sorrento.

Po odprowadzeniu Rheingolda do hotelu, Battista, Emilia i ja poszliśmy wąską drogą w kierunku willi.

Była to ubezpieczona barierą droga, biegnąca wokół całej wyspy na połowie jej wysokości. Zbliżał się już zachód i napotykaliliśmy bardzo niewiele osób przechadzających się powoli, w milczeniu w cieniu kwitnących oleandrów, pod murami otaczających wille gęstych ogrodów. Przez listowie drzew przeświecało co chwila dalekie morze, o przenikliwie ostrym błękicie, poprzecinany zimnymi, połyskliwymi smugami promieni zachodzącego słońca.

Szedłem za Battistą i Emilią, zatrzymując się co chwila, by podziwiać piękno krajobrazu, i z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że po raz pierwszy od dłuższego czasu czuję się, jeśli nie szczęśliwy, to w każdym razie dziwnie spokojny. Przeszliśmy przez całą długość owej drogi, po czym skręciliśmy w inną, nieco węższą. Nagle za zakrętem ukazały się sterczące z morza skały, słynne Faraglioni, i ucieszyłem się słysząc pełen podziwu i zachwytu okrzyk, jaki wyrwał się Emilii na ich widok. Była po raz pierwszy na Capri i do tej pory milczała jak zaklęta. Z tej wysokości dwie duże, czerwone skały wyglądały przedziwnie na powierzchni morza, jak dwa meteoryty, które spadły z nieba na lustrzaną tafłę.

Rozentuzjasmowany tym widokiem, powiedziałem Emilii, że na Faraglioniach żyje pewna odmiana jaszczurek, nigdzie poza tym nie spotykana na świecie; owe jaszczurki, żyjące między niebieskim morzem a niebieskim niebem, są niebieskie. Słuchała moich objaśnień z zaciekawieniem, jak gdyby zapominając na chwilę o wszelkich urazach; wobec tego znowu zacząłem się łudzić, że nastąpi między nami zgoda, i niebieska jaszczurka, kryjąca się w szczelinach skalnych, stała się dla mnie nagle symbolem tego, czym i my moglibyśmy się stać, gdybyśmy dłuższy czas spędzili na tej wyspie. Zbłękitnielibyśmy od wewnątrz i beztroski pobyt nad morzem oczyściłby stopniowo nasze serca i myśli z sadzy miejskiej udręki; bylibyśmy błękitni i oświetleni błękitem jak jaszczurki, jak morze, jak niebo i jak wszystko, co jest jasne, wesołe, czyste.

Gdy minęliśmy Faraglioni, droga zaczęła się wić między nagimi skałami, nie było tu już żadnych domków ani ogrodów. Wreszcie na opustoszałym miejscu ukazał się biały, podłużny budynek z wysuniętym w stronę morza dużym tarasem: willa Battisty.

Willa nie była duża; oprócz salonu, który wychodził na taras, były tam jeszcze tylko trzy pokoje. Battista, który szedł naprzód, jak gdyby chcąc podkreślić, że jest gospodarzem, wyjaśnił nam, że właściwie nigdy tu jeszcze nie mieszkał, bo otrzymał tę willę dopiero rok temu, jako częściową spłatę jakiegoś kredytu. Podkreślił, że kazał wszystko przygotować specjalnie na nasz przyjazd: w salonie stały w wazonach kwiaty, posadzka lśniła i mocno pachniała woskiem; gdy zajrzeliśmy do kuchni, zahaczyliśmy tam krzątającą się przy rondlach

żonę dozorczy, która przygotowywała dla nas kolację. Battista uważał zdaje się za punkt honoru zapoznać nas z wszystkimi wygodami willi i nie ominął nawet najmniejszego schowka; posunął swoją uprzejmość tak daleko, że otwierał szafy i pytał Emilię, czy jest dosyć wieszaków. Potem wróciliśmy do salonu. Emilia powiedziała, że chce się przebrać, i wyszła. Najchętniej zrobiłbym to samo, ale Battista usiadł w fotelu i poprosił, bym także usiadł. Zapalił papierosa i zapytał od razu bez żadnych wstępów: - Co pan sądzi o Rheingoldzie, panie Molteni?

Odpowiedziałem nieco zdziwiony: - Sam nie wiem... Znam go za mało, żeby cokolwiek o nim powiedzieć... Wydaje mi się, że to poważny człowiek, uchodzi za doskonałego reżysera.

Battista namyślał się chwilę, po czym zaczął mówić dalej: - Widzi pan, panie Molteni, i ja go prawie nie znam, ale wiem mniej więcej, co myśli i czego chce... On jest przede wszystkim Niemcem, prawda? A my jesteśmy Włochami: dwa światy, dwie koncepcje życia, dwa rodzaje wrażliwości.

Nic nie odpowiedziałem; Battista swoim zwyczajem podchodził do zagadnienia okrężną drogą i pomijał sprawy finansowe: czekałem z ciekawością, do czego zmierza. - Widzi pan, panie Molteni - ciągnął dalej - chciałem postawić właśnie pana jako Włocha u boku Rheingolda dlatego, że wyczuwam, jak różni się on od nas... Do pana mam pełne zaufanie i zanim wyjadę, a niestety muszę szybko wyjechać, chciałbym zostawić panu kilka poleceń.

- Proszę, niech pani mówi - odrzekłem zimno.

- Obserwowałem Rheingolda - rzekł Battista. - Podczas naszych dyskusji o filmie albo przyznaje mi rację, albo milczy... ale ja za dobrze znam ludzi, żeby wierzyć, że tego rodzaju potulność jest szczerą. Wy, intelektualiści, wszyscy, panie Molteni, wszyscy bez wyjątku, uważacie w większym czy mniejszym stopniu, że producenci są tylko ludźmi interesu i na tym koniec. Proszę mi nie przeczyć, panie Molteni, pan myśli tak samo i naturalnie tak samo myśli Rheingold. A więc przyznaję, że tak jest, lecz tylko w pewnym stopniu. Rheingold myśli pewnie, że uśpi moją czujność swoim biernym zachowaniem... ale ja jestem czujny, nawet bardzo czujny, panie Molteni.

- Jednym słowem - powiedziałem brutalnie - pan nie ma zaufania do Rheingolda.

- Mam zaufanie i nie mam... ufam mu z punktu widzenia technicznego, jako człowiekowi, który zna swój zawód... ale nie ufam mu jako Niemcowi... jako człowiekowi z innego świata, tak odmiennego od naszego. A teraz - Battista położył papierosa na popielniczce i spojrzał mi w oczy - teraz postawię kwestię jasno: chcę mieć film w miarę możliwości jak najpodobniejszy do Odysei Homera. Co Homer chciał pokazać w Odysei?

Historię całego splotu przygód, które trzymają czytelnika w nieustannym napięciu... jednym słowem, historię atrakcyjną, że tak powiem, widowiskową. I ja chcę, żebyście pozostali wierni Homerowi... Homer przedstawił w Odysei gigantów, cuda, burze, czarodziejki, potwory... i ja chcę, żebyście umieścili w filmie

gigantów, cuda, burze, czarodziejki i potwory.

- Ależ oczywiście, że to wszystko umieścimy - odrzekłem nieco zdziwiony.

- Umieścicie, umieścicie - odpowiedział nagle z nieoczekiwanym rozdrażnieniem Battista. - Bierze mnie pan za głupca, panie Molteni? Ale ja nie jestem głupcem.

-

Podniósł głos i obrzucił mnie rozwścieczonym spojrzeniem. Byłem zdumiony tym wybuchem złości; a jeszcze bardziej żywotnością Battista, który, po całodziennym prowadzeniu wozu i podróży statkiem z Neapolu na Capri, zamiast odpocząć, wolał dyskutować o zamiarach Rheingolda.

Powiedziałem niepewnie: - Co każe panu przypuszczać, że biorę pana za... za głupca?

- Zachowanie was obydwóch, panie Molteni.

- Proszę mi to bliżej wyjaśnić.

Nieco uspokojony Battista wziął z powrotem papierosa i mówił dalej: - Pamięta pan ten dzień, kiedy spotkał się pan po raz pierwszy z Rheingoldem u mnie w biurze... powiedział pan wtedy, że nie czuje powołania do wielkich, widowiskowych filmów, prawda?

- Zdaje się, że tak.

- A co powiedział Rheingold, żeby pana uspokoić?

- Nie bardzo pamiętam...

- Odświeżę panu pamięć. Rheingold powiedział, żeby pan był spokojny, bo on zamierza zrobić film psychologiczny... film o

stosunkach małżeńskich Ulissesa i Penelopy...

Czy nie tak było?

Znowu ogarnęło mnie zdziwienie: ten gruboskórny na pozór Battista był chytrzejszy, niż przypuszczałem. - Tak, zdaje mi się, że powiedział coś w tym rodzaju - przyznałem.

- A więc ponieważ scenariusz nie został jeszcze rozpoczęty i nic jeszcze nie jest zrobione, chciałbym z całą powagą zaznaczyć, że dla mnie Odyseja to nie są stosunki małżeńskie Ulissesa i Penelopy.

Milczałem, a Battista po chwili mówił dalej: - Gdybym chciał zrobić film na temat stosunków między mężem i żoną, siedziałbym w Rzymie i kręcił film w sypialniach i salonach, w dzielnicy Parioli... nie deranżując Homera ani Odysei... zrozumiał pan, panie Molteni?

- Zrozumiałem.

- Stosunki między mężem i żoną nie interesują mnie, zrozumiał pan, panie Molteni?

Odyseja jest historią przygód Ulissesa w jego drodze powrotnej do Itaki i ja chcę mieć film o przygodach Ulissesa... I, żeby nie było już żadnych wątpliwości, chcę mieć film rozrywkowy, panie Molteni, roz-ryw-ko-wy, zrozumiał pan?

- Może pan być spokojny - odrzekłem już trochę znudzony - będzie pan miał film rozrywkowy.

Battista wyrzucił papierosa i powiedział już normalnym głosem: - Jestem spokojny, bo ostatecznie ja płacę... Musi pan zrozumieć, że powiedziałem to wszystko, aby uniknąć przykrych nieporozumień. Rozpoczynacie pracę jutro rano, chciałem was ostrzec w porę, także i

w waszym interesie... Mam do pana zaufanie, panie Molteni, i chcę, żeby występował pan w roli mojego rzecznika przy Rheingoldzie... musi pan przypominać Rheingoldowi za każdym razem, kiedy zajdzie tego potrzeba, że Odyseja podobała się i zawsze się podoba, bo jest poetyckim dziełem... a ja chcę, żeby film także przesiąknął tą poezją... żeby był kubek w kubek taki sam.

Zrozumiałem, że Battista już całkiem się uspokoił: istotnie nie mówił już, że żąda od nas filmu rozrywkowego, tylko zahaczył o poezję. Po krótkim wypadzie na przyziemne tereny powodzenia kasowego powróciliśmy w szczytne sfery artyzmu i ducha.

Powiedziałem z przykrym grymasem, który miał być uśmiechem: - Proszę się nie obawiać...

Będzie pan miał całą poezję Homera... a przynajmniej całą tę poezję, którą uda się nam wydobyć. - Doskonale, doskonale, nie mówmy już o tym. - Battista przeciągając się wstał z fotela, spojrział na zegarek, powiedział szybko, że idzie się odświeżyć przed kolacją, i wyszedł.

Zostałem sam.

Miałem także zamiar iść do pokoju i przygotować się do kolacji. Lecz dyskusja z Battista rozgorączkowała mnie i zwróciła moje myśli w innym kierunku: zacząłem spacerować tam i z powrotem po salonie, prawie nie zdając sobie z tego sprawy.

To, co powiedział Battista, uzmysłowiło mi po raz pierwszy całą trudność owej pracy, której podjąłem się trochę lekkomyślnie, myśląc tylko o korzyściach materialnych; wydawało mi się, że już z góry

ulegam zmęczeniu, jakie ogarnie mnie przy wykańczaniu scenariusza. „Po co to wszystko? - myślałem. - Po co obarczać się tą żmudną i niewdzięczną pracą, po co narażać się na nieporozumienia, które bez wątpienia powstaną między nami a Battistą, nie mówiąc już o kłótniach, jakie co dzień będą wybuchać między mną a Rheingoldem, po co wdawać się w kompromisy, które będą nie do uniknięcia, po co przeżywać katusze, firmując swoim nazwiskiem bezduszny, czysto kupiecki produkt?... Po co to wszystko?” - Pobyt na Capri, który jeszcze przed chwilą, gdym spoglądał z góry na Faraglioni, wydawał mi się taki cudowny, stracił nagle cały urok, został zatruty tym niewdzięcznym i niewykonalnym zadaniem, bo jak mogłem pogodzić moje wymagania uczciwego pisarza z całkowicie odmiennymi wymaganiami producenta? Raz jeszcze, i to w jaskrawy sposób, odczułem, że Battista jest panem, a ja sługą i że sługa może robić wszystko, tylko nie wolno mu okazać nieposłuszeństwa swojemu panu; że takie sposoby, jak chytrość i pochlebstwo, mające na celu wyzwolenie się spod władzy pana, są bardziej poniżające niż ślepe posłuszeństwo; i że, jednym słowem, podpisując kontrakt sprzedałem duszę diabłu, który jak wszystkie diabły jest wymagający i małostkowy. Battista w przyływie szczerości jasno postawił sprawę: „Ostatecznie płacę ja”. - Nie pozostawało mi nic innego jak dopowiedzieć sobie: „A ja jestem tym, któremu płacę”. - To zdanie dzwoniło mi w uszach, ilekroć przypominałem sobie scenariusz. Myśląc o tym wszystkim miałem wrażenie, że się duszę. Ogarnęło mnie pragnienie, by nie oddychać tym samym powietrzem co Battista.

Podszedłem do balkonowego okna, otworzyłem je i wyszedłem na taras.

ROZDZIAŁ XIV

Zapadła już noc; taras oświetlony był delikatnym blaskiem, który rozpościerał na niebie niewidzialny jeszcze księżyc. Schodki biegnące z tarasu prowadziły do drogi, otaczającej dokoła całą wyspę. Na moment ogarnęła mnie pokusa, żeby zejść po tych schodkach i pójść na spacer, ale było już późno i droga ginęła w mroku.

Postanowiłem zostać na tarasie. Zapaliłem papierosa i oparłem się o balustradę.

Nade mną wznosiły się czarne, ostro zarysowane na gwiazdzistym tle nieba, skały wyspy. Inne skały majaczyły poniżej, w przepaści. Panowała głęboka cisza: wsłuchując się w nią słyszałem w dole szum fali, która odbijała się raz po raz o skaliste wybrzeże i potem wycofywała się z szelestem. A może to było tylko złudzenie, może nie było nawet tego szmeru, tylko oddech spokojnego morza, wznoszącego się i opadającego rytmicznie w miarę przyływu fal. Powietrze było nieruchome, bez cienia wiatru; spoglądając na horyzont mogłem dostrzec w ogromnej odległości białe światelko latarni na lądzie, w Punta Campanella, które obracało się nieustannie, to pokazując się, to znikając, i światelko to, choć ledwie widoczne i zagubione w bezmiarach nocy, było jedynym znakiem życia, jaki zauważyłem dokoła.

Poczułem od razu, że spływa na mnie spokój z tej spokojnej nocy, chociaż jasno zdawałem sobie sprawę, że wszystkie cuda świata mogą przytłumić tylko chwilowo moje troski. Istotnie po długim,

bezmyślnym wpatrywaniu się w ciemności znowu zaczęła mnie drażnić najistotniejsza dla mnie sprawa, sprawa Emilii; lecz tym razem, może na skutek dyskusji z Battistą i Rheingoldem oraz pobytu na tej wyspie, tak podobnej do opisywanych przez Homera krajobrazów, myśl o Emilii dziwnie była zmieszana i powiązana ze scenariuszem Odysei. Sam nie wiem dlaczego, przypomniał mi się nagle ustęp z ostatniej pieśni Odysei, w której Ulisses dla potwierdzenia swojej tożsamości opisuje z najdrobniejszymi szczegółami małżeńskie łożo. Penelopa poznaje w końcu męża, blednie, prawie mdleje, rzuca mu się z płaczem na szyję i wymawia słowa, które czytałem i deklamowałem tyle razy, że na zawsze pozostaną mi w pamięci:

Garnąc k'sobie a twarz mu całując, mówiła:

Nie miej mi tego za złe! Tyś przecie, mój drogi,

Zawsze słynął mądrością. Bogów wyrok srogi

Padł na nas i rozdzielił: dni młodych wesele

Nie przeciągło się w starość dla nas w tym rozdziele.*

Niestety, nie znałem greki i wiedziałem, że przekład nie jest wierny, choćby dlatego że nie odtwarza przepięknej naturalności homeryckiego oryginału. Pomimo to te strofy wyjątkowo mi się podobały, ponieważ było z nich uczucie i szlachetność wyrazu; gdy je czytałem, nasunęło mi się porównanie ze słynnym sonetem Petrarcki, który zaczyna się tak:

Spokojny port ukazała miłość...

i kończy się tercyną:

A ona jakimś świętym słowem mi odpowie
i uśmiechem lub czułym jak dawniej westchnieniem,
choć zmieniły się twarze i zbielały włosy...

To, co mnie wtedy tak uderzyło zarówno u Homera, jak i u
Petrarki, to piętno stałej, niezłomnej miłości, której nic nie może
osłabić ani oziębic, nawet czas.

Dlaczego teraz właśnie przypomniały mi się te wiersze?
Zrozumiałem, że nasunęły mi owo wspomnienie moje stosunki z
Emilią, tak odmienne od stosunków Ulissesa z Penelopą i Petrarki z
Laurą, wrogie nie po latach, ale już po kilku miesiącach wspólnego
pożycia. Stosunki, które na pewno nie dawały pokrzepiającej nadziei
na wspólne dokończenie życia w miłości równie świeżej jak w dniu
poznania, „choć zmieniły się twarze i zbielały włosy”.

I ja, który pragnąłem, żeby te nasze stosunki usprawiedliwiały
piękniejsze nadzieje na przyszłość, byłem teraz zdumiony i
przerażony tym niezrozumiałym dla mnie zerwaniem, które
unicestwiało wszystkie moje marzenia. Dlaczego tak się stało? Jak
gdyby chcąc znaleźć odpowiedź w tej willi, gdzie w jednym z
pokojów znajdowała się Emilia, spojrzałem w okno, odwracając się
tyłem do morza.

Stałem w rogu tarasu i mogłem widzieć, co się dzieje w salonie,
sam nie będąc widzianym. Gdy tylko podniosłem oczy, zobaczyłem,
że Battista i Emilia są tam razem;

Emilia była ubrana w tę samą czarną, dekolowaną suknię, którą
miała na sobie, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy z Battistą; stała

teraz przy małym przenośnym barze. Battista pochylony nad barem przygotowywał jakiś cocktail w dużym, kryształowym kielichu.

Zauważyłem od razu, że w zachowaniu Emilii jest coś nienaturalnego; była bardzo swobodna, a zarazem zakłopotana, jak gdyby dręczyła ją jakaś pokusa. Stała czekając, by Battista podał jej kieliszek, i niepewnie rozglądała się dokoła: dostrzegłem w jej wzroku niepokój i roztargnienie. Potem Battista skończył mieszać trunki, starannie napełnił dwa kieliszki i wyprostował się, podając jeden z nich Emilii. Drgnęła, otrząsając się z zamyślenia i powoli wyciągnęła rękę po kieliszek. Nie spuszczałem z niej oka, gdy stała przed Battistą nieco odchyłona do tyłu, wznosząc jedną ręką kieliszek do góry, a drugą opierając się o fotel; i nie mogłem nie spostrzec, że zdawała się oddawać całym ciałem, wysuwając piersi i brzuch, pod obcisłą błyszczącą suknią. Ale to oddanie bynajmniej nie odmalowywało się na jej twarzy, z której nie schodził wyraz niepewności. Wreszcie, jak gdyby chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, powiedziała coś, zwracając głowę ku stojącym wokół kominka fotelom.

Potem ostrożnie, by nie wylać kieliszka, podeszła do tych foteli. Wtedy stało się to, czego właściwie od początku oczekiwałem: Battista doskoczył do niej na środku salonu, objął ją w talii, przytulił twarz do jej twarzy. Zaprotestowała, ale bez odrobiny oburzenia, raczej błagalnie i żartobliwie, wskazując oczami na kieliszek, który podniosła do góry. Battista roześmiał się, potrząsnął głową i jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie, ruchem tak gwałtownym, że cocktail się wylał, tak jak przewidywała Emilia. „Teraz pocałuje ją w usta” -

pomyślałem.

Ale nie doceniałem temperamentu Battisty i jego brutalności: nie pocałował jej, tylko chwycił drapieżnie za ramięczko jej sukni i zerwał je jednym szarpnięciem. Emilia miała teraz ramię całkiem obnażone, Battista pochylił głowę i przycisnął usta do tego miejsca; ona stała sztywno i nieruchomo, jak gdyby czekając, kiedy się to skończy. Zdażyłem jednak zauważyć, że jej oczy nie zmieniły wyrazu nawet podczas pocałunku, dalej były roztargnione i niespokojne. Nagle zwróciła wzrok w stronę okna i zdawało mi się, że nasze spojrzenia się spotkały: zobaczyłem, że obruszyła się pogardliwie i przytrzymując na piersi zerwane ramięczko, szybko wyszła z pokoju. Poszedłem w głąb tarasu.

Doznawałem teraz przede wszystkim uczucia zdziwienia i oszołomienia; bo to, co zobaczyłem, było sprzeczne z tym, o czym wiedziałem i co myślałem dotychczas.

Emilia, która nie kochała mnie już i która powiedziała mi prosto w oczy, że mną pogardza, zdradzała mnie z Battistą. Tym samym nasza sytuacja całkowicie się zmieniła; wszystko było jasne, skończyła się dręcząca mnie niepewność; jej pogarda opierała się na mrzonkach, natomiast ja miałem teraz powody, by nią pogardzać. Osnuta tajemnicą zmiana uczuć Emilii w stosunku do mnie znalazła wyjaśnienie w trywialnym trójkącie małżeńskim. Być może, iż właśnie te pierwsze wnioski, najbardziej prostackie i logiczne, podyktowane zranioną miłością własną, nie pozwoliły mi w pierwszej chwili cierpieć nad odkryciem zdrady (czy też nad tym, co uważałem

za zdradę) Emilii. Lecz gdy slaniając się na nogach podszedłem do balustrady tarasu, poczułem dotkliwy ból i ni stąd, ni zowąd nagle ogarnęła mnie pewność, że to, com widział, nie może być prawdą. Oczywiście, mówiłem sobie, Emilia pozwoliła się pocałować Battiście, ale to ani nie umniejszało mojej winy, ani też nie upoważniało mnie do tego, by nią pogardzać; co więcej, sam nie wiem dlaczego, czułem, że pomimo owego pocałunku to prawo pozostaje przy niej. Byłem w błędzie, Emilia nie była mi niewierna, a w każdym razie na jej zdradę wskazywały tylko pozory; całą prawdę należało dopiero odkryć, pomijając właśnie te pozory.

Pamiętałem, że Emilia czuła zawsze do Battisty upartą niechęć, zupełnie dla mnie niewytłumaczoną, i że nie dalej jak dziś rano prosiła mnie dwukrotnie, żebym jej nie zostawiał samej z Battistą w czasie podróży. Jak mogłem to wszystko pogodzić z owym pocałunkiem?

Nie ulegało wątpliwości, że to był pierwszy pocałunek i według wszelkiego prawdopodobieństwa Battista umiał wykorzystać sprzyjający moment, jaki nie nadarzył mu się dotychczas. Nic więc jeszcze nie było stracone; mogłem się jeszcze dowiedzieć, dlaczego Emilia pozwoliła się pocałować Battiście, a przede wszystkim, dlaczego podświadomie, lecz niezłomnie wyczuwałem, że pomimo tego pocałunku nasze stosunki nie uległy zmianie i że, jak przedtem i nie mniej niż przedtem, ona miała prawo odmawiać mi swojej miłości i mną pogardzać.

Można by powiedzieć, że to nie był odpowiedni moment do rozmyślań, i że pierwszym i jedynym moim odruchem powinno być

wtargnięcie do salonu i przerwanie czułego tete-a-tete gruchającej parce. Cóż, kiedy od nazbyt dawna analizowałem zachowanie Emilii, żeby móc sobie pozwolić na tego rodzaju szczere i odruchowe wystąpienie; z drugiej strony zależało mi nie tyle na udowodnieniu winy Emilii, ile na definitywnym wyjaśnieniu naszych stosunków. Wchodząc zniecka do salonu odciąłbym sobie raz na zawsze możliwość dowiedzenia się prawdy oraz szansę odzyskania miłości Emilii.

Powiedziałem sobie, że muszę działać spokojnie, z zachowaniem wszelkich ostrożności, jakich będzie wymagała ode mnie ta drażliwa sytuacja.

Inna jeszcze myśl zatrzymała mnie na tarasie i wypływała ona z pobudek czysto egoistycznych: oto trafiał mi się znakomity pretekst, by zerwać kontrakt na scenariusz Odysei, wykreścić się od tej pracy, która budziła we mnie wstręt, i wrócić do umiłowanego teatru.

Tego rodzaju rozwiązanie było dogodne dla nas trojga, dla Battisty, Emilii i dla mnie. Ten pocałunek stał się istotnie kulminacyjnym punktem owego wielkiego nieporozumienia, które tak zaważyło na moim życiu, na moich stosunkach z Emilią i na mojej pracy. I wreszcie nadarzyła się okazja, żeby je raz na zawsze wyjaśnić. Ale trzeba było działać bez pośpiechu, rozważnie, nie wywołując skandalu.

To wszystko przemknęło mi przez głowę równie szybko i gwałtownie, jak wpada przez otwarte okno do pokoju podmuch wiatru, porywając kartki, wzbijając w górę tumany kurzu i śmieci. I

tak jak w pokoju po zamknięciu okna robi się nagle cisza i spokój, tak samo mój umysł wyczerpał się wreszcie i zamilkł; stałem jak ogłuszony wpatrując się w noc wytrzeszczonymi oczyma, nic już nie myśląc, nic nie odczuwając. W tym stanie oszołomienia bezwiednie oderwałem się od balustrady, podszedłem do drzwi balkonowych, otworzyłem je i wszedłem do salonu. Jak długo przebywałem na tarasie od chwili przyłapania na pocałunku (Emilii i Battisty? Na pewno dłużej niż mi się zdawało, bo zastałem Battistę i Emilię siedzących przy stole; jedli już drugie danie. Zauważyłem, że Emilia zdjęła suknię, którą rozdarł jej Battista, i włożyła ten sam kostium, który miała na sobie w czasie podróży; sam nie wiem czemu, ale ten szczegół, będący wymownym i okrutnym potwierdzeniem jej zdrady, wprowadził mnie w wielkie zakłopotanie. - Myśleliśmy, że poszedł pan wykąpać się w morzu przy świetle księżycy - powiedział jowialnie Battista - gdzież się pan do diabła schował? - Byłem tu, na tarasie - odpowiedziałem cicho. Zobaczyłem, że Emilia podnosi oczy, spogląda na mnie, a potem odwraca wzrok; i byłem już pewien, że ona widziała mnie, gdy obserwowałem ich uścisk z tarasu, i wiedziała, iż ja wiem o tym, że ona mnie widziała.

ROZDZIAŁ XV

Podczas kolacji Emilia była milcząca, ale wcale nie wyglądała na zakłopotaną; zdziwiło mnie to, bo uważałem, że powinna być zmieszana, a wiedziałem, że nigdy, a przynajmniej dawniej, nie potrafiła się maskować. Battista natomiast nie ukrywał swojego wesołego i zwycięskiego nastroju: mówił bez przerwy, a przy tym jadł z wielkim apetytem i pił może nawet za wiele. O czym mówił tego wieczoru Battista? O wielu rzeczach, ale, jak od razu spostrzegłem, przede wszystkim o sobie samym, pośrednio czy bezpośrednio.

Słowo „ja” brzmiało agresywnie w jego ustach, z częstotliwością, która mnie drażniła; niemniej irytował mnie sposób, w jaki od najbardziej oderwanych tematów dochodził stopniowo do swojej osoby. Rozumiałem jednak, że owe przechwałki wynikały nie tyle z próżności, ile z typowo męskiego pragnienia przypodobania się Emilii, a może i z chęci poniżenia mnie w jej oczach; był przekonany, że zdobył Emilię, nic więc dziwnego, że upojony puszył się przed nią niczym paw. Muszę jednak przyznać, że Battista nie był głupi; nie zaślepiała go męska próżność, w dalszym ciągu stał na twardym gruncie i opowiadał na ogół bardzo interesujące rzeczy; na przykład przy końcu kolacji opisywał barwnie i zarazem bardzo rzeczowo swoją ostatnią podróż do Ameryki i wizytę w Hollywood. Niemniej jego arbitralny, pewny siebie głos był dla mnie nie do zniesienia i naiwnie wyobrażałem sobie, że takie samo wrażenie odnosi Emilia, bo nie wiadomo dlaczego, pomimo tego, com widział, uważałem, że ona

w dalszym ciągu jest wrogo nastawiona do Battisty. Ale byłem w błędzie, Emilia nie odnosiła się wrogo do Battisty, wprost przeciwnie; gdy go słuchała, dostrzegłem kilkakrotnie w jej oczach wyraz może nie zachwyty, ale w każdym razie ogromnego zainteresowania, a chwilami nawet podziwu. Owo spojrzenie przepełniało mnie goryczą i wyprowadzało z równowagi bardziej jeszcze niż pyszałkowane przechwałki Battisty. Poza tym przypominało mi ono inne spojrzenie, lecz nie mogłem sobie przypomnieć jakie. Nagle, przy końcu kolacji, doznałem olśnienia: to było to samo spojrzenie, a przynajmniej bardzo podobne do tego, jakie zauważyłem w oczach żony reżysera Pasettiego będąc u nich na obiedzie.

Niepozorny, bezbarwny, pedantyczny Pasetti opowiadał, a żona pożerała go wzrokiem, w którym malowała się miłość, pokora, oddanie i podziw. Oczywiście Emilia nie doszła jeszcze do takiego uwielbienia w stosunku do Battisty, ale w jej oczach kryły się już zarodki tych uczuć, jakie pani Pasetti żywiła dla męża. Battista miał rację, że puszył się jak paw: w sposób dla mnie nie wytłumaczony podbił już w dużym stopniu Emilię i pewien był, że podbije ją do reszty. Na tę myśl doznałem przenikliwego bólu, jeszcze o wiele dotkliwszego niż przedtem, na widok ich pocałunku. Nie panując dłużej nad sobą, wyraźnie się zasepiłem.

Battista musiał to zauważyć, bo obrzucił mnie przenikliwym wzrokiem i zapytał zniecacka: - Co się panu stało, panie Molteni?... Nie jest pan zadowolony z pobytu na Capri? Czyżby coś panu nie dogadzało?

- Dlaczego?

- Dlatego - powiedział dolewając sobie wina - że jest pan przygnębiony... bez humoru.

Jego zachowanie było natarczywe, może dlatego że wiedział, iż najlepszym sposobem obrony jest atak. Odpowiedziałem mu z miejsca, zdziwiony własną przytomnością umysłu: - Popsuł mi się humor, kiedy stałem na tarasie i patrzyłem na morze.

Podniósł brwi i patrzył na mnie pytająco, lecz bez cienia zmieszania: - Ach tak?

A dlaczego?

Spojrzałem na Emilię, ona też nie wyglądała na zakłopotaną. Obydwoje byli niewiarygodnie pewni siebie. Nagle wyrwały mi się całkiem nieoczekiwane słowa: - Czy mogę mówić z panem szczerze?

Znowu musiałem podziwiać zimną krew Battisty: - Szczerze? Oczywiście! Ze mną trzeba zawsze mówić szczerze.

Powiedziałem: - Widzi pan, patrząc na morze, wyobraziłem sobie przez moment, że przyjechałem tutaj po to, by popracować dla siebie... Jak panu wiadomo, mam ambicje dramaturga... więc pomyślałem sobie, że byłoby to, jak się mówi, idealne miejsce, żeby poświęcić się mojej pracy; piękno, cisza, spokój, żona przy moim boku, oderwanie od trosk i kłopotów... Potem przypomniałem sobie, że w tych tak sprzyjających okolicznościach, w tej cudownej miejscowości, będę zmuszony... proszę wybaczyć, ale chciał pan, żebym był szczerzy... spędzać czas na pisaniu scenariusza, który na pewno będzie dobry, ale który w gruncie rzeczy wcale mnie nie

dotyczy... dam wszystko najlepsze ze siebie Rheingoldowi, Rheingold zrobi z tym, co zechce, i w końcu zostanie mi tylko czek w kieszeni...

Stracę trzy do czterech miesięcy najbardziej twórczego okresu mojego życia. Wiem, że nie powinienem mówić takich rzeczy ani panu, ani żadnemu innemu producentowi filmowemu... ale pan chciał, żebym był szczery. Teraz już pan zna przyczynę mego złego humoru.

Dlaczego powiedziałem to wszystko zamiast tego, co miałem na końcu języka i co dotyczyło postępowania Battisty z moją żoną? Nie wiem; może po naprężeniu nerwowym ogarnęło mnie nagle osłabienie; może chciałem w ten sposób pośrednio wyrazić moją rozpacz z powodu zdrady Emilii, która, jak wyczuwałem, związana była w pewien sposób z zależnym i merkantylnym charakterem mojej pracy. Lecz Battista i Emilia, tak jak nie przejęli się moim groźnie brzmiącym wstępem, tak samo teraz nie okazali zainteresowania moim żalonym wyznaniem. Battista oświadczył poważnie: - Ależ ja jestem pewien, panie Molteni, że zrobi pan znakomity scenariusz.

Skoro raz wszedłem na fałszywą drogę, musiałem brnąć dalej. Odpowiedziałem zrozpaczonym głosem: - Boję się, że pan mnie nie zrozumiał... jestem dramaturgiem, nie zawodowym scenarzystą, i ten scenariusz, choćby najlepszy, najdoskonalszy, będzie dla mnie tylko scenariuszem. Podjąłem się go, proszę wybaczyć, że powiem otwarcie, wyłącznie dla pieniędzy. A w dwudziestym siódmym roku życia ma się, jak się to mówi, ideały... i moim ideałem jest pisać dla teatru. Dlaczego nie mogę się temu poświęcić? Bo świat jest dzisiaj tak urządony, że nikt nie może robić tego, co chce, tylko to, czego

chęcią inni. Bo zawsze wyłania się sprawa pieniędzy w tym, co robimy, w tym, czym jesteśmy, w tym, czym chcielibyśmy zostać w naszej pracy, w naszych najwyższych aspiracjach, nawet w naszych stosunkach z najbliższymi ludźmi.

Uświadomiłem sobie, że się uniosłem i, co gorzej, że łzy kręcają mi się w oczach.

Ogarnął mnie wstyd i przeklinałem w duszy mój głupi sentymentalizm, który pchnął mnie do zwierzeń. I komu w dodatku robiłem te zwierzenia? Człowiekowi, który przed chwilą próbował z powodzeniem uwieść mi żonę. Lecz Battista nie miał zwyczaju przejmować się drobiazgami i powiedział: - Wie pan, panie Molteni, że słuchając pana mam wrażenie, że słyszę siebie, kiedy byłem w pańskim wieku.

- Tak? - wyjąkałem zmieszany.

- Tak, byłem wtedy w nędzy - ciągnął dalej Battista, znowu dolewając sobie wina.

- I ja także, jak się pan wyraził, miałem ideały... Jakie były te ideały? Nie umiałbym sprecyzować, a może i wtedy dokładnie nie wiedziałem... ale miałem je... a może nie miałem takich czy innych ściśle określonych ideałów, tylko jeden ideał przez duże I...

Potem spotkałem na mojej drodze człowieka, któremu wszystko zawdzięczam, choćby dlatego, że nauczył mnie pewnych rzeczy. - Battista zamilkł na chwilę i w jego milczeniu było coś błazeńsko uroczystego. A ja nie mogłem powstrzymać się od myśli, że ten człowiek, o którym wspominał, był, jak wiedziałem, producentem

filmowym dzisiaj już zapomnianym, lecz sławnym niegdyś w zaraniu kinematografii włoskiej, przy którym Battista rozpoczął swoją błyskotliwą karierę; ten człowiek jednak, jak obito mi się o uszy, był godny podziwu tylko dlatego, że umiał robić pieniądze. - I ja - mówił dalej Battista - palnąłem raz temu człowiekowi taką samą mówkę jak pan mnie dzisiaj. I wie pan, co mi na to odpowiedział?

Jeśli nie umie się dokładnie określić swojego ideału, to lepiej o nim zapomnieć lub odłożyć go na bok, ale kiedy stanie się wreszcie na solidnym terenie, trzeba to sobie uprzytomnić i utrzymanie silnej pozycji powinno się stać owym ideałem... pierwszy zarobiony tysiąclirowy banknot, oto ideał. Potem, jak mi powiedział, ten ideał rozwija się dalej codzienną pracą, powstają teatry, atelier, kręci się film za filmem... oto co mi powiedział.

Zastosowałem się do jego wskazówek i powiodło mi się. Pan jednakże ma tę wielką przewagę, że wie pan, co jest pańskim ideałem: pisać dla teatru, pisać dramaty... i będzie pan je pisał.

- Będę je pisał? - wyrwało mi się mimo woli i zadałem to pytanie bez przekonania, ale z nadzieją w głosie.

- Będzie pan pisał swoje dramaty - potwierdził Battista - jeśli pan naprawdę tego pragnie, będzie pan je pisał nawet pracując dla pieniędzy, nawet robiąc scenariusze dla wytwórni „Triumpf Film”. Chce pan wiedzieć, jaka jest tajemnica powodzenia, panie Molteni?

- Jaka?

- Stanać w kolejce w życiu, tak jak stoi się w kolejce przed kasą biletową na dworcu... zawsze przychodzi nasza chwila, jeżeli stoimy

cierpliwie, nie zmieniając kolejki.

Kasjer w okienku podaje każdemu jego bilet, każdemu zgodnie z jego możliwościami, oczywiście... Kto chce i może jechać daleko, otrzymuje bilet choćby do Australii... Inny, którego nie stać na to, bilet na krótszą trasę... choćby na Capri. - Roześmiał się zadowolony z dwuznacznej aluzji do naszej podróży i dodał: - życzę panu, żeby pan otrzymał bilet na bardzo daleką trasę, na przykład do Ameryki, zgoda?

Spojrzałem na Battistę, który uśmiechał się do mnie po ojcowsku, a potem na Emilię, której twarz także rozjaśniła się szczerym uśmiechem. I po raz nie wiem który pomyślałem o tym, że Battiscie udało się w jakiś niewytłumaczony dla mnie sposób zmienić w ciągu jednego dnia jej niechęć w uczucie sympatii i podziwu. I znowu zrobiło mi się przeraźliwie smutno, równie smutno jak wtedy, gdy odnalazłem w oczach Emilii spojrzenie pani Pasetti.

Poczułem smutek a nie zazdrość, byłem bowiem tak zmordowany podróżą i wydarzeniami dnia dzisiejszego, że zmęczenie dominowało nad każdym moim uczuciem, przygniatając najgwałtowniejsze nawet reakcje i zmieniając je w rozpaczliwą, bierną melancholię. Kolacja skończyła się w sposób dość nieoczekiwany. Zaszuchana w słowa Battisty, Emilia przypomniała sobie nagle o moim istnieniu i zrobiła to w sposób, który wzmógł jeszcze mój niepokój. Gdy zaproponowałem: „Może wyjdziemy na taras... pewnie już wschodzi księżyc”, odpowiedziała sucho: - Nie mam ochoty iść na taras... pójdę spać... jestem zmęczona - po czym od razu wstała, pożegnała nas krótkim dobranoc i wyszła z pokoju. Nie wyglądało na

to, żeby Battista był zdziwiony tym nagłym wyjściem, odniosłem wrażenie, że było wprost przeciwnie, bo miał bardzo zadowoloną minę, jak gdyby kapryśne zachowanie Emilii potwierdzało budzące się w niej dla niego uczucie. Lecz mój niepokój wzrastał z każdą chwilą. I chociaż, jak już wspomniałem, słałem się na nogach ze zmęczenia i wiedziałem, że lepiej byłoby odłożyć na dzień następny wszelkie wyjaśnienia, nie mogłem dłużej nad sobą panować. Pod pretekstem, że jestem śpiący, rozstałem się z Battistą i także wyszedłem z salonu.

ROZDZIAŁ XVI

Nasze pokoje sypialne połączone były drzwiami; podszedłem do nich od razu i zastukałem. Emilia powiedziała, że mogę wejść. Siedziała nieruchomo na łóżku, jak gdyby nad czymś rozmyślała. Gdy wszedłem, zapytała mnie zmęczonym, rozpaczliwym tonem:

-

Czego jeszcze ode mnie chcesz?

- Nic nie chcę - odrzekłem chłodno. Byłem już spokojny i opanowany, a nawet w mniejszym stopniu odczuwałem zmęczenie. - Przyszedłem po prostu powiedzieć ci dobranoc.

- Albo dowiedzieć się, co myślę o rozmowie, jaką prowadziłeś przy kolacji z Battistą... A skoro chcesz wiedzieć, powiem ci to od razu: wszystko, co mówiłeś, było śmieszne i zupełnie nie na miejscu.

Wziąłem krzesło, usiadłem i zapytałem: - Dlaczego?

- Nie rozumiem cię - odrzekła z irytacją - naprawdę cię nie rozumiem. Tak ci niby zależy na tym scenariuszu, a potem mówisz producentowi, że robisz to tylko dla pieniędzy, że nie lubisz tej pracy, że twoim ideałem byłoby pisać dla teatru i tak dalej... Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że on dzisiaj przez grzeczność przyznał ci rację, ale jutro się rozmyśli i nie powierzy ci już nigdy żadnego scenariusza? Czy to możliwe, żebyś nie rozumiał tak prostej rzeczy?

Tak więc wyraźnie napadła na mnie. I choć rozumiałem, że zrobiła to dlatego, by zatuszować inne, znacznie ważniejsze sprawy, musiałem stwierdzić, że w głosie jej brzmiała szczerza, choć obraźliwa

i upokarzająca dla mnie nuta. Postanowiłem zachować spokój, ale ten akcent pogardy rozdrażnił mnie i uniosłem się mimo woli. - Ależ to jest prawda! - krzyknąłem nagle. - Nie lubię tej pracy i nigdy jej nie lubiłem... i jeszcze wcale nie powiedziane, że się jej podejmę.

- Podejmiesz się, podejmiesz, nie ma obawy. - Chyba nigdy jeszcze nie pogardzała mną tak jak w tej chwili.

Zacisnąłem zęby i zrobiłem nadludzki wysiłek, by się opanować. - A może i nie - odrzekłem spokojnie - rano miałem jeszcze zamiar pisać ten scenariusz... ale w dniu dzisiejszym zaszły takie rzeczy, że prawdopodobnie nie dalej jak jutro powiem Battiscie, że rezygnuję z tej pracy.

Celowo nie powiedziałem otwarcie, o co idzie, chciałem się na niej zemścić.

Znęcała się nade mną tak długo, że teraz pragnąłem odplacić jej pięknym za nadobne, robiąc aluzję do tego, com widział przez okno, ale nie poruszając otwarcie tego tematu. Spojrzała na mnie przenikliwie, a potem zapytała spokojnym głosem: - A co takiego zaszło?

- Wiele rzeczy.

- Ale co?

Pytała natarczywie, odniosłem wrażenie, że szczerze pragnie, bym oskarżył ją o zdradę. Znowu odpowiedziałem wymijająco: - To są sprawy dotyczące filmu... rozgrywka między mną a Battistą... nie warto o tym mówić.

- Ale dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- To by cię nie zainteresowało.

- Możliwe... Ale ty nie zdobędziesz się na odwagę, żeby zrezygnować ze scenariusza: zrobisz go.

Nie mogłem się połapać, czy w tym zdaniu kryje się tylko pogarda, czy też i jakaś nieokreślona nadzieja. Zapytałem ostrożnie: - Dlaczego tak myślisz?

- Bo cię znam. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała: - A zresztą ze scenariuszami dzieje się zawsze tak samo... Już nieraz od ciebie słyszałam, że nie podejmiesz się tej czy innej pracy, i potem zawsze ją brałeś. W scenariuszach zawsze piętrzą się trudności.

- Tak, ale tym razem trudność nie leży w samym scenariuszu.

- A gdzie?

- We mnie.

- Co to znaczy?

„To, że pocałował cię Battista” - miałem ochotę palnąć prosto z mostu. Ale powstrzymałem się: nasze stosunki nie wyjaśniły się jeszcze ostatecznie, od dawna nie były szczere, prostolinijne, opierały się wyłącznie na niedomówieniach. Wiedziałem, że zanim dojdziemy do prawdy, trzeba będzie jeszcze niejedno powiedzieć. Pochyliłem się nieco do przodu i oświadczyłem poważnie: - Emilio, znasz już powód, mówiłem o tym przy stole: mam już dosyć pracy dla innych, chcę pracować dla siebie.

- A kto ci broni?

- Ty - powiedziałem pompatycznie i wiedząc, że chce zaprotestować, dorzuciłem:

- Nie ty bezpośrednio, ale twoja obecność w moim życiu. Nasze stosunki są niestety takie, jak są, nie mówmy o nich, ale nadal jesteś moją żoną i, jak ci mówiłem już przedtem, borykam się z tą pracą przede wszystkim ze względu na ciebie... Gdyby nie ty, nie robiłbym tego. Słowem, wiesz doskonale i nie potrzebuję tego powtarzać: mamy mnóstwo długów, musimy jeszcze spłacić raty za mieszkanie; samochód także nie jest zapłacony w całości... dlatego piszę scenariusze. Teraz jednak chcę ci zrobić pewną propozycję.

- Jaką?

Wydawało mi się, że jestem bardzo spokojny, bardzo rozsądny, bardzo logiczny; ale zarazem odczuwałem dziwny niesmak, który zobrazował mi cały fałsz i gorzej niż fałsz, całą absurdalność owego spokoju, rozsądku i logiki. Ostatecznie widziałem Emilię w ramionach Battisty i tylko to powinno było mnie obchodzić. Pomimo to powiedziałem: - Propozycja, jaką chcę ci zrobić, jest następująca: sama zadecydujesz, czy mam robić ten scenariusz, czy nie. Przysięgam ci, że jeśli powiesz nie, jutro z samego rana zakomunikuję to Battiście... i wyjedziemy pierwszym statkiem z Capri.

Nie podniosła głowy, była zamyślona. - Sprytny jesteś - powiedziała w końcu.

- Dlaczego?

- No, bo jeśli potem tego pożałujesz, zawsze będziesz mógł powiedzieć, że to moja wina.

- Nic podobnego. Skoro sam cię proszę o decyzję...

Widziałem, że namyśla się teraz, jaką mi dać odpowiedź. I

zrozumiałem, że to, co odpowie, będzie jednocześnie wyrazem jej uczuć dla mnie. Jeśli mi odpowie, bym robił scenariusz, będzie to oznaczało, iż pogardza mną do tego stopnia, że chce, bym pomimo wszystko kontynuował moją pracę. Natomiast jeśli odpowie przecząco, znajdę potwierdzenie, że zachowała jeszcze dla mnie resztki szacunku i nie życzy sobie, bym pracował dla jej kochanka. Tak więc znowu powracało to samo pytanie: czy mną pogardza i dlaczego mną pogardza. Wreszcie powiedziała: - O takich sprawach musisz sam decydować.

- Ale ja cię proszę, żebyś ty zdecydowała.

- Tylko pamiętaj, żeś sam tego ode mnie zażądał - odpowiedziała nagle uroczystym tonem.

- Będę pamiętał.

- A więc uważam, że skoro raz się tego podjąłeś, nie powinieneś rezygnować...

Sam mi to zresztą nieraz mówiłeś... Battista mógłby się zniechęcić do ciebie i nie dać ci już nigdy żadnej pracy. Myślę, że powinieneś wziąć ten scenariusz.

A więc radziła mi, bym kontynuował pracę; a więc, jak przewidywałem, bezgranicznie i bezlitośnie mną pogardzała. Prawie nie dowierzając własnym uszom, zapytałem z naciskiem:

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście.

Nie wiedziałem przez chwilę, co mam powiedzieć. W końcu odrzekłem niechętnie: - Doskonale... tylko żebyś mi potem nie

wmawiała, że dałaś mi tę radę, bo w gruncie rzeczy widziałaś, że mam ochotę na tę pracę... tak jak było tego dnia, kiedy miałem podpisać umowę.

Postawmy sprawę jasno: nie mam na to ochoty.

- Ufff, nudzisz mnie - powiedziała z roztargnieniem, wstając z łóżka i podchodząc do szafy. - Taka jest moja rada... a ty rób sobie jak chcesz.

Mówiła znowu pogardliwym tonem, potwierdzając moje przypuszczenia. I nagle poczułem znowu ten sam ból, jakiego doznałem po raz pierwszy w Rzymie, gdy krzyknęła mi prosto w twarz, że mną pogardza. Nie mogłem powstrzymać się od okrzyku: - Emilio, po co to wszystko? Dlaczego odnosimy się do siebie tak wrogo?

Otworzyła szafę i przeglądała się w lustrzanych drzwiach. Odpowiedziała obojętnie:

- Cóż chcesz, takie jest życie!

Zabrakło mi tchu, siedziałem jak skamieniały. Emilia nigdy jeszcze nie odezwała się do mnie w ten sposób, z tak apatyczną obojętnością, tak konwencjonalnie.

Zrozumiałem, że mógłbym jeszcze odwrócić sytuację, mówiąc jej, że widziałem ją z Battistą, o czym zresztą ona sama wiedziała doskonale; że prosząc ją o decyzję w sprawie scenariusza, chciałem tylko wystawić ją na próbę, co zresztą zgadzało się z prawdą; słowem, że wszystko, jak zawsze, sprowadzało się do wyświecenia naszych wzajemnych stosunków. Ale nie miałem odwagi, a raczej siły: czułem

się zmęczony, wyczerpany do ostatka. Zdobyłem się tylko na nieśmiałe pytanie: - A co ty będziesz robić podczas pobytu na Capri, kiedy ja będę zajęty moją pracą?

- Nic specjalnego... będę chodziła na spacer, będę się kąpać w morzu, opalać... tak jak wszyscy.

- Sama?

- Tak, sama.

- Nie nudzisz się sama?

- Nigdy się nie nudzę... mam tyle rzeczy do myślenia.

- Myślisz czasem i o mnie?

- Tak, naturalnie, że i o tobie.

- A co myślisz? - wstałem z krzesła, podszedłem do Emilii i chwyciłem ją za rękę.

- Mówiliśmy już o tym tyle razy. - Próbowała uwolnić swoją dłoń, ale zrobiła to miękko, bez cienia gwałtowności.

- Zawsze myślisz o mnie w ten sam sposób?

Tym razem szarpnęła się do tyłu i odrzekła szorstko: - Słuchaj, idź już lepiej spać...

Nie lubisz słuchać przykrych rzeczy, zresztą rozumiem cię doskonale... a z drugiej strony ja mogę tylko powtórzyć to samo... Co za przyjemność w tym znajdujesz, żeby ciągle do tego wracać?

- Chcę o tym mówić.

- Ale po co? Musiałabym powiedzieć to samo, co mówiłam ci już tyle razy... wcale nie zmieniłam mojej opinii o tobie, dlatego że przyjechałam na Capri: wprost przeciwnie.

- Co to ma znaczyć: wprost przeciwnie?

- No, wprost przeciwnie - wytłumaczyła trochę niejasno. -
Chciałam podkreślić, że nie zmieniałam zdania: to wszystko.

- Słowem w dalszym ciągu odczuwasz w stosunku do mnie... to samo... czy tak?

Całkiem nieoczekiwanie zaprotestowała prawie płaczącym głosem: - Dlaczego się tak nade mną znęcasz? Czy myślisz, że mi jest przyjemnie mówić ci to wszystko?

To dla mnie jeszcze bardziej przykre niż dla ciebie.

Wzruszyła mnie nuta cierpienia, jaką dosłyszałem w jej głosie. I powiedziałem, znowu ujmując ją za rękę: - A ja nie umiem myśleć o tobie inaczej jak w superlatywach... i zawsze będę tak myślał - dodałem, jak gdyby dając do zrozumienia, że przebaczam jej zdradę, cokolwiek by się stało.

Nic nie odpowiedziała. Patrzała w bok, jak gdyby na coś czekała. Ale zarazem czułem, że próbuje uwolnić swoją rękę z uścisku mojej dłoni w sposób uparty, zaciekły, wrogi. Wtedy szorstko powiedziałem jej dobranoc i wyszedłem. Znowu poczułem przenikliwy ból słysząc, że natychmiast po moim wyjściu klucz przekręcił się w zamku.

ROZDZIAŁ XVII

Następnego ranka wstałem wcześniej i nie interesując się, gdzie są Battista i Emilia, wyszedłem, a raczej uciekłem z domu. Po wypoczynku i przespanej nocy wydarzenia dnia wczorajszego ukazały mi się w niemiłym świetle, jako seria niedorzeczności, niedorzecznie przeze mnie przyjętych; chciałem się teraz spokojnie zastanowić na tym, co powinienem zrobić, bo każda pochopnie powzięta decyzja mogłaby mieć nieodwracalne następstwa.

Wymknąłem się więc z domu i tą samą drogą, którą jechaliśmy wczoraj, poszedłem do hotelu, gdzie zamieszkał Rheingold. Zapytałem o niego i powiedziano mi, że jest w ogrodzie.

Poszedłem więc tam i w głębi alejki zobaczyłem ażurową barierę tarasu, na który padał oślepiający odblask morza i nieba zalanych słońcem. Przed barierą stał stolik i kilka krzesełek; zobaczyłem już z daleka, że na mój widok ktoś wstaje z krzesła i wymachuje ręką na powitanie. Był to Rheingold, ubrany jak kapitan marynarki, w niebieską czapkę ozdobioną złotą kotwicą, w niebieską kurtkę i białe spodnie. Na stole stała taca z resztkami śniadania, obok leżała teczka oraz przybory do pisania.

Rheingold był w doskonałym humorze. Zapytał z miejsca: - No co, panie Molteni?

Co pan powie o takim poranku?

- Rzeczywiście piękny poranek.

- Co by pan powiedział, panie Molteni - mówił dalej, ujmując

mnie pod ramię i podchodząc ze mną do poręczy tarasu - co by pan na to powiedział, żeby zostawić robotę, wsiąść do łodzi i popłynąć powoli dokoła wyspy? Czy nie byłoby lepiej, bez porównania lepiej?

Odpowiedziałem bez przekonania, myśląc w głębi duszy, że tego rodzaju przejażdżka w towarzystwie Rheingolda straciłaby wiele ze swego uroku: - Tak, byłoby lepiej w pewnym sensie.

- Trafił pan w sedno, panie Molteni - zawołał triumfalnie. - Właśnie, w pewnym sensie... ale w jakim sensie? Nie w tym sensie, w jakim my pojmujemy życie. Dla nas życie to obowiązek, nieprawda, panie Molteni? - Odszedł od bariery, znowu usiadł przy stoliku, po czym nachylając się ku mnie i patrząc mi w oczy, powiedział uroczystym tonem: - Proszę usiąść naprzeciwko mnie. Dzisiaj tylko porozmawiamy... Mam panu do powiedzenia wiele rzeczy.

Usiadłem, Rheingold nasunął daszek czapki na oczy i ciągnął dalej: - Pamięta pan, że wyjaśniałem panu moją interpretację Odysei w drodze z Rzymu do Neapolu, ale spotkanie z Battistą przerwało nam tę rozmowę. Potem przez resztę podróży spałem, odkładając dalsze wyjaśnienia na później... pamięta pan, panie Molteni?

- Oczywiście.

- Pamięta pan także zapewne, że dałem panu następujący klucz do Odysei: powrót do domu zabiera Ulissesowi aż dziesięć lat czasu, bo podświadomie nie pragnie on tego powrotu.

- Tak.

- A więc teraz wytłumaczę panu, dlaczego, moim zdaniem, Ulisses nie chce wrócić do domu - powiedział Rheingold. Zamilkł na

chwilę, jak gdyby chcąc podkreślić ten pompatyczny wstęp, po czym marszcząc brwi i patrząc na mnie z pełną wyższości powagą, mówił dalej: - Ulisses podświadomie nie ma ochoty wracać do domu, bo w rzeczywistości jego stosunki z żoną są jak najgorsze... oto przyczyna, panie Molteni... Te stosunki są złe już przed jego wyjazdem na wojnę... co więcej, Ulisses dlatego wyrusza na wojaczkę, właśnie dlatego, że nie czuje się dobrze w domu... a nie czuje się dobrze w domu, bo nie jest w dobrych stosunkach z żoną.

Znowu przerwał na chwilę, lecz nadal marszczył brwi, jak gdyby chciał podkreślić w ten sposób swój autorytet; wykorzystałem ten moment ciszy, by przekręcić krzesło, bo słońce raziło mnie w oczy. Potem mówił dalej: - Gdyby stosunki Ulissesa z Penelopą były dobre, w ogóle nie wyjechałby na wojnę... Ulisses nie ma w sobie żyłki wojownika...

Ulisses to człowiek ostrożny, mądry i przewidujący... Gdyby jego stosunki z żoną były dobre, Ulisses, żeby okazać solidarność Menelausowi, ograniczyłby się do wysłania mu swoich wojsk pod dowództwem zaufanego człowieka. Tymczasem Ulisses wyjeżdża sam, korzysta z, tej okazji, by uciec od żony.

- Bardzo logiczne.

- Chciał pan powiedzieć: bardzo psychologiczne, pani Molteni - poprawił mnie Rheingold wyczuwając może nutę ironii w moim głosie. - Bardzo psychologiczne... i proszę nie zapominać, że psychologia to wszystko, bez psychologii nie ma charakterów, a bez charakterów nie ma historii... A więc jak wygląda psychologia

Ulissesa i Penelopy? Penelopa jest uosobieniem tradycyjnej, archaicznej, feudalnej, arystokratycznej Grecji: jest cnotliwa, szlachetna, dumna, religijna, jest dobrą gospodynią, dobrą matką, dobrą żoną.

Ulisses natomiast nosi w sobie znamienne zadatki późniejszej Grecji, Grecji sofistów i filozofów. Ulisses jest człowiekiem bez przesądów i, gdy zajdzie potrzeba, bez skrupułów, jest wyrafinowany, rozsądny, inteligentny, areligijny, sceptyczny i czasem nawet cyniczny.

- Wydaje mi się - wyraziłem sprzeciw - że pan zbyt czarno maluje charakter Ulissesa. Przecież w Odysei...

Przerwał mi niecierpliwie: - Nie zajmujemy się Odyseją... a raczej interpretujemy i rozwijamy Odyseję... Robimy film, panie Molteni... Odyseja już została napisana, a film trzeba dopiero zrobić.

Milczałem, a on perorował dalej: - Otóż przyczyny złych stosunków między Ulissem a Penelopą należy się doszukiwać w różnicy ich charakterów. Przed wojną trojańską Ulisses zrobił coś, co nie spodobało się Penelopie. Co takiego? Tu właśnie występują zalotnicy. Wiemy z Odysei, że pretendują oni do ręki Penelopy, uczując przy tym i pijąc na koszt Ulissesa w jego własnym domu... trzeba odwrócić sytuację.

Patrzałem na niego z otwartymi ustami. - Nie rozumie pan? - zapytał. - A więc zaraz panu wytłumaczę. Zalotnicy, a może przyjdzie nam zredukować ich do jednego, na przykład Antinoosa... Zalotnicy więc zakochani są w Penelopie jeszcze przed wybuchem wojny

trojańskiej... i jako zakochani, obsypują ją darami, zgodnie z obyczajem greckim...

Penelopa, kobieta dumna, wyniosła, wierna tradycji, chciałaby odrzucić te dary, a przede wszystkim chciałaby, żeby Ulisses rozpedził zalotników na cztery wiatry... ale Ulisses z powodu, którego jeszcze nie znamy, lecz który łatwo znajdziemy, nie chce zrażać sobie zalotników... Jako człowiek rozsądny nie przywiązuje wielkiej wagi do ich umizgów, ponieważ wie, że żona jest mu wierna; nie przykładają też wagi do darów, a może nawet w gruncie rzeczy jest z nich raczej zadowolony... Proszę pamiętać, panie Molteni, że wszyscy Grecy byli chciwi, łasi na podarunki... Oczywiście Ulisses bynajmniej nie doradza Penelopie, by ulegała żądzom zalotników, tylko chce, żeby ich sobie nie zrażała, bo uważa, że nie warto... Ulisses chce żyć w spokoju, nie znosi skandali... Penelopa, która oczekiwała wszystkiego prócz owej bierności Ulissesa, jest oburzona i gorzko zawiedziona...

Protestuje, buntuje się. Lecz Ulisses jest niewzruszony, uważa, że nie ma powodów do obrazy, i radzi znowu Penelopie, by przyjęła dary i okazała się uprzejma wobec zalotników, bo co ją to właściwie kosztuje? W końcu Penelopa idzie za radą męża, ale zarazem budzi się w niej dla niego głęboka pogarda... Czuje, że już go nie kocha, i mówi mu to... Wtedy Ulisses widzi poniewczasie, że przez zbytnią przebiegłość zabił miłość Penelopy. Próbuje to naprawić, odzyskać miłość żony, lecz nie udaje mu się... jego życie w Itace staje się piekłem... Zrozpaczony, chwyta się wreszcie wojny trojańskiej, jak ostatniej deski ratunku, i wyjeżdża z domu. Po siedmiu latach wojna

się kończy i Ulisses znowu wsiada na statek, by powrócić do Itaki... ale wie, że w domu czeka na niego kobieta, która go nie kocha, co więcej: która nim pogardza... dlatego szuka podświadomie wybiegów, żeby opóźnić ten powrót, który napawa go niechęcią i lękiem... Mimo wszystko w końcu musi wrócić, lecz po powrocie przytrafia mu się to samo, co rycerzowi z legendy o smoku, pamięta pan? Księżniczka przyrzeka rycerzowi swoją miłość pod warunkiem, że zabije on smoka... rycerz zabija smoka i księżniczka pada mu w ramiona. Tak samo Penelopa po powrocie Ulissesem mówi, że była mu wierna, ale daje do zrozumienia, że owa wierność nie wypływała z miłości, lecz z dumy... Pokocha go znowu, ale tylko pod jednym warunkiem: jeśli zabije zalotników. Ulisses, jak wiemy, nie jest krwiożerczy ani mściwy... może wolałby usunąć zalotników, jak to się mówi, po dobremu, perswazją, jednakże tym razem zdobywa się na decyzję. Wie, że od wymordowania zalotników uzależniony jest szacunek Penelopy, a co za tym idzie także i jej miłość. Zabija więc zalotników. Wtedy dopiero Penelopa przestaje nim pogardzać i na nowo budzi się w niej miłość. Tak więc Ulisses i Penelopa kochają się znowu po długich latach rozstania i wyprawiają swoje prawdziwe wesele... swoje „bluthochzeit”, swoje krwawe gody. A więc zrozumiał pan, panie Molteni? Punkt pierwszy: Penelopa pogardza Ulissesem, gdyż nie zareagował on jak mężczyzna, jak mąż, na umizgi zalotników; punkt drugi: jej pogarda staje się przyczyną wyjazdu Ulissesem na wojnę trojańską; punkt trzeci: Ulisses wiedząc, że w domu oczekuje go kobieta, która nim pogardza, podświadomie odwleka swój powrót;

punkt czwarty: by odzyskać szacunek i miłość Penelopy, Ulisses zabija zalotników.

Zrozumiał pan, panie Molteni?

Powiedziałem, że zrozumiałem. Istotnie to wszystko nie było trudne do zrozumienia, ale wstręt, jaki wzbudziła we mnie od początku psychoanalityczna interpretacja Rheingolda, zwiększył się jeszcze; a przy tym jego wywody przygnębiły mnie i wprawiły w zamyślenie.

Tymczasem Rheingold wyjaśniał z właściwą mu pedanterią: - A wie pan, jaką drogą doszedłem do rozwikłania tej całej sytuacji? Poprzez rozbiór analityczny rzezi zalotników, opierając się na tym fragmencie Odysei. Zwróciłem uwagę na to, że owa rzeź tak brutalna, okrutna, bezlitosna pozostaje w całkowitej sprzeczności z charakterem Ulissesa, który dotychczas był nam przedstawiony jako człowiek wyrafinowany, miękki, delikatny, rozsądny, opanowany... i powiedziałem sobie: Ulisses mógł po prostu wyrzucić zalotników za drzwi... mógł to zrobić, był panem u siebie, był królem, wystarczyło, by dał się poznać... skoro tego nie zrobił, musiał mieć ku temu jakiś ważny powód... Jaki? Ulisses chce pokazać, że jest nie tylko wyrafinowany, miękki, delikatny, rozsądny, opanowany, ale że, gdy zachodzi tego potrzeba, potrafi być gwałtowny jak Ajaks, porywczy jak Achilles, bezlitosny jak Agamemnon... I komu to chce pokazać?... Oczywiście Penelopie, a więc: eureka!

Nic nie odpowiedziałem. Rozumowanie Rheingolda było jak najbardziej logiczne i zgadzało się znakomicie z jego tendencją

przerobienia Odysei na historię psychoanalityczną.

Ale właśnie dlatego odczuwałem głęboką odrazę, jak gdyby w obliczu profanacji. U

Homera wszystko było proste, czyste, szlachetne, naiwne, nawet chytróść Ulissesza utrzymana była poetycznie w granicach wyższości intelektualnej. Natomiast w interpretacji Rheingolda wszystko zostało zwulgaryzowane, zniżone do poziomu współczesnego moralizatorskiego, pseudopsychologicznego dramatu. A tymczasem Rheingold, bardzo zadowolony ze swojej tyrady, oświadczył: - Jak pan widzi, panie Molteni, mamy już cały film ze wszystkimi szczegółami... Pozostaje nam tylko napisać scenariusz.

Przerwałem mu niemal gwałtownie: - Niech pan posłucha, panie Rheingold, pańska interpretacja mi nie odpowiada.

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia, prawdopodobnie bardziej zaskoczony moim uniesieniem niż niezgodnością naszych opinii. - Nie odpowiada panu, drogi panie?

A dlaczego panu nie odpowiada?

Powiedziałem z wysiłkiem, lecz nabierając w miarę mówienia coraz to większej pewności: - Nie odpowiada mi, bo zniekształca i przedstawia w fałszywym świetle charakter Ulissesza... W Odysei Ulisses jest przedstawiony jako człowiek delikatny, rozsądny, chytry, jeśli chcemy, ale zawsze w granicach honoru i godności ludzkiej... nie przestaje ani przez chwilę być bohaterem, czyli dzielnym wojownikiem, królem, oddanym mężem...

Pańska interpretacja natomiast, wybaczy pan, że mu to mówię,

przedstawia wielkie ryzyko ukazania go jako człowieka bez godności, bez honoru, odartego z blasku, jaki go otacza... nie mówiąc już o tym, że ta sylwetka za bardzo oddala się od Odysei.

Mówiąc widziałem, jak szeroki uśmiech Rheingolda kurczy się powoli, ginie i wreszcie znika. Odpowiedział mi cierpko, z czysto niemiecką butą w głosie, którą na ogół udawało mu się tuszować: - Mój drogi panie Molteni, niech mi wolno będzie powiedzieć, że jak zwykle nic pan nie zrozumiał.

- Jak zwykle? - odrzekłem obrażony, ironicznym tonem.

- Tak, jak zwykle - odpalił z miejsca Rheingold - i zaraz panu powiem, dlaczego... proszę mnie uważnie słuchać.

- Może się pan nie obawiać, słucham.

- Wbrew temu, co pan mówi, wcale nie chcę przedstawić Ulissesa jako człowieka bez godności, bez honoru, odartego z blasku... chcę go po prostu przedstawić tak, jak widzimy go w Odysei... Kim jest Ulisses w Odysei, co reprezentuje? Ulisses w Odysei jest po prostu człowiekiem cywilizowanym, reprezentuje cywilizację. Wśród wszystkich innych bohaterów, którzy są właśnie nie cywilizowanymi ludźmi, Ulisses jest jedynym cywilizowanym... A na czym polega ta cywilizacja Ulissesa? Na tym, że nie ma on przesądów, że zawsze kieruje się rozsądkiem, za wszelką cenę, nawet w sprawach, jak pan powiada, decorum, godności i honoru... że jest inteligentny, obiektywny, że ma, powiedziałbym, niemal naukowe zacięcie. Oczywiście - ciągnął dalej Rheingold - cywilizacja ma i swoje ujemne strony - zapomina na przykład o tym, jakie ma

znaczenie kwestia tak zwanego honoru dla ludzi nie cywilizowanych... Penelopa nie jest kobietą cywilizowaną, jest bardzo tradycyjna... nie kieruje się rozsądkiem, rozumie tylko instynkt, krew, dumę... A teraz proszę dobrze słuchać, panie Molteno, i spróbować mnie zrozumieć... Tym wszystkim, którzy są nie cywilizowani, cywilizacja może się wydawać, i często się wydaje, cynizmem, zepsuciem, brakiem zasad... Oskarżał o to cywilizację na przykład Hitler, człowiek na pewno nie cywilizowany... On także dużo mówił o honorze... ale wiemy dzisiaj, kim był Hitler i jak wyglądał jego honor... Słowem, Penelopa przedstawia w Odysei barbarzyństwo a Ulisses cywilizację... I pan, panie Molteni, którego uważałem za cywilizowanego jak Ulisses, pan ma barbarzyńską mentalność jak Penelopa.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane z radosnym, szerokim uśmiechem:

Rheingold był najwyraźniej zadowolony, że wpadł na pomysł porównania mnie do Penelopy.

Lecz właśnie owo porównanie, sam nie wiem czemu, było dla mnie wyjątkowo odrażające.

Wydaje mi się, że nawet poblądł ze złości i odpowiedziałem porywczo: - Jeśli pan uważa za objaw cywilizacji to, że mąż ułatwia umizgi zalotnikom żony, w takim razie, drogi panie Rheingold, ja nie jestem i nie czuję się człowiekiem cywilizowanym.

Lecz tym razem, ku memu wielkiemu zdziwieniu, Rheingold nie wybuchnął gniewem:

- Chwileczkę - rzekł podnosząc rękę - rozsądne rozumowanie jakoś nie dociera dzisiaj do pana, zupełnie jak do Penelopy... Zróbmy tak: pójdzie pan teraz się wykąpać i przemyśli to wszystko, a jutro rano znowu pan przyjdzie do mnie i zakomunikuje mi swoje wnioski.

Odpowiedziałem zmieszany: - Dobrze... ale nie wydaje mi się, żebym zmienił zdanie.

- Niech pan to przemyśli - powtórzył Rheingold wstając i podając mi rękę.

Wstałem także, a Rheingold dorzucił pogodnie: - Jestem pewien, że po namyśle przyzna mi pan jutro rację.

- Nie przypuszczam - odpowiedziałem. I poszedłem alejką w stronę hotelu.

ROZDZIAŁ XVIII

Spędziłem z Rheingoldem nie więcej niż godzinę, tyle czasu, ile trwała dyskusja na temat Odysei. Miałem więc przed sobą cały dzień na „rozmyślanie”, jak wyraził się Rheingold, słowem, na decyzję, czy godzę się, czy nie z jego interpretacją.

Muszę się przyznać, że gdy tylko wyszedłem z hotelu, postanowiłem nie tylko nie zastanawiać się nad słowami Rheingolda, ale zapomnieć o nich i rozkoszować się pięknym dniem. Z drugiej strony czułem, że w rozumowaniu Rheingolda jest coś takiego, co przekracza granice wersji filmowej; coś, czego nie umiałem jeszcze określić, ale co uprzytomniła mi moja gwałtowna reakcja. Tak więc rzeczywiście powinienem był nad tym pomyśleć. Przypomniałem sobie, że wychodząc rano z domu, widziałem u podnóża willi maleńką samotną zatokę wyżłobioną u podnóża skał, i postanowiłem tam iść. To miejsce idealnie nadawało się do owych „rozmyślań”, a gdybym nie miał na nie ochoty, mógłbym się po prostu wykapać.

Poszedłem więc znowu drogą biegnącą dokoła wyspy. Było jeszcze wcześnie i na ocienionej ścieżce nie spotkałem prawie nikogo; czasem przechodził jakiś chłopiec i w ciszy słychać było miłe dudnienie jego bosych stóp na bruku, czasem para młodziutkich dziewcząt, spacerujących ze splecionymi rękami i rozmawiających półgłosem, czasem starsza pani, wyprowadzająca psa na przechadzkę.

Mniej więcej w połowie drogi skręciłem na ścieżkę wiodącą w górę na opustoszałą część wyspy. Szedłem wtedy jeszcze kawałek, po

czym napotkałem miejsce, w którym ścieżka rozwidlała się: druga jeszcze węższa dróżka prowadziła ku sterczącej nad morzem skale.

Poszedłem tą dróżką i gdy znalazłem się na skale, spojrzałem w dół. U moich stóp, w odległości co najmniej stu metrów, rozciągało się migocące, połyskujące w słońcu morze; zmieniało ono kolor w zależności od podmuchów wiatru, tu było błękitne, tam niemal fioletowe, dalej jeszcze zielone. Z tego spokojnego dalekiego morza strome skały wyspy zdawały się lecieć jak strzały zwrócone ku mnie ostrzami nagich wierzchołków błyszczących od słońca. Wtedy, sam nie wiem dlaczego, ogarnęła mnie nagle dziwna egzaltacja; pomyślałem, że nie chcę już żyć; i powiedziałem sobie, że gdybym w tej chwili rzucił się w ten świetlany bezmiar, to owa śmierć nie byłaby niegodna najlepszej części mojej istoty.

Tak, zabiłbym się, by poprzez śmierć osiągnąć czystość, której zabrakło mi w życiu.

Ta samobójcza pokusa była szczerą i być może przez moment moje życie było naprawdę w niebezpieczeństwie. Potem, instynktownie pomyślałem o Emilii zadając sobie pytanie, jak przyjęłaby wiadomość o mojej śmierci, i wówczas nieoczekiwanie powiedziałem sobie: „Nie zabiłbyś się dlatego, że jesteś zmęczony życiem... zabiłbyś się dla Emilii”. Ta refleksja zaskoczyła mnie, ponieważ odbierała bezinteresowny charakter mojemu uniesieniu.

Potem znowu zapytałem sam siebie: „Z powodu Emilii czy dla Emilii? To wielka różnica”. I od razu znalazłem odpowiedź: „Dla Emilii... żeby odzyskać choćby po śmierci jej szacunek... żeby miała

wyrzuty sumienia, że niesłusznie mną pogardzała”.

I gdy tylko sformułowałem tę myśl, ukształtował mi się nagle cały obraz mojej sytuacji, jak gdybym ułożył składającą się z małych cząsteczek dziecinną łamigłówkę.

„Zareagowałeś tak gwałtownie na słowa Rheingolda, bo wydało ci się, że on mówiąc o stosunkach między Ulissem a Penelopą zrobił mimo woli aluzję do twoich stosunków z Emilią... Kiedy Rheingold mówił o pogardzie Penelopy dla Ulissesa, ty myślałeś o pogardzie Emilii dla ciebie... jednym słowem oburzyła cię prawda tych słów i zaprotestowałeś przeciwko prawdzie.”

Lecz obraz nie był jeszcze kompletny; oto kilka myśli, które go dopełniły, tym razem definitywnie: „Pomyślałeś o samobójstwie, ponieważ nie jesteś w porządku ze sobą samym.

Jeśli chcesz naprawdę odzyskać szacunek Emilii, nie musisz odbierać sobie życia... nie trzeba aż tak wiele. A to, co masz zrobić, wskazał ci Rheingold. By odzyskać miłość Penelopy, Ulisses zabija zalotników... Teoretycznie powinieneś zabić Battistę... ale żyjemy w świecie nie tak gwałtownym i krańcowym jak Odyseja. Wystarczy, żebyś zrezygnował ze scenariusza, zerwał stosunki z Battistą, Rheingoldem i jutro rano wyjechał do Rzymu. Emilia poradziła ci, żebyś nie odrzucał scenariusza, bo chce tobą pogardzać i pragnie, by twoje zachowanie utwierdziło ją w tej pogardzie. Nie powinieneś słuchać jej rady, powinieneś działać tak właśnie, jak - według Rheingolda - działa Ulisses”.

To było wszystko: tym razem przeanalizowałem moją sytuację

do dna, krytycznie i bezlitośnie szczerze. Wydało mi się jasne, że teraz nie potrzebuję już „rozmyślać”, jak doradzał mi Rheingold, mogę od razu, wrócić do hotelu i oznajmić reżyserowi moją decyzję, tym razem nieodwołalną. Lecz zaraz potem powiedziałem sobie, że skoro nie zachodzi już potrzeba „rozmyślenia”, nie powinienem nic robić w pośpiechu, bo wywarłoby to wrażenie, że zaciąłem się w uporze. Pójdę spokojnie po południu do Rheingolda i powiem mu, jaka jest moja decyzja. Z takim samym spokojem po powrocie do domu powiem Emilii, żeby spakowała walizki. Co do Battisty, to postanowiłem w ogóle z nim nie rozmawiać, tylko przed samym wyjazdem zostawić mu list motywując moją decyzję rozbieżnością poglądów z Rheingoldem, co zresztą było zgodne z prawdą. Battista jako człowiek inteligentny zrozumie i nigdy go już nie zobaczę.

Pogrążony w tych myślach niemal bezwiednie zawróciłem na wąską dróżkę, minąłem willę, zbiegłem na dół krętą kamienistą ścieżynką prowadzącą do małej zatoki, którą zobaczyłem rano, wychodząc z domu. Gdy tam dotarłem, byłem tak zadyszany, że zatrzymałem się na chwilę, by zaczerpnąć tchu; stałem nieruchomo na skale, rozglądając się dokoła. Mała kamienista plaża otoczona była wokół ogromnymi głazami, które wyglądały tak, jak gdyby dopiero co stoczyły się z góry; dwie strzeliste skały zamykały zatokę, przeglądając się w lustrzanej tafli zielonej wody, tak przezroczystej, że promienie słońca przenikały w głębinę, oświetlając na dnie białe kamyki. Potem dostrzegłem czarną skałkę, całą podziurawioną i chropawą, zanurzoną do połowy w piasku i wodzie, i postanowiłem

położyć się w jej cieniu, bo słońce już mocno dopiekało. Lecz gdy okrążyłem ją dokoła, zobaczyłem nagle leżącą na kamieniach całkiem nagą Emilię.

Prawdę mówiąc nie poznałem jej od razu, bo miała twarz przykrytą dużym słomkowym kapeluszem; moim pierwszym odruchem było się wycofać, bo pomyślałem, że to jakaś nieznajoma kobieta. Potem mój wzrok padł na jej ramię i dalej na dłoń i wtedy zobaczyłem na palcu złoty pierścionek z dwoma opalami, który podarowałem Emilii na urodziny.

Stałem za Emilią i widziałem ją w skrócie. Jak już powiedziałem, była naga; ułożyła swoje rzeczy obok na kamieniu i wydawało się niewiarygodne, by ta kolorowa kupka łąszków wystarczała do przykrycia jej masywnego ciała, bo w nagości Emilii uderzyły mnie przede wszystkim nie szczegóły, ale rozmiary i masywność jej ciała. Wiedziałem dobrze, że Emilia nie różni się od większości kobiet, że jest raczej średniego wzrostu; lecz w tej chwili jej nagość wydała mi się bezmierna, jak gdyby morze i niebo użyczyły jej coś ze swego bezmiaru. Leżała na wznak i piersi jej były w tej pozycji nieco spłaszczone, ale mnie wydawały się potężne i pełne; tak samo biodra bezwładnie leżące na kamieniach, jakieś dziwnie szerokie i rozłożyste, i brzuch, który zdawał się wchłaniać w swoją krągłość całe światło słońca, i nogi, leżące na pochyłości zbocza, które robiły takie wrażenie, jak by ciągnął je w dół ich własny ciężar. Zapytałem sam siebie, skąd się bierze owo złudzenie potęgi i wielkości, tak głębokie i przemożne; i zrozumiałem, że wypływa ono z mego

obudzonego na nowo w całkiem nieoczekiwanym momencie pożądania. Z pożądania nie tyle fizycznego, ile duchowego (przy całej swojej gwałtowności), by połączyć się z nią, ale nie z jej ciałem, w jej ciele, tylko poprzez jej ciało. Słowem, byłem zgłodniały jej ciała, lecz zaspokojenie owego głodu nie zależało ode mnie, tylko od niej, od jej przyzwolenia, które wybiegłoby naprzeciw mojemu głodu. I czułem, że ona odmówi mi tego przyzwolenia, chociaż, na skutek ułudy wzrokowej, naga zdawała mi się oddawać bez reszty. Nie mogłem wpatrywać się bez końca w tę zakazaną nagość, postąpiłem więc krok naprzód i przerwałem panującą dokoła ciszę mówiąc głośno: - Emilio.

Poderwała się gwałtownie, najpierw zrzucając kapelusz, a potem chwytając odruchowo halczkę, jak gdyby chciała się przykryć; potem usiadła i obejrzała się za siebie.

Gdy dodałem: - To ja, Riccardo - i w końcu mnie zobaczyła, odrzuciła halkę na kamienie i cała obróciła się w moją stronę. „A więc, pomyślałem, bała się przede wszystkim, że przyszedł obcy mężczyzna, ale gdy mnie zobaczyła, uznała, że nie warto się zasłaniać, jak przed kimś, kto w ogóle nie istnieje”. Przytaczam tę myśl w gruncie rzeczy niedorzeczną, by przedstawić z całą precyzją, w jakim stanie ducha znajdowałem się w tym momencie. Nie przeszło mi przez myśl, że ona nie zasłania się dlatego, że nie jestem kimś obcym, ale jej mężem. Byłem przekonany, że nie istnieję już dla niej, przynajmniej jako mężczyzna, i potwierdził mi to jej odruch. Powiedziałem stłumionym głosem: - Przyglądam ci się już co najmniej od pięciu minut... Czy wiesz, że wydało mi się, iż widzę cię

po raz pierwszy?

Nic nie odpowiedziała, tylko przysunęła się bliżej, by mnie lepiej widzieć, i zarazem ruchem obojętnej ciekawości poprawiła na nosie ciemne okulary. - Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym tu z tobą został, czy może wolisz, żebym sobie poszedł?

Zobaczyłem, że patrzy na mnie, a potem spokojnie kładzie się na słońcu, mówiąc:

-

Możesz zostać, jeżeli chcesz... tylko nie zasłaniaj mi słońca.

Rzeczywiście nie istniałem dla niej: traktowała mnie jak martwy przedmiot, którego cień może odgrodzić promienie słoneczne od jej nagiego ciała, tego ciała, które powinno było przecież odczuwać powiązanie z moim ciałem i okazać to w jakiś sposób, choćby nawet odruchem wstydu czy lęku. Owa obojętność napełniła mnie bolesnym zmieszaniem; poczułem suchość w gardle i wiedziałem, że zmienia się wyraz mojej twarzy, na której musiała malować się niepewność, a zarazem sztuczne, wymuszone ożywienie. - Przyjemnie tu jest - powiedziałem - ja też posiedzę trochę na słońcu. - I usiadłem niedaleko niej, opierając się plecami o jedną ze skał.

Zapanowało długie milczenie. Zalewały mnie fale złotego światła, rozkosznie ciepłe i oślepiające, przymrużyłem więc oczy z uczuciem błogości i spokoju. Lecz nie umiałem udawać sam przed sobą, że siedzę tam dla tego słońca, i wiedziałem, że nigdy nie będę mógł rozkoszować się nim w całej pełni, jeśli Emilia nie będzie mnie kochała.

Powiedziałem, jak gdyby głośno wypowiadając swoje myśli: -
To miejsce wydaje się stworzone dla ludzi, którzy się kochają.

- Właśnie - zabrzmiała jej odpowiedź spod słomkowego
kapelusza, którym miała przykrytą twarz.

- Nie dla nas, bo nasza miłość się skończyła.

Tym razem nic nie odpowiedziała. A ja nie odrywałem od niej
wzroku, czując, że znowu wraca owo pożądanie, które ogarnęło mnie
przed chwilą, gdy zobaczyłem wychodząc spoza skały jej nagie ciało.

Wielkie namiętności mają to do siebie, że pchają nas do czynu
spontanicznie, bez udziału naszej woli, prawie nieświadomie. Nagle
sam nie wiedząc, jak się to stało, nie siedziałem już oparty o skałę,
lecz klęczałem przy śpiącej, nieruchomej Emilii, pochylony nad nią, z
twarzą przy jej twarzy. Sam nie wiem, kiedy zdjąłem jej kapelusz i
przed pocałunkiem patrzałem na jej usta, tak jak patrzy się czasem na
owoc, zanim zatopi się w nim zęby. Miała usta duże o wypukłych
wargach, na których szminka była wyschnięta i spękana, jak gdyby
wypaliło ją nie słońce, ale jakiś ogień wewnętrzny. Pomyślałem, że te
usta nie całowały mnie już od tak dawna, i że smak pocałunku, który
ona da mi pół we śnie, pół na jawie, będzie upajający niczym stare,
mocne wino. Myślę, że co najmniej przez minutę wpatrywałem się w
jej usta, a potem powoli, powoli przysunąłem usta do jej ust. Lecz nie
pocałowałem jej od razu: trwałem tak przez chwilę w bezruchu, nie
dotykając jeszcze jej warg.

Czułem jej lekki i spokojny oddech, wydawało mi się też, że
czuję ciepło jej rozpalonych ust.

Wiedziałem, że podobnie jak pod nagrzaną glebą zachowuje się czasem zmarznięty śnieg, tak samo pod tymi wargami kryje się odświeżająca wilgoć śliny, równie zdumiewająca jak tamten śnieg i równie szybko gasząca pragnienie. Gdy napawałem się tą myślą, usta moje spotkały się naprawdę z ustami Emilii. Dotknięcie moich warg nie obudziło jej ani nie spłoszyło.

Przyciskałem usta lekko, a potem coraz mocniej, w końcu widząc, że nadal leży bez ruchu, wpiłem się w jej wargi. Poczułem wtedy, że tak jak tego pragnąłem, otwiera usta powoli, jak muszla, której brzegi rozchylają się pod naciskiem jakiegoś morskiego żyjątko. Jej usta otwierały się, otwierały, odsłaniając zęby i dziąsła; w tej samej chwili poczułem, że zarzuca mi ramię na szyję...

Drgnąłem gwałtownie i wróciłem do przytomności: zdrzemnąłem się widocznie na skutek upału i panującej dokoła ciszy. Przede mną jak przedtem leżała na kamieniach Emilia: jej twarz była zakryta słomkowym kapeluszem. Zrozumiałem, że śnił mi się pocałunek, a raczej że przeżyłem go w tym stanie półprzytomnej tęsknoty, która podsunęła mi zjawę bardziej przychylną od nieznośnej rzeczywistości. Pocałowałem ją i ona oddała mi pocałunek; lecz ta całująca się para to były dwie zjawy, wywołane pożądaniem i kompletnie oderwane od naszych nieruchomych, oddalonych od siebie postaci. Popatrzyłem na Emilię i nagle pomyślałem sobie: „A gdybym teraz naprawdę spróbował ją pocałować?” - I natychmiast przyszła odpowiedź: „Nie zrobisz tego... paraliżuje cię nieśmiałość i świadomość, że ona tobą pogardza”. - Nagle powiedziałem głośno: -

Emilio!

- Co?

- Zasnąłem i śniło mi się, że cię całuję.

Nic nie odpowiedziała. Przerażony tym milczeniem chciałem zmienić temat i powiedziałem bez zastanowienia: - A gdzie jest Battista?

Odrzekła spokojnym głosem spod kapelusza: - Nie wiem... mówił, że nie będzie dziś z nami na obiedzie... zje obiad nad morzem z Rheingoldem.

Zanim zdążyłem zdać sobie sprawę z tego, co mówię, zawołałem: - Emilio, widziałem wczoraj wieczorem, jak Battista całował cię w salonie.

- Wiem, że mnie widziałeś... ja cię też widziałam. - Jej głos był całkiem normalny, trochę tylko przytłumiony, bo dochodził spod kapelusza.

Byłem więcej niż zaskoczony sposobem, w jaki przyjęła moje słowa, a częściowo i sposobem, w jaki zawiadomiłem ją o tym. Pomyślałem, że najwidoczniej żar słoneczny i morska cisza przytępiły naszą wrażliwość, rozpraszały nasz konflikt w jakimś przyływie bezsilności i zubożenia. Pomimo to dodałem z wysiłkiem: - Emilio, musimy ze sobą pomówić.

- Teraz nie... chcę poleżeć i poopalać się w spokoju.

- W takim razie po południu.

- Dobrze... po południu.

Wstałem i nie oglądając się za siebie, poszedłem prowadzącą do

willi ścieżką.

ROZDZIAŁ XIX

Podczas obiadu prawie nie rozmawialiśmy z sobą. Milczenie zdawało się przenikać do willi wraz z silnym południowym słońcem; morze i niebo, wypełniające duże okna, oślepiały nas i oddalały od siebie; odnosiłem wrażenie, że obydwójce siedzimy na dnie morza, a ten otaczający nas zewsząd błękit to morska woda, której płynne, przezroczyste odmęty nie pozwalają nam ani mówić, ani zbliżyć się do siebie. A poza tym byłem małomówny dlatego, że postawiłem sobie niemal za punkt honoru nie przyśpieszać decydującej rozmowy z Emilią, którą zresztą sam wyznaczyłem na popołudnie. Można by pomyśleć, że dwie siedzące naprzeciw siebie osoby, które mają tak ważny problem do rozstrzygnięcia, nie myślą o niczym innym. A tymczasem wcale tak nie było, a przynajmniej jeśli szło o nas: nie myślałem bynajmniej o pocałunku Battisty ani o naszych stosunkach, i pewien jestem, że Emilia też o tym nie myślała. W pewnym sensie wszystko pozostawało w zawieszeniu na skutek owego zubożenia, które jeszcze dziś rano na plaży kazało mi odłożyć wyjaśnienia na później.

Po obiedzie Emilia wstała od stołu, powiedziała, że idzie odpocząć, i wyszła z pokoju.

Gdy zostałem sam, długo siedziałem bez ruchu patrząc przez okno na czystą, jasną linię horyzontu, tam gdzie twardy granat morza łączył się z głębokim lazurem nieba.

Mały czarny stateczek posuwał się po tej linii jak mucha na

rozciągniętej w poprzek nitce.

Nie spuszczałem go z oka, snując, sam nie wiem czemu, nedorzeczne myśli o tym, co dzieje się w tej chwili na pokładzie tego statku. Wyobrażałem sobie marynarzy czyszczących mosiężne części i szorujących pokład, kucharza zmywającego talerze w kuchni, oficerów siedzących jeszcze zapewne przy stole, a na dole, w kotłowni, półnagich maszynistów, wrzucających do pieców szufle węgla. Był to mały statek, a z odległości, z jakiej na niego patrzyłem, wyglądał jak czarny punkcik; potem, odwracając sytuację, pomyślałem sobie, że tamci ludzie, spoglądający ze statku na brzegi Capri, dostrzegają może biały punkcik zagubiony wśród skał i nic o tym nie wiedzą, że ten biały punkcik to willa, gdzie zamieszkałem razem z Emilią, która mną pogardza, a ja nie wiem, jak odzyskać jej szacunek i miłość...

Czułem, że zaczynam drzemać, otrząsnąłem się więc energicznie i postanowiłem nie zwlekając przeprowadzić pierwszą część mojego planu: iść do Rheingolda i powiedzieć mu, że zdecydowałem po namyśle wycofać się ze współpracy nad scenariuszem Odysei.

Powzięcie tej decyzji podziałało na mnie jak kubek zimnej wody. Oprzytomniałem w jednej chwili, wstałem z krzesła i wyszedłem z domu.

Przeszedłem szybkim krokiem drogę obiegającą dokoła wyspę i w niecałe pół godziny byłem już w hotelu. Kazałem zawiadomić o moim przybyciu Rheingolda i usiadłem na fotelu w hallu. Miałem takie wrażenie, jak gdyby nagle rozjaśniło mi się w głowie, choć

wiedziałem, że wynika to z rozgorączkowania i podniecenia. Mimo to ulga i radość, jaką odczuwałem na myśl o tym, co zamierzam zrobić, mówiły mi, że wszedłem wreszcie na właściwą drogę. Po kilku minutach zjawił się w hallu Rheingold i wyszedł na moje spotkanie z nachmurzoną i zdziwioną miną. Był wyraźnie zdumiony moją wizytą o tej porze i domyślał się zapewne, że nie przynoszę miłych wiadomości. Zapytałem go przez grzeczność:

- Może pan spał... i obudziłem pana.

- Nie, nie - zapewnił - nie spałem, nigdy nie sypiam po obiedzie... proszę bardzo, przejdźmy do baru.

Poszedłem za nim do baru, w którym o tej porze nie było nikogo. Rheingold, jak gdyby przeczuwając dyskusję i pragnąc ją opóźnić, zapytał, czybym się czegoś nie napił: kawy, likieru. Robił te propozycje ponuro i powściągliwie, jak skąpiec zmuszony wbrew woli do okazania gościnności. Lecz rozumiałem doskonale, że należy sobie tłumaczyć inaczej jego zachowanie: wolałby, bym w ogóle nie przyszedł. Toteż odmówiłem i po kilku banalnych zdaniach grzecznościowych przeszedłem do sedna sprawy: - Może pana to dziwi, że zjawiam się tak prędko... Miałem jeszcze cały dzień do namysłu, ale wydawało mi się niewłaściwe czekać do jutra, wystarczająco długo o tym myślałem... i przyszedłem zakomunikować panu moją decyzję.

- Jakaż to decyzja?

- Że nie mogę współpracować nad tym scenariuszem... słowem, że rezygnuję z tej pracy.

Moje oświadczenie nie zdziwiło Rheingolda: widocznie był na nie przygotowany.

Ale zauważyłem od razu, że bardzo go to zdenerwowało. Odpowiedział z miejsca, zmienionym głosem: - Musimy pomówić ze sobą jasno, panie Molteni.

- Wydaje mi się, że trudno stawiać sprawę jaśniej: nie będę robił scenariusza do Odysei.

- A czy można wiedzieć, dlaczego?

- Dlatego, że nie zgadzam się z pańską interpretacją.

- A więc - odrzekł całkiem nieoczekiwanie - pan się zgadza z Battistą.

Sam nie wiem czemu, ale to niespodziewane oskarżenie z kolei mnie zirytowało.

Nawet mi na myśl nie przyszło, że skoro nie zgadzam się z Rheingoldem, to tym samym zgadzam się z Battistą. Odpowiedziałem zniecierpliwiony: - A cóż ma z tym wspólnego Battista? Nie zgadzam się także i z Battistą, lecz powiem panu szczerze, panie Rheingold, że gdybym miał wybierać między wami dwoma, to wybrałbym Battistę... Przykro mi bardzo, lecz jestem zdania, że albo robi się Odyseję Homera, albo w ogóle się jej nie tyka.

- Maskaradę w technikolorze, z nagimi kobietami, King-Kongiem, tańcem brzucha, biustonozami, potworami z kartonu i tak dalej.

- Nie powiedziałem tego, powiedziałem Odyseję Homera.

- Ależ Odyseja Homera to jest właśnie moja Odyseja! - rzekł z

głębokim przekonaniem Rheingold, pochylając się do przodu - moja, panie Molteni.

Sam nie wiem dlaczego, przyszła mi nagle ochota, żeby obrazić Rheingolda: jego sztuczny, ceremonialny uśmiech, jego twardy, apodyktyczny ton, jego psychoanalityczna mania były dla mnie w tej chwili nie do zniesienia. Powiedziałem z gniewem: -

Nie, Odyseja Homera to nie jest pańska Odyseja... a ponieważ zmusza mnie pan do odpowiedzi, to powiem panu więcej: Odyseja Homera porywa mnie, a pańska napawa wstrętem.

- Panie Molteni! - tym razem Rheingold był szczerze oburzony.

- Tak, napawa mnie wstrętem - ciągnąłem dalej, dając się porwać uniesieniu - ta pańska chęć, żeby zbezcześcić homeryckiego bohatera, ponieważ nie umiemy go odtworzyć, tak jak przedstawił go Homer, ta akcja systematycznego oczerniania go budzi we mnie wstręt i za żadną cenę nie wezmę w tym udziału.

- Panie Molteni... chwileczkę, panie Molteni.

- Czytał pan Ulissesa Joyce'a - przerwałem mu z wściekłością. -
Wie pan, kto to jest Joyce?

- Czytałem wszystko, co dotyczy Odysei - odrzekł Rheingold głęboko obrażonym tonem - ale pan...

- A więc - ciągnąłem dalej z gniewem - Joyce także zinterpretował Odyseję na sposób współczesny... i w tej modernizacji, czyli zapaskudzeniu, okaleczeniu i profanacji dzieła, posunął się jeszcze o wiele dalej niż pan, drogi panie Rheingold...

Zrobił z Ulissesa rogakza, onanistę, nicponia, fircyka, cymbała; z

Penelopy zasłużoną kurwę... Eol stał się redakcją dziennika, zejście do Hadesu pogrzebem hulaki, historia z Circe wizytą w burdelu, a powrót do Itaki nocnym powrotem do domu przez ulice Dublina, z króciutkim postojem dla wysiusiania się w rynsztoku... ale Joyce miał przynajmniej ten umiar, że zostawił w spokoju kraje śródziemnomorskie, morze, słońce, niebo, niezbadane ziemie starożytności...

Umiejszczył całą akcję na zabłoconych ulicach północnego miasta, w knajpach, w burdelach, w sypialniach, w kloakach. Żadnego słońca, żadnego morza, żadnego nieba, wszystko nowoczesne, to znaczy zbrukane, zbezczeszczone, dostosowane do naszych mizernych wymiarów... Pan natomiast nie ma tego umiaru Joyce'a... więc powtarzam panu, że z dwojga złego wolę Battistę z jego papierowymi dekoracjami... tak, wolę Battistę. Chciał pan wiedzieć, dlaczego nie chcę robić scenariusza... teraz pan już wie.

Gwałtownie rozparłem się w fotelu, cały zlany potem. Rheingold spoglądał na mnie teraz twardo, poważnie, groźnie marszcząc brwi: - Jednym słowem, zgadza się pan z Battistą.

- Powiedziałem już, że nie, ale przede wszystkim nie zgadzam się z panem.

- A jednak - rzekł Rheingold podnosząc głos - pan nie tyle nie zgadza się ze mną, ile zgadza się z Battistą.

Poczułem nagle, że krew ucieka mi z policzków, musiałem śmiertelnie zblednąć: - Co to ma znaczyć? - zapytałem wzburzonym głosem.

Rheingold pochylił się ku mnie i syknął jak wąż, któremu grozi niebezpieczeństwo: - Znaczy to, co powiedziałem... Battista był dzisiaj u mnie na obiedzie i nie krył się przede mną ze swoimi poglądami... i faktem jest, że pan je podziela. Pan nie jest w niezgodzie ze mną, panie Molteni, pan jest w zgodzie z Battistą, bez względu na to, czego by on chciał... Sztuka nic pana nie obchodzi, obchodzi pana tylko to, by dostać pieniądze. Oto jak wygląda prawda, panie Molteni... pan chce dostać pieniądze za wszelką cenę!

- Panie Rheingold! - krzyknąłem głośno.

- Zrozumiałem to, drogi panie - rzekł z naciskiem - i powtarzam to panu prosto w oczy: za wszelką cenę.

Siedzieliśmy teraz naprzeciwko siebie rozwścieczeni, ja błądy jak papier, on purpurowy. - Panie Rheingold! - powtórzyłem równie donośnym głosem; lecz uświadomiłem sobie, że teraz głos mój nie brzmi wzgardliwie, ale rozpaczliwie boleśnie i że ten krzyk „panie Rheingold” jest raczej błaganiem niż furią obrażonego człowieka, który od słów gotów jest przejść do czynu. A zarazem zdawałem sobie sprawę, że lada moment wymierzę reżyserowi policzek. Nie zdążyłem tego zrobić, bo oto stała się rzecz dziwna: Rheingold, którego podejrzewałem o gruboskórność, musiał wyczuć ową nutę cierpienia w moim głosie, bo nagle opanował się i złagodniał. Odsunął się nieco do tyłu i powiedział cicho, pokornie: - Proszę mi wybaczyć, panie Molteni, to, co powiedziałem przed chwilą... wcale tak nie myślę.

Drgnąłem gwałtownie, jak gdybym chciał powiedzieć „wybaczam panu”, i poczułem zaraz, że oczy napełniają mi się łzami.

Po chwili kłopotliwego milczenia Rheingold znowu zabrał głos: - Dobrze, a więc wszystko jest uzgodnione... nie będzie pan ze mną współpracował.

Czy uprzedził pan już Battistę?

- Nie.

- Czy chce pan to zrobić osobiście?

- Niech pan go o tym powiadomi... nie przypuszczam, żebym się jeszcze zobaczył z Battistą.

Zamilkłem na chwilę, a potem dorzuciłem: - I niech mu pan powie, żeby poszukał innego scenarzysty... żeby wszystko było jasne.

- Co takiego? - zapytał zdziwiony.

- To, że w ogóle nie będę robił żadnego scenariusza z Odysei ani według pańskiej interpretacji, ani według interpretacji Battisty... ani z panem, ani z innym reżyserem... rozumie pan?

Zrozumiał w końcu i widziałem, że moje słowa trafiły mu do przekonania. Jednakże zapytał ostrożnie: - Jednym słowem, nie chce pan robić mojego scenariusza czy też w ogóle nie chce pan robić tego scenariusza?

Odpowiedziałem po chwili namysłu: - Powiedziałem już panu... nie chcę robić pańskiego scenariusza... Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że motywując w ten sposób moją odmowę, mogę panu zaszkodzić w oczach Battisty... wobec tego zrobimy tak: panu mówię otwarcie, że nie chcę robić pańskiego scenariusza, natomiast jeśli idzie o Battistę, to mu pan powie, że jakkolwiek wyglądałaby interpretacja Odysei, nie chcę robić tego scenariusza. Może mu pan powiedzieć, że

nie czuję się na siłach, że jestem przemęczony, nerwowo wyczerpany... no co, dobrze tak będzie?

Moja propozycja wyraźnie podniosła na duchu Rheingolda. Lecz zapytał jeszcze z naciskiem: - A czy Battista w to uwierzy?

- Uwierzy, może pan być spokojny... zobaczy pan, że uwierzy.

Zaległo dłuższe milczenie. Obydwaj byliśmy jeszcze zmieszani, padły między nami tak ostre słowa, że trudno było od razu wymazać je z pamięci. W końcu Rheingold powiedział: - A jednak bardzo mi przykro, że odmawia pan swojej współpracy przy tym scenariuszu, panie Molteni... może mimo wszystko można było dojść do porozumienia.

- Nie wydaje mi się.

- Może różnice nie były znowu takie duże.

Odrzekłem stanowczo, całkiem już uspokojony: - Nie, panie Rheingold, były olbrzymie. Być może ma pan słuszność, patrząc pod tym kątem na Odyseję... ale ja jestem przekonany, że nawet dzisiaj Odyseja może być przedstawiona tak, jak ją napisał Homer.

- To są marzenia, panie Molteni... pan marzy o świecie podobnym do świata Homera... pragnąłby pan, żeby istniał... ale nie istnieje, niestety.

Powiedziałem ugodowo: - Dobrze, założmy, że ja marzę o takim świecie... pan nie.

- Oczywiście, że i ja, panie Molteni... Kto by o tym nie marzył? Lecz kiedy idzie o zrobienie filmu, nie wystarczają marzenia.

Znowu zaległo milczenie. Patrzałem na Rheingolda i widziałem,

że chociaż mnie rozumie, nie jest jeszcze całkiem przekonany. Nagle zapytałem go: - Czy zna pan pieśń Dantego o Ulissesie?

- Tak - odrzekł, trochę zaskoczony tym pytaniem - znam, ale w tej chwili nie bardzo ją sobie przypominam.

- Pozwoli pan, że ją panu zadeklamuję... znam ją na pamięć.

- Jeśli ma pan ochotę...

Sam nie bardzo wiedziałem, dlaczego chcę zadeklamować ten fragment z Dantego; może dlatego że, jak uświadomiłem sobie dopiero później, uważałem to za najlepszy sposób powtórzenia Rheingoldowi pewnych rzeczy, bez ryzyka, że znowu go obrażę.

Rheingold rozparł się w fotelu przybierając wyraz cierpliwego pobłażania, a ja dorzuciłem:

- W tej pieśni Dante każe opowiedzieć Ulissesowi, jaki był koniec jego towarzyszy.

- Wiem, panie Molteni, wiem, niech pan recytuje.

Skupiłem się na chwilę, patrząc w ziemię, po czym zacząłem deklamować: „Tedy róg wyższy starego płomienia”... Starłem się mówić normalnym głosem i w miarę możliwości jak najprościej. Rheingold spoglądał na mnie przez chwilę spod namarszczonych brwi, a potem odwrócił się w stronę okna i bez ruchu wpatrywał się w morze. Deklamowałem powoli i wyraźnie; ale począwszy od zwrotki: „O bracia, wśród hazardów tyła”... - poczułem, że głos zaczyna mi drżeć ze wzruszenia. Pomyślałem sobie, że w tych kilku liniijkach zawarte jest nie tylko moje pojęcie o Ulissesie, ale także pojęcie, jakie miałem o sobie i o moim życiu, które powinno być właśnie takie, a

niestety takie nie było; i rozumiałem, że owo wzruszenie wypływa z porównania piękna i prostoty tej idei z moją bezsilnością. Udało mi się jednak opanować drzenie głosu i bez jednego zacięcia dojechać do ostatniej strofy: „Toń się nad nami wieczyście zawarła ”*. - Gdy skończyłem, wstałem natychmiast. Rheingold także wstał z fotela.

- Przepraszam pana - powiedział szybko - chwileczkę... Dlaczego zadeklamował mi pan ten urywek z Dantego? Z jakiego powodu? Niewątpliwie, to jest bardzo piękne... ale dlaczego?

- To, proszę pana - powiedziałem - to jest Ulisses, jakiego chciałbym pokazać... tak widzę Ulissesa... przed rozstaniem się z panem chciałem to wyłożyć w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości... Wydawało mi się, że lepiej będzie to zrobić nie własnymi słowami, ale słowami Dantego.

- Oczywiście, że lepiej... ale Dante, to Dante... to człowiek średniowieczny... a pan, panie Molteni, jest człowiekiem nowożytnym.

Tym razem nic nie odpowiedziałem i podałem mu rękę. Zrozumiał i dodał: - Pomimo wszystko bardzo mi przykro, panie Molteni, że nie będzie pan ze mną współpracował... zdążyłem już do pana przywyknąć.

- Poczekamy na inną okazję - odrzekłem - mnie również byłoby miło pracować z panem.

- No więc w takim razie, dlaczego? Dlaczego, panie Molteni?

- Przeznaczenie - odpowiedziałem z uśmiechem, ściskając mu dłoń. Odszedłem.

On został przy barze i szeroko rozłożył ręce, jak gdyby powtarzał: - Dlaczego?

Szybko wyszedłem z hotelu.

ROZDZIAŁ XX

Wracałem do domu z takim samym pośpiechem, z jakim przed dwoma godzinami szedłem do Rheingolda; byłem zniecierpliwiony i pełen wojowniczej egzaltacji, która nie pozwalała mi przemyśleć spokojnie tego, co się stało. A nawet, idąc szybkim krokiem po rozpalonym w słońcu pasemku asfaltu, w ogóle o niczym nie myślałem. Wiedziałem tylko tyle, że przerwał owo aż nazbyt długo przewlekające się bierne oczekiwanie, które w tej sytuacji stało się nie do zniesienia; poza tym zdawałem sobie sprawę, że za chwilę dowiem się nareszcie, dlaczego Emilia przestała mnie kochać; i to było wszystko. Gdy człowiek zdobywa się na czyn, przestaje się zastanawiać: wszelkie refleksje przychodzą przedtem i potem i one właśnie, przekształcone w namiętności, stają się motorem działania.

Byłem w pełni akcji i dlatego nie myślałem. Wiedziałem, że przemyślę resztę później.

Doszedłem do willi, wbiegłem na schody prowadzące na taras i wszedłem do salonu.

Był pusty, lecz gdy zobaczyłem rozłożone na fotelu ilustrowane pisma, na popielniczce kilka niedopałków zabarwionych szminką oraz otwarte radio, z którego dobiegała cicho muzyka taneczna, domyśliłem się, że Emilia musiała tu być jeszcze przed chwilą. I nagle, może pod wpływem miłego, kojącego wzrok oświetlenia czy tej dyskretnej muzyki, poczułem, że opuszcza mnie gniew, choć nadal jasno uświadamiałem sobie przyczyny, które go wywołały.

Uderzyła mnie przede wszystkim ciepła, przytulna, zaciszna atmosfera tego salonu. Miałem takie wrażenie, jak gdybyśmy od miesięcy mieszkali w tej willi i Emilia uważała ją już za swój dom. To grające radio, te rozłożone pisma, te niedopałki papierosów przypomniały mi, sam nie wiem czemu, dawną pasję Emilii dla domu, jej zachłanne, instynktowne, kobiece dążenie do posiadania własnego ogniska domowego. Rozumiałem, że pomimo tego, co się stało, ona rozgościła się już tutaj na dobre i w gruncie rzeczy była zadowolona z tego pobytu na Capri w domu Battisty. A ja przyszedłem teraz, by zawiadomić ją o wyjeździe.

Zamyślony poszedłem do drzwi pokoju Emilii i otworzyłem je. Emilii nie było, ale i tutaj wszystko wskazywało na to, że zdążyła się już zadomowić w willi: starannie złożony szlafrok leżał na ustawionym przy łóżku fotelu, obok na podłodze stały ranne pantofle; na lustrzanej toalecie ustawione były równiutko różne flakoniki, słoiczki i kosmetyki; na komodzie leżała angielska gramatyka, której Emilia od niedawna się uczyła, zeszyt i ołówki; ani śladu walizek, które przywiozła z Rzymu. Instynktownym ruchem otworzyłem szafę, wisiało tam na wieszakach kilka sukienek Emilii; na półkach leżały chustki, mniejsze i większe, bielizna, paski, wstążki, pantofle. Tak, pomyślałem sobie, Emilii nie zależało ani na mnie, ani na Battiście, tylko na posiadaniu własnego domu, w którym mogłaby na dobre zapuścić korzenie i żyć spokojnie i beztrąsko.

Wyszedłem z pokoju i wąskim korytarzem poszedłem do kuchni, która mieściła się w małym pawilonie na tyłach willi.

Dochodząc tam usłyszałem głos rozmawiającej z kucharką Emilią. Odruchowo zatrzymałem się przed otwartymi drzwiami, przysłuchując się temu, co mówiła.

Jak się okazało, wydawała kucharce polecenia dotyczące kolacji.
- Pan Riccardo - mówiła - lubi proste potrawy, bez sosów, bez przypraw, jednym słowem mięso pieczone albo gotowane... dla ciebie to nawet lepiej, będziesz miała mniej do roboty, Agnesino.

- Ech, proszę pani, roboty nigdy nie brak... prosta kuchnia także nie jest wcale taka prosta... no więc co zrobimy dziś na kolację?

Nastąpiła chwila ciszy. Emilia namyślała się widocznie. Potem zapytała kucharki:

-

Czy o tej porze można jeszcze dostać rybę?

- Jeżeli pójdę do rybaka, który dostawia towar do hoteli, to dostanę.

- To kup dużą, ładną rybę... kilową albo nawet większą... tylko dobrą i żeby nie miała dużo ości... kup najlepszą, jaką można dostać, i usmażysz ją... albo nie, ugotujesz... Czy umiesz robić majonez, Agnesino?

- Umiem.

- Dobrze, wobec tego zrobimy gotowaną rybę na zimno z majonezem. Potem sałatę... albo przygotujesz jakieś jarzyny... karotkę czy zieloną fasolkę, co znajdziesz. Na deser owoce, dużo owoców... I jak tylko wrócisz, włóż zaraz owoce do lodówki, żeby były zimne, jak się je poda do stołu.

- A na pierwsze co zrobimy?

- Prawda, na pierwsze... wiem, po prostu kupisz trochę szynki, ale gotowanej, nie tej surowej, wędzonej... i poda się ją z figami... są figi?

- Tak, są.

Nie wiem czemu, ale gdy słuchałem tej rozmowy na tematy gospodarskie, tak spokojnej, zapobiegliwej, przypomniały mi się nagle ostatnie słowa, jakie zamieniłem z Rheingoldem: powiedział, że marzę o świecie podobnym do Odysei, i ja przyznałem mu rację. Wtedy on odrzekł, że moje marzenia nie mogą być spełnione: świat dzisiejszy, to nie świat Odysei. Teraz więc pomyślałem: „Oto sytuacja, jaka mogłaby mieć miejsce i tysiące lat temu, za czasów Homera... pani rozmawia ze służącą, wydając jej dyspozycje na wieczerzę”.

Na tę myśl przypominałem sobie owo pogodne, miłe dla oka światło, wypełniające o tej porze dnia salon, i wydało mi się przez moment, że dom Battisty jest domem w Itace, a Emilia to Penelopa, która rozmawia ze służbą. Tak, miałem rację, wszystko wyglądało tak, jak mogło wyglądać wówczas, chociaż tak odmienna była gorzka rzeczywistość. Stałem na progu kuchni i powiedziałem z wysiłkiem:

- Emilio.

Odwróciła się od niechcienia i zapytała: - Czego chcesz?

- Wiesz przecież... chciałem z tobą pomówić.

- Poczekaj na mnie w salonie... mam jeszcze coś do załatwienia z Agnesiną... zaraz przyjdę.

Wróciłem do salonu, usiadłem w fotelu i czekałem na Emilię. Z góry już żałowałem tego, co mam za chwilę zrobić: wszystko wskazywało na to, że Emilia przygotowuje się do dłuższego pobytu w tej willi, i oto dowie się za chwilę, że wyjeżdżamy.

Przypomniałem sobie, że jeszcze bardzo niedawno była zdecydowana mnie porzucić i porównując jej uprzednią rozpacz z obecnym spokojem i opanowaniem, pomyślałem sobie, że postanowiła mimo wszystko przy mnie pozostać, nawet jeśli mną pogardzała. Słowem wtedy buntowała się jeszcze przeciwko tej sytuacji trudnej do zniesienia, teraz natomiast już się z nią pogodziła. Lecz owo pogodzenie się z sytuacją było dla mnie o wiele bardziej obraźliwe od wszelkich przejawów buntu; wskazywało na to, że ona załamała się, stoczyła na dno, jak gdyby pogardzała nie tylko mną, ale i sobą. Wystarczyła ta myśl, bym w jednej chwili przestał żałować, że sprawię jej zawód wiadomością o wyjeździe. Tak, ten wyjazd był konieczny dla naszego wspólnego dobra.

Czekałem jeszcze kilka minut, w końcu Emilia przyszła, wyłączyła radio i usiadła. - Powiedziałeś, że chcesz ze mną mówić.

Zapytałem z miejsca: - Czy rozpakowałaś już walizki?

- Tak, a dlaczego?

- Bardzo mi przykro - odrzekłem - ale będziesz musiała z powrotem je spakować... jutro rano wracamy do Rzymu.

Siedziała przez chwilę bez ruchu, niepewna, jak gdyby nie zrozumiała, o co chodzi.

Potem zapytała cierpko: - Co się znowu stało?

- Stało się to - odrzekłem wstając z fotela i zamykając drzwi wychodzące na korytarz - że postanowiłem nie robić scenariusza. Zrywam kontrakt i wracamy do Rzymu.

Wyglądało na to, że jest zrozpaczona tą nieoczekiwaną wiadomością. Zapytała marszcząc brwi: - A co cię skłoniło do tego, żeby odrzucić ten scenariusz?

Odpowiedziałem sucho: - Dziwię się, że pytasz mnie o to... wydaje mi się, że po tym, co widziałem wczoraj przez okno, nie mogę postąpić inaczej.

Sprzeciwiła się chłodno: - Wczoraj wieczorem byłeś innego zdania... a to było już po tym, coś zobaczył.

- Wczoraj wieczorem usłuchałem twojej rady... Ale potem zrozumiałem, że nie wolno mi się liczyć z tym, co mówisz... Nie wiem, z jakiego powodu doradzałaś mi, żebym robił scenariusz, i nie chcę wiedzieć... wiem tylko tyle, że lepiej będzie i dla mnie, i dla ciebie, jeśli zrezygnuję z tej pracy.

- Battista wie o tym? - zapytała całkiem nieoczekiwanie.

- Nie wie - odrzekłem - ale wie Rheingold... Byłem teraz u niego i powiedziałem mu to.

- Nie mogłeś gorzej zrobić.

- Dlaczego?

- Dlatego - powiedziała niepewnym i podrażnionym tonem - że te pieniądze były nam potrzebne na spłatę rat za mieszkanie... Z drugiej strony sam nieraz mówiłeś, że zerwanie kontraktu jest równoznaczne z odcięciem sobie drogi do dalszej pracy, źle zrobiłeś,

nie powinieneś był tego robić.

Teraz ja się uniosłem: - Czy ty nie zdajesz sobie sprawy - krzyknąłem - czy nie zdajesz sobie sprawy, że nie mogę dłużej tolerować tej sytuacji, że nie mogę brać pieniędzy od człowieka, który uwodzi mi żonę?

Nic nie odpowiedziała, a ja mówiłem dalej: - Odrzucam scenariusz, bo byłoby poniżej mojej godności kontynuować pracę w tych warunkach... ale robię to także z uwagi na ciebie, po to, żebyś zmieniła swoją opinię o mnie... Nie wiem dlaczego, ale uważasz mnie za człowieka, który bez względu na okoliczności gotów jest przyjąć zyskowną pracę... Otóż mylisz się, ja nie jestem takim człowiekiem!

Zobaczyłem wrogi, pełen ironii błysk w jej oczach. Powiedziała: - Jeżeli to robisz dla siebie, to rób co chcesz, ale jeżeli ze względu na mnie, to jeszcze masz czas przetrwać swoją decyzję... Zrobiłbyś coś całkiem niepotrzebnego, zapewniam cię... coś, co mogłoby ci tylko zaszkodzić i tyle!

- Co to ma znaczyć?

- Że na nic by się to nie zdało.

Zimny pot oblał mi skronie, poczułem, że blednę: - Wytlumacz się.

- Ty mi wpierw wytłumacz, jakie wrażenie powinna na mnie zrobić twoja rezygnacja.

Zrozumiałem, że przyszedł moment ostatecznego wyjaśnienia. Zapropowała mi to ona sama. I nagle ogarnął mnie lęk. Pomimo to zdobyłem się na odpowiedź: - Powiedziałaś mi już dawniej, że mną

pogardzasz... tak powiedziałaś... Nie wiem, dlaczego mną pogardzasz... ale wiem, że pogardza się ludźmi, którzy dopuszczają się podłych czynów... Dzisiaj przyjęcie przeze mnie tego scenariusza byłoby podłością... i moja decyzja ma ci dowieść między innymi, że nie jestem taki, za jakiego mnie uważasz: to wszystko.

Odpowiedziała od razu triumfującym tonem, jak gdyby była uszczęśliwiona, że wreszcie wpadł w pułapkę: - A tymczasem twoja decyzja nic mi nie mówi... i dlatego radzę ci, żebyś ją cofnął.

- Jak to, nic ci nie mówi? - zawołałem, siadając w fotelu odruchem prawie bezwiednym, który był wyrazem przerażenia; wyciągnąłem rękę i oparłem ją na jej dłoni, spoczywającej na poręczy fotela: - Emilio, jak możesz...

Niegrzecznie wyrwała rękę: - Proszę cię, daj spokój... nie dotykaj mnie i przestańmy raz wreszcie o tym mówić. Nie kocham cię i już nigdy nie będę mogła cię kochać.

Cofnąłem rękę i powiedziałem obrażonym głosem: - Nie mówimy o naszej miłości... mówimy o... o twojej pogardzie... Czy jeżeli odrzucę scenariusz, w dalszym ciągu będziesz mną pogardzać?

Wstała nagle, jak gdyby nie mogła znieść dłużej mojego widoku:

- Tak... i daj mi święty spokój.

- Ale dlaczego mną pogardzasz?

- Dlatego - krzyknęła - że jesteś taki, jaki jesteś, i żebyś na głowie stawał, to się nie zmienisz!

- Ale jaki ja jestem?

- Taki, jaki jesteś, nie wiem, sam powinieneś wiedzieć... wiem

tylko, że nie jesteś mężczyzną, że nie zachowujesz się jak prawdziwy mężczyzna.

Uderzyła mnie raz jeszcze różnica między szczerością i jasnością uczuć a banalnymi, zdawkowymi słowami, jakimi je wyrażała. - Ale co to znaczy być mężczyzną? - zapytałem z gniewem, w którym była domieszka ironii. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że to nic nie znaczy?

- Daj spokój, wiesz doskonale, o co chodzi.

Stała teraz przy oknie i mówiła odwróciwszy się do mnie plecami. Chwyciłem się rękami za głowę z rozpacz i przez chwilę wpatrywałem się w Emilię. Odwróciła się ode mnie, jak gdyby chciała podkreślić w ten sposób, że definitywnie mnie odtrąca.

Nie chciała się tłumaczyć, a może, jak przyszło mi nagle na myśl, nie umiała. Musiała przecież istnieć jakaś przyczyna jej pogardy, ale może ona sama nie umiała sprecyzować jej dokładnie; wolała więc przypisywać swoją pogardę wrodzonej nicości i małostkowości mojego charakteru, bezprzyczynowej, a więc nie do naprawienia. Przypomniałem sobie nagle interpretację Rheingolda, dotyczącą stosunków Ulissea z Penelopą i w błyskawicznym olśnieniu zadałem sobie pytanie: „A jeżeli Emilii zdawało się w ostatnich miesiącach, że ja wiedziałem, iż Battista zaleca się do niej, i chciałem wyciągnąć z tego korzyści dla siebie, słowem, że zamiast temu przeciwdziałać, patrzałem łaskawym okiem na umizgi z jego strony?”

Gdym sformułował tę myśl, zabrakło mi tchu w piersi, bo

przypomniałem sobie zarazem kilka dwuznacznych epizodów, które mogły ją utwierdzić w tym podejrzeniu; na przykład moje spóźnienie tego wieczoru, który spędziliśmy po raz pierwszy w towarzystwie Battisty; wynikało ono ze zderzenia taksówki z innym samochodem, lecz ona mogła przypuszczać, że spóźniłem się umyślnie, by zostawić ją sam na sam z reżyserem. Jak gdyby na potwierdzenie owych myśli, Emilia powiedziała nagle, nie odwracając się od okna: - Mężczyzna, który jest mężczyzną, nie zachowałby się tak, jak na przykład ty wczoraj wieczorem po tym, coś widział... ty natomiast, potulnie jak baranek, przyszedłeś do mnie prosząc o radę, jak gdybyś w ogóle nic nie widział... przyszedłeś oczywiście w nadziei, że pomimo wszystko doradzę ci żebyś robił scenariusz... Dałam ci więc tę radę, na którą tylko czekałeś, i tyś ją przyjął...

Potem, dzisiaj, licho wie, co zaszło między tobą a tym Niemcem, więc przychodzisz do mnie i oświadczasz mi, że rezygnujesz z pracy ze względu na mnie, bo ja tobą pogardzam, więc chcesz się zrehabilitować w moich oczach. Ale ja cię znam aż za dobrze i domyślam się, żeś to nie ty zrezygnował, tylko tamten zmusił cię do rezygnacji... A zresztą na wszystko już za późno... wyrobiłam już sobie opinię o tobie i choćbyś odrzucił scenariusz za scenariuszem, to jej nie zmienię... I dlatego nie rób teraz tyle gwałtu... bierz ten scenariusz i daj mi wreszcie spokój.

Tak więc znowu sytuacja była taka sama jak na początku; pomyślałem: Emilia pogardzała mną, ale nie chciała powiedzieć, dlaczego. Myśl o tym, by samemu podsunąć jej przyczynę, napełniała

mnie wstrętem, zarówno dlatego, że ta przyczyna była odrażająca, jak i dlatego, że wysunięcie przeze mnie tego rodzaju przypuszczenia byłoby prawie równoznaczne z przyznaniem się do winy. Chciałem jednakże dotrzeć do sedna sprawy, a innego sposobu nie było. Powiedziałem, jak mogłem najspokojniej - Emilio, pogardzasz mną, ale nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego... może nie wiesz sama... ale ja mam prawo wiedzieć, żeby przekonać cię, że to nieprawda, że nie poczuwam się do winy... A teraz słuchaj: jeżeli sam ci powiem, jaka jest przyczyna twojej pogardy, przyrzeknij mi, że powiesz mi, czy to prawda, czy nie.

Stała w dalszym ciągu przy oknie, odwrócona do mnie plecami i w pierwszej chwili nic nie odpowiedziała. Potem zawołała zmęczonym, zrozpaczonym głosem: - Nic ci nie mogę przyrzec... ach, daj mi już spokój.

- Przyczyna jest następująca - powiedziałem powoli i dobitnie. - Opierając się na fałszywych przesłankach, uroiłaś sobie... że ja wiedziałem o Battiscie, ale dla interesu wolałem przymknąć oczy, a nawet próbowałem pchnąć cię w jego ramiona... czy tak?

Emilia nie poruszyła się z miejsca, a ja wpatrzony w nią czekałem na odpowiedź.

Na próżno, nie odezwała się ani słowem i w dalszym ciągu wyglądała przez okno.

Poczułem nagle, że czerwienię się po uszy, wstydząc się tego, co powiedziałem; i zrozumiałem, że stało się to, czego z góry się obawiałem: Emilia uznała moje słowa za dowód, że jej pogarda była

uzasadniona. Zrozpaczony, dorzuciłem szybko: - Ale jeśli tak myślałaś, Emilio, mogę ci przysiąc, że się mylisz... nic nie wiedziałem o Battiście do wczorajszego wieczora... możesz oczywiście wierzyć mi lub nie... lecz jeśli mi nie wierzysz, to znaczy, że chcesz mną pogardzać za wszelką cenę, chcesz upierać się przy swoich uprzedzeniach, chcesz nie dopuścić do tego, bym mógł zrehabilitować się w twoich oczach.

I tym razem nic nie odpowiedziała i wiedziałem już, że trafiłem w sedno. Być może ona naprawdę nie wiedziała, dlaczego mną pogardza, ale wolała o tym nie wiedzieć, i ot tak, bez powodu uważać mnie za podłego człowieka, bez względu na moje postępowanie.

Zrozumiałem także, że broniłem się bezskutecznie, niestety niewinność nie zawsze jest przekonywająca. Zrozpaczony, straciłem panowanie nad sobą i ogarnęło mnie nieprzewyciężone pragnienie, by zbliżyć się do niej, by poprzeć moje słowa jakimś gestem. Emilia w dalszym ciągu stała nieruchomo przy oknie, wstałem więc, podszedłem do niej i chwyciłem ją za ramię, mówiąc: - Emilio, dlaczego mnie tak nienawidzisz... dlaczego jesteś taka nieugięta... postaraj się mnie zrozumieć, choćby przez jedną chwilę!

Zobaczyłem, że odwraca twarz w drugą stronę, jak gdyby chciała ukryć ją przede mną. Ale pozwalała mi ścisnąć się za ramię i kiedy przytuliłem się do niej całym ciałem, nie odepchnęła mnie. Ośmielony tym, mocno objąłem ją w pasie. Wtedy obróciła ku mnie twarz, zalaną łzami. - Nigdy ci nie przebaczę! - krzyknęła. - Nigdy nie przebaczę ci tego, że zaprzepaścieś naszą miłość... ja cię tak

kochałam, nigdy nie kochałam nikogo, tylko ciebie... i nigdy nie pokocham innego... a ty zrujnowałeś wszystko przez twój charakter...

Moglibyśmy być tacy szczęśliwi... a teraz wszystko skończyło się raz na zawsze i nie ma już powrotu. Jak możesz żądać, żebym próbowała cię zrozumieć? Jak możesz żądać, żebym nie miała pretensji do ciebie?

Nagle ogarnęła mnie jakaś niezrozumiała nadzieja: ostatecznie powiedziała przecież, że mnie kochała, że nigdy nie kochała nikogo prócz mnie: - Słuchaj - powiedziałem próbując przyciągnąć ją do siebie. - Pójdiesz teraz zapakować walizki i wyjedziemy jutro rano... w Rzymie wszystko ci wytłumaczę... i przekonam cię, jestem tego pewien.

Tym razem wyrwała mi się prawie z wściekłością: - Ja stąd nie wyjadę! - krzyknęła - Co bym tam z sobą zrobiła? W Rzymie musiałabym się wyprowadzić z domu... a ponieważ u matki nie ma dla mnie miejsca, musiałabym się przeprowadzić do wynajętego pokoju i znowu być sekretarką... Nie, nie wyjadę... zostanę tutaj, potrzebuję spokoju, odpoczynku, zostaję... Ty sobie jedź, jeżeli chcesz... Battista powiedział mi, że mogę zostać tak długo, jak mi się podoba... zostanę tutaj.

Teraz ja z kolei wpadłem w furję: - Wyjedziesz ze mną jutro rano.

- Mylisz się, zostanę tutaj.

- Wobec tego i ja zostanę... i zrobię to, że Battista wyrzuci nas oboje.

- Nie, nie zrobisz tego.

- Owszem, zrobię.

Patrzała na mnie przez chwilę, po czym bez słowa wyszła z salonu. Drzwi w jej pokoju trzasnęły gwałtownie; potem usłyszałem zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

ROZDZIAŁ XXI

Tak więc związany byłem słowami, wypowiedzianymi w chwili gniewu: „Zostanę tutaj”. W rzeczywistości, gdy tylko Emilia wyszła z pokoju, natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie mogę tu dłużej zostać. Zerwałem stosunki z Rheingoldem i z Battistą, a teraz już właściwie i z Emilią. Słowem, nikomu nie byłem tu potrzebny i musiałem wyjechać. Ale oświadczyłem Emilii, że zostanę, i czy to w nadziei, że coś się jeszcze zmieni, czy też przez przekorę, czułem, że chciałbym zostać. W innych okolicznościach ta sytuacja byłaby po prostu śmieszna; ale w rozpaczliwym stanie ducha, w jakim się znajdowałem, była koszmarna, jak sytuacja alpinisty, który dochodząc do najniebezpieczniejszego punktu wspinaczki uświadamia sobie, że nie może pozostać dłużej na tym miejscu, gdzie się znajduje, ani iść naprzód, ani w tył. Ogarnęło mnie nerwowe podniecenie i rozgorączkowany zacząłem chodzić po salonie, zadając sobie pytanie, co mam robić. Rozumiałem, że nie mogę usiąść wieczorem do kolacji razem z Battistą i Emilią, jak gdyby nic się nie stało; w pierwszej chwili przyszło mi na myśl, żeby pójść do Capri, zjeść tam kolację i jak najpóźniej wrócić do domu; ale tego dnia przeszedłem już cztery razy tę drogę i to w pełnym słońcu, prawie biegiem, byłem więc bardzo zmęczony i nie miałem siły odbywać jej raz jeszcze. Spojrzałem na zegarek: była szósta, co najmniej dwie godziny czasu do kolacji. Co robić? W końcu zdecydowałem się: poszedłem do mego pokoju i zamknąłem drzwi na klucz.

Spuściłem żaluzje i po ciemku rzuciłem się na łóżko. Byłem naprawdę zmęczony i gdy się położyłem, instynktownie przybrałem pozycję najdogodniejszą do snu.

Byłem wdzięczny w tym momencie mojemu ciału, mądrzejszemu od umysłu, które bez wysiłku dawało niemą odpowiedź na dręczące pytanie: „Co robić?” Po chwili zapadłem w głęboki sen.

Spałem dość długo i nic mi się nie śniło; gdy się obudziłem i zobaczyłem otaczające mnie ciemności, domyśliłem się, że musi być bardzo późno. Wstałem z łóżka, podszedłem do okna, otworzyłem je i zobaczyłem, że rzeczywiście była już noc. Zapaliłem światło i spojrzałem na zegarek, minęła dziewiąta. Spałem trzy godziny. Wiedziałem, że kolacja jest o ósmej, najdalej o wpół do dziewiątej. I znowu wróciło to samo pytanie: „Co robić?” Ale teraz byłem wypoczęty i znalazłem od razu śmiałą i lekkomyślną odpowiedź: Mieszkam tutaj i nie mam powodu się ukrywać, zjawię się przy stole i niech się dzieje, co chce. Byłem w wojowniczym nastroju, gotów stawić czoło Battiscie i zgodnie z pogrózką zachować się tak, by wyrzucił z domu nas oboje. Szybko odświeżyłem się, uczesałem i wyszedłem z pokoju.

Lecz salon był pusty, chociaż w rogu stał przygotowany do kolacji stół.

Zauważyłem, jednak, że leżało na nim tylko jedno nakrycie. Jak by na potwierdzenie rodzących się we mnie podejrzeń, weszła służąca i powiedziała mi, że Battista i Emilia poszli na kolację do miasteczka Capri i że zastanę ich w restauracji Bellavista. Gdybym jednak chciał

zjeść w domu, to kolacja jest gotowa od pół godziny.

Zrozumiałem, że Emilia i Battista także postawili sobie pytanie: co robić? I że rozwiązali je po linii najmniejszego oporu, wychodząc i zostawiając mnie samego na placu boju. Tym razem jednak nie byłem ani zazdrosny, ani oburzony, ani rozczarowany.

Pomyślałem natomiast ze smutkiem, że nie mogli zrobić nic innego i że powinienem właściwie być im wdzięczny za uniknięcie przykrego spotkania. Zrozumiałem także, że ową taktykę uników przyjęli w tym celu, by zmusić mnie do wyjazdu, i że gdyby ją nadal kontynuowali osiągnęliby swój cel. Ale to dotyczyło niepewnej jeszcze przyszłości.

Powiedziałem służącej, że zjem kolację w domu, i usiadłem do stołu.

Jadłem mało i bez apetytu; wziąłem z pełnego półmiska tylko jeden kawałek szynki i spróbowałem dużej ryby, którą Emilia kazała kupić dla nas trojga. Skończyłem kolację w kilka minut. Powiedziałem służącej, że już nie jest mi potrzebna, i wyszedłem na taras.

W rogu stały leżaki, rozłożyłem jeden z nich i usiadłem przy balustradzie, naprzeciwko niewidocznego, pogrążonego w ciemnościach morza.

Wracając do willi ze spotkania z Rheingoldem, przyrzekłem sobie, że po rozmowie z Emilią spokojnie wszystko przemyślę. Wtedy uświadomiłem sobie, że nie znam przyczyn, które wpłynęły na to, że Emilia przestała mnie kochać; lecz nie przewidziałem tego, że i po tej

zasadniczej rozmowie w dalszym ciągu nic nie będę wiedział. Wprost przeciwnie, byłem przekonany, że owa tak zagmatwana sprawa wyjaśni się w sposób całkiem prosty; tak prosty, że gdy Emilia skończy mówić, zawołam: „To wszystko? I z tak błahej przyczyny nie chcesz mnie już kochać?”

Zamiast tego zaszło coś, czego się w ogóle nie spodziewałem: wyjaśnienie nastąpiło, a przynajmniej takie wyjaśnienie, jakie było możliwe między nami, ale wiedziałem tyle, co i przedtem. Nawet gorzej i odkryłem, że przyczyny pogardy Emilii należało się zapewne doszukiwać w naszych dawniejszych stosunkach, lecz ona nie okazała skłonności do ich roztrząsania, w gruncie rzeczy pragnęła dalej mną pogardzać i to bez powodu; tym sposobem odbierała mi jakąkolwiek możliwość usprawiedliwienia się i uniewinnienia, a więc i odzyskania jej miłości i szacunku.

Krótko mówiąc zrozumiałem, że pogarda Emilii datowała się już od bardzo dawna, od czasu kiedy nie mogłem nawet jeszcze dać jej ku temu rzeczywistych czy urojonych powodów swoim postępowaniem. Owa pogarda obudziła się w niej na skutek codziennego ścierania się naszych charakterów, bez żadnych przełomowych i decydujących wydarzeń, ot tak po prostu, jak poddaje się próbie czystość szlachetnego metalu przez potarcie go specjalnie przystosowanym do tego celu kamieniem. Istotnie, gdy zaryzykowałem przypuszczenie, że źródłem jej pogardy była fałszywa ocena mojego stosunku do Battisty, nie odpowiedziała mi ani tak, ani nie, milczała jak zaklęta. Przeszło mi nagle przez myśl, że Emilia uważa mnie za człowieka, po którym

można się wszystkiego spodziewać, i dotkliwie mnie to zabolalo. Tak, ona szukała w każdym moim słowie potwierdzenia swojej pogardy. Z całego jej zachowania wobec mnie wyraźnie było widać, że wyrobiła sobie opinię o moim charakterze niezależnie od mego postępowania, a ironia losu sprawiła, że zdawało się ono jeszcze potwierdzać ową opinię. Najprawdopodobniej jednak i bez tego potwierdzenia Emilia nie myślałaby o mnie inaczej.

Dowodem tego było choćby jej dziwaczne, tajemnicze zachowanie. Mogła była przecież już na początku wyjaśnić to okrutne nieporozumienie, które zabiło naszą miłość; mogła była zwierzyć mi się ze wszystkiego, porozmawiać ze mną szczerze i lojalnie. Ale nie

zrobiła tego, ponieważ, jak powiedziałem jej prosto w oczy, nie chciała, bym wyprowadził ją z błędu, wolała dalej mną pogardzać.

Leżałem na leżaku, lecz w przypiływie silnego zdenerwowania, w jakie wprawiły mnie te myśli, wstałem prawie bezwiednie i oparłem się rękami o balustradę. Może pragnąłem się uspokoić, wpatrując się w spokojną noc. Jednakże gdy wystawiłem twarz na lekki podmuch wiatru wiejący od morza, co sprawiło mi wielką ulgę, pomyślałem sobie, że może nie zasługuję na to. Zrozumiałem w tym momencie, że człowiek, który budzi pogardę, nie może i nie powinien zaznać spokoju, dopóki nim pogardzają. Bo gdyby nawet powiedział sobie: „Góry zaprzepaście mnie, morze pochłoń mnie” - pogarda idzie w ślad za nim, nawet do najodleglejszego zakątka, bo wkradła mu się w duszę i on niesie ją w sobie, gdziekolwiek by skierował swoje kroki.

Położyłem się z powrotem na leżaku i drżącą ręką zapaliłem

papierosa. Pomimo wszystko wydało mi się, że bez względu na to, czy jestem godzien pogardy, czy też nie (a byłem przekonany, że nie jestem), zostaje mi jeszcze inteligencja, której nie odmawiała mi nawet Emilia i która była jedyną moją chlubą i jedynym usprawiedliwieniem mojego istnienia. Musiałem myśleć, bez względu na to, jaki był obiekt moich rozmyślań; było moim obowiązkiem ćwiczyć niestrudzenie moją inteligencję w obliczu każdej stojącej przede mną zagadki. Jeśli raz przestanę ćwiczyć inteligencję, rzeczywiście nie pozostanie mi nic prócz upokarzającego poczucia własnej podłości, o którą mnie posądzano.

Zacząłem więc znowu rozmyślać z uporem i jak mogłem najlogiczniej. Na czym więc mogła polegać ta moja podłość? I znowu przypomniałem sobie słowa, w których Rheingold, sam o tym nie wiedząc, określił moje stosunki z Emilią, mówiąc o Ulissesie i Penelopie:

Ulisses jest człowiekiem cywilizowanym, Penelopa kobietą prymitywną. Tak więc Rheingold wyrozumowaną interpretacją Odysei sprowokował bezwiednie najpierw kryzys moich stosunków z Emilią, a potem, niczym dzida Achillesa, która najpierw raniła, a potem leczyła, dawał mi pociechę, mówiąc nie „podły”, ale „cywilizowany”. Zdawałem sobie sprawę, że owa pociecha miała swój ciężar gatunkowy, o ile zechciałbym z niej skorzystać.

Operując skrótem, byłem człowiekiem cywilizowanym, który w prymitywnej sytuacji, dotyczącej obrazy honoru, odmawia ugodzenia nożem przeciwnika; byłem człowiekiem cywilizowanym, który

kieruje się rozumem nawet wobec rzeczy świętych czy uważanych za święte.

Ale od razu uświadomiłem sobie, że tego rodzaju tłumaczenie, nazwijmy je historycznym, nie może mnie zadowolić. Pomijając już fakt, że wcale nie byłem pewien, iż moje pożycie z Emilią rzeczywiście przypomina wyimaginowane przez Rheingolda pożycie Ulissesa z Penelopą, to owo sformułowanie, słuszne może na płaszczyźnie historii, nie było słuszne w odniesieniu do zagadnień ludzkiego sumienia, czysto intymnych i osobistych, nie mieszczących się ani w czasie, ani w przestrzeni. Tutaj dyktuje prawo tylko nasz demon wewnętrzny.

Historia mogłaby usprawiedliwić mnie i rozgrzeszyć wyłącznie w swojej dziedzinie, więc jakiegokolwiek byłyby te przyczyny „historyczne”, w mojej obecnej sytuacji nie chciałem się nimi zajmować, a tym bardziej się na nich opierać. Dlaczego jednak Emilia przestała mnie kochać, dlaczego mną pogardzała? A przede wszystkim, dlaczego odczuwała tę potrzebę, by mną pogardzać? Przypomniałem sobie nagle słowa Emilii: Dlatego, że nie jesteś mężczyzną.

Ten banalny komunał uderzył mnie akcentem niekłamanej szczerości, z jaką był wypowiedziany; i pomyślałem, że może to zdanie jest kluczem do rozwiązania zagadki.

Emilia wyraziła w nim istotnie swoją krytykę: byłem zaprzeczeniem jej męskiego ideału.

Zarazem jednak to zdanie tak ogólnikowe i oklepane pozwalało

się domyślać, że Emilia nie wyrobiła sobie tego ideału na podstawie oceny ludzkich wartości, ale że był on konwencjonalnym wytworem świata, w którym żyła. A w tym świecie takim prawdziwym mężczyzną był na przykład Battista, ze swoją zwierzęcą siłą i swoimi prostackimi sukcesami.

Dowodem tego były jej pełne admiracji spojrzenia, jakimi obrzucała go wczoraj przy kolacji, i to, że w końcu uległa jego żądom, choćby nawet zrobiła to tylko z rozpacz.

Słowem, Emilia pogardzała mną i chciała mną pogardzać, bo mimo całej swojej szczerości i prostoty, a może właśnie dlatego, omotana była bez reszty utartymi komunałami, królującymi w świecie Battisty; i jeden z tych komunałów zawierał dogmat, że mężczyzna nie jest mężczyzną, jeśli nie potrafi dorobić się majątku i uniezależnić się od innych. Nie byłem pewien, czy Emilia rzeczywiście podejrzewała mnie o to, że dla interesu patrzę przez palce na zaloty Battisty, lecz jeśli tak było, myślała sobie zapewne: „Riccardo jest zależny od Battisty, bierze pieniądze od Battisty, więc chce sobie zapewnić dalsze zamówienia. Battista zaleca się do mnie, więc Riccardo nie ma nic przeciwko temu, żebym została kochanką Battisty”.

Byłem zdumiony, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Było to tym dziwniejsze, że skoro umiałem się doszukać w dwóch interpretacjach Odysei - Rheingolda i Battisty, dwóch różnych koncepcji życiowych, to powinienem również zdać sobie sprawę, że Emilia, stwarzając mój obraz tak odbiegający od rzeczywistości,

zrobiła właściwie to samo co oni.

Różnica polegała tylko na tym, że Battista i Rheingold zinterpretowali dwie postacie wyimaginowane, Ulissesa i Penelopę, natomiast Emilia zastosowała swoje pogardliwe konwencje do dwóch żyjących istot, do siebie i do mnie. I z owego pomieszania prostolinijności z nieświadomą wulgarnością zrodziło się podejrzenie Emilii, że chciałem ją pchnąć w ramiona Battisty.

Dla potwierdzenia tej tezy wyobraziłem sobie na chwilę, że Emilia ma dokonać wyboru między trzema interpretacjami Odysei: Battisty, Rheingolda i moją.

Mogłaby na pewno zrozumieć czysto materialne motywy, które skłaniały Battistę do zrobienia z Odysei gigantycznego widowiska; mogłaby też zgodzić się z psychologiczną i jednostronną koncepcją Rheingolda, ale przy swoim prostactwie i trzeźwości psychicznej nie mogłaby się nagiąć do mojej interpretacji, wiernej Homerowi i Dantemu. A to dlatego, że nie żyła w sferze ideałów, ale w realnym świecie Battisty i Rheingolda. Tak więc koło się zamknęło. Emilia, ta wymarzona przeze mnie kobieta, była zarazem kobietą, która mną pogardzała na podstawie małodusznych, konwencjonalnych zasad; tu Penelopa przez dziesięć lat dochowująca wierności nieobecnemu mężowi, a tu maszynistka, wężąca interesowność tam, gdzie jej nie było. I żeby wskrzesić tę Emilię, którą kochałem, i sprawić, by sprawiedliwie mnie oceniała, musiałbym wyrwać ją ze świata, w jakim żyła, wprowadzić ją w świat prosty i nieskomplikowany, jak ona sama, w świat, o którym marzyłem, ale który, jak zwrócił mi

uwagę Rheingold, nie istniał niestety.

Tymczasem jednak musiałem żyć dalej, czyli pracować i stykać się z ludźmi, właśnie w świecie Battisty i Rheingolda. Co powinienem był zrobić? Pomyślałem, że przede wszystkim należało się wyzwolić z upokarzającego kompleksu niższości, który powstał z powodu nedorzecznego pomawiania mnie o wrodzoną podłość charakteru. Jak już wspomniałem, ten właśnie zarzut ze strony Emilii był podstawowym czynnikiem zmiany jej uczuć w stosunku do mnie; teraz wiedziałem już, że nie wolno nikogo posądzać o podłość, o ile nie ma się ku temu konkretnych dowodów. Ale żeby wyzwolić się z mojego kompleksu, musiałbym przekonać o tym także i Emilię.

Przypomniałem sobie potrójny obraz który wyłonił się w dyskusjach nad scenariuszem Odysei i w którym widziałem trzy rodzaje podejścia do życia. Obraz Battisty, Rheingolda i wreszcie mój, który uważałem za jedyny możliwy do przyjęcia, a przy tym najbliższy Homerowi. Dlaczego Battista, Rheingold i ja stworzyliśmy tak odmienne koncepcje postaci Ulissesusa? Dlatego, że inne były nasze ludzkie ideały i inne życie każdego z nas. Interpretacja Battisty, powierzchowna, wulgarna, retoryczna i nedorzeczna, podobna była do życia i ideałów, a bardziej jeszcze do interesów Battisty; wersja Rheingolda, bardziej realna, ale odarta z poezji, przyziemna, płaska, szła w parze z umysłowością i możliwościami artystycznymi tego reżysera; natomiast moja koncepcja, niewątpliwie najbardziej wzniosła, a zarazem najbardziej naturalna, poetycka i najzgodniejsza z oryginałem, wypływała z moich aspiracji, może zbyt górnolotnych,

ale na pewno szczerych, z moich marzeń o życiu nie zbrukanym i odartym z piękna przez pieniąż i nie sprowadzającym się wyłącznie do spraw fizjologicznych i materialnych. I w pewnym sensie wydało mi się pocieszające, że interpretacja, na którą padł mój wybór, była najtrafniejsza. Powinienem był przystosować swoją egzystencję do tego ideału, nawet jeśli nie zatriumfował on w filmie, nawet jeśli było mało prawdopodobne, żeby zatriumfował w życiu. Tylko tą drogą mógłbym przekonać o moich szlachetnych intencjach Emilię, odzyskać jej szacunek i miłość. Ale jak?

Nie widziałem innego sposobu, jak kochać ją jeszcze bardziej, dowieść jej raz jeszcze i zawsze, ilekroć zajdzie potrzeba, jak głęboka i bezinteresowna jest moja miłość.

Mimo to pomyślałem, że nie wolno mi wywierać żadnego nacisku na Emilię.

Pozostanę na Capri do jutra i wyjadę popołudniowym statkiem, nie próbując nawet się z nią widzieć. Potem z Rzymu napiszę do niej długi list, w którym wyjaśnię jej to wszystko, czego nie umiałem wypowiedzieć.

W tej samej chwili usłyszałem odgłosy spokojnej rozmowy, dochodzące ze ścieżki biegnącej u podnóża willi, i domyśliłem się od razu, że to Battista i Emilia.

Szybko wymknąłem się z tarasu i poszedłem zamknąć się u siebie w pokoju. Ale nie chciało mi się

spać, a wiedziałem, że za bardzo bym cierpiał, zamknięty w tym dusznym pokoju, przysłuchując się, jak tamtych dwoje rozmawia i

kręci się po willi. Przywiozłem z Rzymu bardzo silny, wyjątkowo szybki w działaniu środek nasenny, ponieważ cierpiałem na bezsenność, a zwłaszcza ostatnio dawała mi się ona we znaki. Zażyłem podwójną dawkę i tak jak stałem, w ubraniu, rzuciłem się na łóżko. Jeszcze tylko przez krótką chwilę słyszałem głosy Emilii i Battisty; zasnąłem prawie natychmiast.

ROZDZIAŁ XXII

Obudziłem się późno, a przynajmniej tak mi się wydało, gdy zobaczyłem promienie słońca wpadające do pokoju przez szpary w żaluzjach; wsłuchiwałem się dobrą chwilę w panującą dokoła ciszę, tak odmienną od ciszy w mieście, w której zawsze zdają się kołatać jakieś dalekie hałasy; leżąc nieruchomo na wznak, napawałem się tym dziewiczym spokojem, lecz nagle doznałem wrażenia, że czegoś w nim brak, i to nie szumu pompy elektrycznej, ciągnącej wodę ze zbiornika, czy szelestu szczotki, froterującej podłogi, czyli odgłosów potęgujących jeszcze natężenie ciszy, tylko brak obecności ludzkiej. Nie była to cisza tętniąca życiem, ale cisza, z której wszystko co żywe zostało wyeliminowane. W końcu znalazłem właściwe słowo: była to cisza opuszczonego domu. Zaledwie przyszło mi to na myśl, wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do drzwi pokoju Emilii. Otworzyłem je i pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, to leżący na szerokim, pustym łóżku list. List był krótki:

Drogi Riccardo, wobec tego, że nie chciałeś wyjechać, wyjeżdżam ja. Sama może nie miałabym odwagi, korzystam więc z wyjazdu Battisty. Boję się zostać sama i wolę towarzystwo Battisty niż samotność. Ale w Rzymie rozstanę się z nim i spróbuję zacząć własne życie. Nie dziw się jednak, gdybyś się dowiedział, że zostałam kochanką Battisty: nie jestem niezłomna i oznaczałoby to, że nie dałam sobie rady i w końcu zabrakło mi sił.

Żegnaj.

Emilia.

Po przeczytaniu tych kilku linijek usiadłem na łóżku, z listem w ręku, i nieruchomym wzrokiem spoglądałem przed siebie. Widziałem przez okno pinie, a za nimi ścianę skalną.

Potem oderwałem oczy od okna i rozejrzałem się po pokoju; wszędzie panował nieporządek, ale nijaki, martwy: nie było tam żadnych części garderoby, ani butów, ani przyborów toaletowych, tylko powyciągane do połowy puste szuflady, otwarte szafy z rzędami wieszaków, łóżko z przewracaną pościelą. Ostatnio żyłem w obawie, że Emilia może mnie opuścić, i myślałem o tym jak o straszliwej klęsce. Teraz spadła na mnie ta klęska.

Odczuwałem głuchy, tępy ból, który zdawał się promieniować z głębi mojej istoty; w taki sam sposób wyrwane z ziemi drzewo odczuwałoby ból w korzeniach, pozbawionych soków żywotnych, czerpanych z gleby. Rzeczywiście zostałem nagle powalony jak drzewo i przeczuwałem, że moje korzenie, zasilane dotąd miłością Emilii, wyschną po jej odejściu.

Czułem, że już zaczynają wysychać, i cierpiałem jak potępieniec.

Wreszcie wstałem i poszedłem do mego pokoju. Byłem ogłuszony jak człowiek, który spadł na ziemię z dużej wysokości i odczuwa tępy ból, i wie, że ten ból wzrośnie aż do ostrego paroksyzmu, i boi się tego momentu, ale nie wie, kiedy on nastąpi. Byłem świadomy mojego cierpienia, lecz starałem się o nim nie myśleć, by go nie spotęgować.

Wziąłem machinalnie kostium kąpielowy, wyszedłem z willi i tą samą drogą co zazwyczaj poszedłem na centralny placzyk Capri. Tam kupiłem gazetę i usiadłem w kawiarni; sam byłem zdziwiony, że przeczytałem od deski do deski całą gazetę, bo wydawało mi się, że w tej sytuacji nie będę mógł myśleć o niczym innym jak tylko o moim nieszczęściu. „Tak jak mucha - pomyślałem nagle - której okrutne dziecko urwało łepkę i która przez jakiś czas zdaje się

nie odczuwać skutków okaleczenia i łazi jeszcze, i czyści sobie łapki, zanim zdechnie.” W końcu zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać południe i echo jego miarowych uderzeń wypełniło cały plac.

W tej samej chwili odjeżdżał autobus do Piccola Marina, wsiałem więc i pojechałem na plażę.

Po kilku minutach byłem już na dole przed kąpieliskiem. Obok był postój dorożek konnych, przy których stali dorożkarze skracając sobie czekanie na klientów spokojną pogawędką. Wsiadłem z autobusu i zbiegłem lekkim krokiem po schodach wiodących do kabin. Zobaczyłem z góry małą plażę, pokrytą białymi kamieniami i błękitne morze, rozciągające się pod pogodnym niebem. Morze było spokojne, gładkie, błyszczące jak atlas aż po sam horyzont; gdzieś podwodne prądy widniały pod powierzchnią połyskującą w blasku słońca. Pomyślałem sobie, że w taki poranek przyjemnie byłoby popłynąć łodzią; odprężyłbym się trochę przy wiosłowaniu, a przy tym byłbym zupełnie sam, podczas gdy na plaży pełno było ludzi. Gdy doszedłem do kabin, zawołałem kąpielowego i kazałem przygotować sobie łódź, potem rozebrałem się w kabinie.

Wychodząc na taras, szedłem ostrożnie ze schyloną głową, by nie pokaleczyć sobie bosych stóp o wyżarte solą chropowate kamienie. Słońce świeciło nade mną, otaczało mnie zewsząd jaskrawym światłem, grzało mnie w plecy. Było to błogie uczucie i stanowiło gorzki kontrast z moją wewnętrzną udręką. W dalszym ciągu spoglądając w dół zszedłem po stromych schodkach i stąpając po rozpalonych kamieniach, skierowałem się w stronę brzegu.

Dopiero wtedy podniosłem oczy i zobaczyłem Emilię.

Kąpielowy, staruszek chudy i żwawy, opalony na brąz, stał bez ruchu obok łodzi, którą do połowy zepchnął już na wodę. Emilia siedziała na dziobie, w zielonym dwuczęściowym kostiumie, trochę już wyblakłym od słońca, w kostiumie, który tak dobrze znałem. Kolana miała mocno zaciśnięte, obydwoma rękami trzymała się ławeczki, odchylona nieco do tyłu ruchem niepewnym i pełnym kobiecego wdzięku. Uśmiechała się wiedząc, jaką niespodzianką jest dla mnie jej widok i spoglądała takim wzrokiem, jak by chciała powiedzieć. - Jestem tutaj... ale nic nie mów, nie dziw się... zachowuj się tak, jak gdybyśmy się tutaj umówili.

Uśluhałem tej niemej prośby i w milczeniu, prawie nieprzytomny, z bijącym sercem, oparłem się o wyciągniętą ku mnie rękę kąpielowego i wskoczyłem do łodzi.

Kąpielowy wszedł po kolana w wodę, przymocował wiosła i pchnął łódź na głębię. Usiadłem i zacząłem wiosłować w pełnym słońcu, kierując łódź ku skale, zamykającej maleńką zatokę.

Wiosłowałem szybko i w kilka minut dopłynąłem do skały,

milcząc przez cały czas i nie patrząc na Emilię. Jakiś wewnętrzny opór nie pozwalał mi mówić, dopóki widać było zatłoczoną plażę. Pragnąłem samotności wokół Emilii i wokół siebie, tak jak przedtem w willi, tak jak zawsze, kiedy miałem jej coś ważnego do powiedzenia.

Wiosłując uświadomiłem sobie, że w nagłym przypływie goryczy, pomieszanym z nową i dziwną radością, łzy płyną mi z oczu. Czułem, że od tych łez palą mnie powieki, że palą mnie policzki pod spływającymi po nich strumieniami łez. Gdy znalazłem się na wysokości skały, wytrzymałem wszystkie siły, by przezwyciężyć prąd, który tworzył w tym miejscu porywiste wiry. Po prawej stronie sterczała czarna skała o dziurkowanym jak sito wierzchołku, po lewej kamienna ściana. Pchnąłem łódź w ten przesmyk, mocno odgarniając wiosłami kotłującą się wodę, i wydostałem się na otwartą przestrzeń. Zagłębione w morzu podnóże skały białe było od soli i gdy fale załamywały się, widać było na nim kosmate, zielone wodorosty i nieliczne „pomidory morskie”, czerwone i błyszczące. Za skałą ukazało się usypisko wystających ponad powierzchnię morską polodowcowych głazów; niektóre z nich otoczone były mikroskopijnymi plażami, pokrytymi białym żwirem. Pusto było dokoła, nikt się tu nie kąpał, nikt nie pływał łodzią; morze miało kolor ciemnego błękitu, o intensywnym, oleistym odcieniu, co wskazywało na dużą głębokość. W dali widniały znowu wystrzelające jedna za drugą skały, które wyglądały na lśniących w słońcu wodach jak naturalny, dziwaczny amfiteatr.

Wreszcie zmniejszyłem szybkość i spojrzałem na Emilię. Ona także czekała najwidoczniej, byśmy oddalili się od brzegu, bo dopiero teraz zapytała spoglądając na mnie z uśmiechem: - Dlaczego płaczesz?

- Płaczę z radości, że cię widzę.

- Tak bardzo się ucieszyłeś?

- Tak... byłem pewien, żeś wyjechała... a jednak zostałeś.

Spuściła oczy, a potem powiedziała: - Postanowiłam wyjechać... i rano pojechałam do portu razem z Battistą... ale w ostatniej chwili rozmyśliłam się i zostałam.

- A co robiłaś do tej pory?

- Spacerowałam trochę po brzegu... posiedziałam w kawiarni, potem pojechałam kolejką linową na Capri i zatelefonowałam do willi... powiedzieli mi, żeś wyszedł... więc pomyślałam sobie, że wybrałeś się na Piccola Marina, i przyszłam tutaj... rozebrałam się i czekałam na ciebie... zobaczyłam cię, kiedy zamawiałeś łódź, leżałam na słońcu.

Przeszedłeś tuż obok, ale mnie nie widziałeś... więc kiedy poszedłeś się przebrać do kabiny, wsiadłam do łodzi.

Milczałem przez chwilę. Znajdowaliśmy się teraz w połowie drogi między skałą, którą minęliśmy przed chwilą, a cyplem zamykającym zatokę. Wiedziałem, że za tym cyplem jest wejście do Zielonej Groty, gdzie najpierw zamierzałem się wykąpać. W końcu zapytałem stłumionym głosem: - A dlaczego zmieniłaś decyzję i nie wyjechałaś z Battistą?

Dlaczego zostałam?

- Dlatego, że dziś rano długo myślałam i zrozumiałam, że pomyliłam się co do ciebie... że to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem.

- A co cię o tym przekonało?

- Nie wiem... ale może przede wszystkim ton twojego głosu, kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

- I naprawdę jesteś teraz przekonana, że nie robiłem tych świństw, o które mnie posądzałaś?

- Tak, jestem przekonana.

Pozostało mi jednak jeszcze ostatnie pytanie, może najważniejsze ze wszystkich:

-

Ale czy nie myślisz - powiedziałem - że jestem pomimo wszystko podłym człowiekiem... pomimo że nie zrobiłem tego, o co mnie posądzałaś... że jestem podły, bo taki już mam charakter... Nie myślisz tak, Emilio?

- Nigdy tak nie myślałam... owszem, podejrzewałam, że twoje zachowanie wypływa z niskich pobudek, i dlatego straciłam dla ciebie szacunek... ale teraz wiem, że to było po prostu nieporozumienie... nie mówmy o tym więcej, dobrze?

Tym razem nic nie odpowiedziałem i ona także milczała; zacząłem wiosłować szybko, ze zdwojoną energią, płynącą, jak mi się zdawało, ze szczęścia, które powoli niczym wschodzące słońce zalewało ciepłem i światłem moje serce; miałem wrażenie, że

zaczynam żyć na nowo, że budzę się z odrętwienia. A tymczasem dojechaliśmy do Zielonej Groty i skierowałem łódź ku otworowi w skale, który wyglądał jak ciemna plama zawieszona nad zieloną taflą wody. Zapytałem jeszcze: - Kochasz mnie?

Zawahała się przez moment, po czym odpowiedziała: - Zawsze cię kochałam... i zawsze cię będę kochała. - Ale wypowiedziała to ze smutkiem, który mnie zdziwił.

Zawołałem tknięty niepokojem: - Dlaczego mówisz to takim smutnym głosem?

- Nie wiem... może dlatego, że byłoby lepiej, gdyby nigdy nie powstały między nami żadne nieporozumienia, gdybyśmy kochali się zawsze tak jak dawniej.

- Tak - odpowiedziałem - ale to wszystko już się skończyło... Nie myślmy o tym więcej... Teraz już nigdy nie przestaniemy się kochać. - Zdawała się potwierdzać moje słowa skinieniem głowy, ale nie podniosła oczu i w dalszym ciągu była smutna.

Puściłem ma chwilę wiosła i pochylając się do przodu, dodałem: - Popłyniemy teraz do Czerwonej Groty... jest mniejsza i bardzo głęboka... to niedaleko stąd... jest tam maleńka pogrążona w mroku plaża i tam będziemy się kochali, chcesz, Emilio?

Zobaczyłem, że podnosi oczy i kiwa potakująco głową, patrząc na mnie z leciutkim, trochę wstydliwym uśmiechem. Kilkoma silnymi uderzeniami wiosła pchnąłem łódkę w głąb groty. Znaleźliśmy się pod olbrzymim, chropowatym kamiennym sklepieniem, na które odbijające się w wodzie słońce rzucało wesołą, gęstą siatkę

szmaragdowych refleksów. W głębi, gdzie głuchym echem obijały się morskie fale, woda była ciemna i wystawały z niej gładkie czarne skały, przypominające grzbiety płetwonogich zwierząt. A oto świetlista szczelina między dwiema skałami, prowadząca do Czerwonej Groty. Emilia siedziała teraz nieruchomo i wpatrzona we mnie śledziła każdy mój gest uległym i zmysłowym wzrokiem kobiety, która gotowa jest oddać się w każdej chwili i czeka tylko na znak ze strony mężczyzny. Płynęliśmy teraz wąskim przesmykiem pod zwisającymi ze skał stalaktytami; odpychając się wiosłem od ścian wydostałem się na otwartą przestrzeń, po czym skierowałem łódź ku ciemnemu wylotowi Czerwonej Groty. Powiedziałem do Emilii: - Uważaj, schyl głowę. - Wystarczyło jedno silne uderzenie wiosła i znalazłem się na gładziuteńkiej powierzchni wody w grocie.

Czerwona Grota składa się z dwóch części: pierwsza, podobna do przedsionka, oddzielona jest od drugiej opadającym nisko w dół sklepieniem; za ową pochyłością znajduje się druga część groty, która zakręca łukowato i kończy się wąską, położoną w głębi plażą.

Panuje tu głęboki mrok i trzeba dopiero przywyknąć do ciemności, by dostrzec ową podziemną plażę, lekko zabarwioną czerwonym światłem, od którego pochodzi właśnie nazwa tej groty. - Grota jest bardzo ciemna - powiedziałem Emilii - ale jak oswoimy się z ciemnością, wszystko będzie widać. - Na razie jednak nic nie widziałem; łódź sunęła cicho po wodzie pod niskim sklepieniem. W końcu usłyszałem głuchy zgrzyt, to łódź uderzyła dziobem o kamienistą plażę. Puściłem wtedy wiosła i wstając

wyciągnąłem rękę w stronę, gdzie siedziała Emilia. - Daj mi rękę - powiedziałem - pomogę ci wsiąść.

Emilia nie odpowiedziała. Powtórzyłem zdziwiony: - Daj rękę, Emilio - i znowu pochyliłem się z wyciągniętą dłonią. Nie otrzymawszy odpowiedzi wyciągnąłem przed siebie obydwie ręce i zacząłem jej po omacku szukać. Ale moje dłonie trafiły w próżnię, a gdy je opuściłem, dotknąłem palcami gładkiego drzewa pustej ławeczki. Moje zdziwienie zmieniło się nagle w lęk. - Emilio! - krzyknąłem - Emilio! - Odpowiedziało mi ciche, zimne echo, a może tak mi się tylko zdawało. Tymczasem mój wzrok zdążył już przywyknąć do ciemności, mogłem rozróżnić kontury łodzi i plażę, wysypaną miłąkim czarnym żwirem, i wznoszące się nad moją głową połyskliwe, pokryte kroplami wilgoci sklepienie.

Zobaczyłem wtedy, że łódź jest pusta, że plaża jest pusta, że dokoła nie ma żywej duszy. Na pół przytomny wpatrywałem się w dziób łodzi i powtórzyłem: - Emilio! - tym razem jednak bardzo cicho. Znowu powiedziałem: - Gdzie jesteś, Emilio? - i w tej samej chwili zrozumiałem. Wskoczyłem z łodzi, rzuciłem się na plażę i zagłębiłem twarz w wilgotnym żwirze. Przypuszczam, że straciłem przytomność, bo leżałem jak skamieniały, bez czucia, sam nie wiem jak długo.

Potem wstałem, machinalnie wsiadłem do łodzi i wypłynąłem z grotty. Przy wylocie oślepiło mnie silne, odbijające się w morzu światło słoneczne. Spojrzałem na zegarek, który miałem na rękę, i zobaczyłem, że jest druga godzina. Spędziłem więc w grocie przeszło

godzinę. Przypomniałem sobie, że południe jest godziną duchów, i zrozumiałem, że rozmawiał z widmem.

ROZDZIAŁ XXIII

Droga powrotna trwała długo; co chwila przestawałem wiosłować i siedziałem nieruchomo, wpatrując się zamglonymi oczyma w lazurową, błyszczącą powierzchnię morza.

Wszystko było jasne: uległem halucynacji, podobnie jak dwa dni przedtem, gdy wydawało mi się, że całuję nagą, leżącą na słońcu Emilię. Tym razem halucynacja była o wiele bardziej wyrazista i dokładna, ale że była to tylko halucynacja, nic więcej, świadczyła o tym choćby rozmowa, którą, jak mi się wydawało, przeprowadziłem z widmem Emilii. Włożyłem w usta Emilii to wszystko, co chciałem usłyszeć, i kazałem jej wypowiedzieć każde słowo tak, jak tego pragnąłem. Wszystko wyszło ode mnie i do mnie wróciło; tyle tylko, że tym razem nie ograniczyłem się, jak w dotychczasowych marzeniach, do wyobrażania sobie moich najgorętszych pragnień, ale poprzez siłę przepelniającego mnie uczucia doznałem złudzenia, że naprawdę się one spełniły. A przy tym wcale się nie dziwiłem, że miałem tego rodzaju halucynację, która była czymś niezwykłym i na pewno niepowtarzalnym. I pod jej wrażeniem powracałem myślą do wszystkich szczegółów; roztrząsałem je kolejno i upajałem się zwłaszcza tymi, które były dla mnie najmiłsze i najbardziej pocieszające. Jak ślicznie wyglądała Emilia, gdy siedziała na dziobie mojej łodzi, już nie wroga, ale pełna miłości; jakie łagodne były jej słowa; jak gwałtowne i oszalamiające były moje uczucia, gdy

zapropnowałem jej miłość, a ona wyraziła zgodę leciutkim skinieniem głowy. Podobnie jak człowiek, który miał bardzo piękny i wyraźny sen i który po przebudzeniu jeszcze długo się nim rozkoszuje, tak samo ja nie mogłem się otrząsnąć z owej halucynacji i wierzyłem w nią, i cieszyłem się nią, i przeżywałem ją w myślach. Nie dbałem o to, że była to tylko halucynacja, skoro wspominałem ją z takim natężeniem uczucia, jak wspomina się prawdziwe wydarzenia.

Wracając z nieustającą przyjemnością do szczegółów mojej wizji, porównałem znowu godzinę mego wyjazdu z Piccola Marina z godziną opuszczenia groty i raz jeszcze uderzyło mnie, że tak długo pozostawałem w grocie na podziemnej plaży. Tak, przeszło godzinę, licząc, że dojazd z Piccola Marina nie zajął mi więcej niż trzy kwadranse.

Wspominałem już, że przypisywałem to zemdleniu czy też częściowej utracie przytomności, bardzo podobnej do omdlenia. Ale teraz zastanawiając się nad tą halucynacją, tak pełną, tak posłuszną moim najgłębszym pragnieniom, zadałem sobie pytanie, czy czasem mi się to wszystko nie śniło. To znaczy, czym nie wyjechał z Piccola Marina sam i sam nie dotarł do groty. Potem położyłem się może na plaży i zasnąłem, i wtedy właśnie przyśniło mi się, że wypłynąłem z Capri z siedzącą na dziobie Emilią, że rozmawiałem z nią, że zaproponowałem jej, byśmy się kochali, i że z nią razem dotarłem do groty, śniło mi się też, że wyciągnąłem rękę, by pomóc jej wysiąść, że nie mogłem jej odnaleźć, że zląkłem się na myśl, iż wiozę w łodzi widmo, i wreszcie, że wyskoczyłem na brzeg i zemdlałem.

Teraz to przypuszczenie wydało mi się prawdopodobne, ale tylko prawdopodobne.

Oszołomiony wytworami wyobraźni, nie umiałbym powiedzieć, gdzie była granica między snem a jawą, granica, którą należało ustalić w momencie, gdy położyłem się na plaży. Co zaszło dokładnie w tym momencie, gdy położyłem się w głębi grotty? Czy zasnąłem i śniło mi się, że byłem z Emilią, z prawdziwą Emilią z krwi i kości? Czy też zasnąłem i miałem sen, że nawiedził mnie duch Emilii? Czy też zasnąłem i śniłem, że śpię i że śni mi się jeden z dwóch opisanych tu snów? Jak w pudełeczkach chińskich, z których każde zawiera wewnątrz drugie mniejsze pudełeczko, rzeczywistość zdawała się zawierać w sobie sen, który z kolei zawierał w sobie rzeczywistość, a ta z kolei zawierała w sobie sen i tak w nieskończoność.

Kilkakrotnie przestawałem wiosłować i siedząc bez ruchu zadawałem sobie pytanie, czy miałem halucynację, czy śniłem, czy też naprawdę ukazał mi się duch Emilii; w końcu doszedłem do wniosku, że nie wiem i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiem.

Wreszcie dopłynąłem do brzegu. Szybko się przebrałem, pobiegłem na górę i zdążyłem w ostatniej chwili wskoczyć do autobusu, który właśnie odjeżdżał do Capri. Bardzo śpieszyło mi się teraz do domu: sam nie wiem dlaczego, ale byłem przekonany, że w willi znajdę rozwiązanie tych wszystkich zagadek. Poza tym zależało mi, żeby dotrzeć tam jak najprędzej, bo do odejścia statku, który odpływał o szóstej, nie było już tak wiele czasu, a musiałem jeszcze zjeść obiad i zapakować walizki. Z placyku skręciłem od razu

szybkim krokiem na biegnącą wokół wyspy drogę. Po dwudziestu minutach byłem już w domu.

Wchodząc do salonu, nie miałem czasu poddać się nastrojowi smutnej samotności, jaki panował w opustoszałej willi. Na nakrytym stole obok talerza zobaczyłem telegram. Nie pomyślałem nic, lecz pełen najgorszych przeczuć wziąłem do ręki żółtą kopertę i otworzyłem ją. Podpis Battisty zdziwił mnie, ale zarazem nappełnił nadzieją, że to jakaś dobra wiadomość.

Potem przeczytałem treść depechy: Battista zawiadamiał mnie w krótkich słowach, że ulegli nieszczęśliwemu wypadkowi i że stan Emilii jest bardzo ciężki.

Dochodząc do tego miejsca zdaję sobie sprawę, że nie mam właściwie nic więcej do powiedzenia. Zbyteczne byłoby opisywać, jak wyjechałem zaraz po obiedzie i dowiedziałem się natychmiast po przyjeździe do Neapolu, że Emilia zginęła w wypadku samochodowym, który wydarzył się niedaleko Terraciny. Jej śmierć była dziwna. Emilia, zapewne ze zmęczenia i z gorąca, zasnęła w drodze i siedziała koło Battisty z opuszczoną na piersi głową.

Nagle z bocznej drogi wyjechał wóz zaprzężony w woły. Battista gwałtownie zahamował, po czym porządnie zwymyślawszy woźnicę pojechał dalej. Ale Emilia milczała i głowa kiwała się jej na wszystkie strony. Battista zagadnął ją, lecz mu nie odpowiedziała, a na zakręcie zsunęła mu się na kolana. Battista zatrzymał samochód i stwierdził wtedy, że Emilia nie żyje.

Raptowne zahamowanie, spowodowane pojawieniem się na

drodze wozu, zaskoczyło ją we śnie, kiedy całe ciało, wszystkie mięśnie znajdują się w stanie zupełnego bezwładu; gwałtowne zatrzymanie pędzącego z dużą szybkością samochodu spowodowało, że głowa Emilii została odrzucona do tyłu z taką siłą, że pękł stos pacierzowy. Trwało to wszystko ułamek sekundy, tak że nie mogła sobie zdawać sprawy, iż umiera.

Był straszliwy upał i tym nieznośniejszy stał się ból, gdyż ból zarówno jak radość jest despotyczny, wymaga dla siebie wyłączności, nie chce rywalizować z innymi uczuciami.

Dzień pogrzebu był duszny, niebo zasnute chmurami, powietrze ciężkie, wilgotne, bez odrobiny wiatru. Po pogrzebie wieczorem wróciłem do naszego mieszkania, teraz już definitywnie pustego i niepotrzebnego, i dopiero w momencie gdy zamknąłem za sobą drzwi, zrozumiałem, że Emilia naprawdę umarła i że nigdy już jej nie zobaczę. Wszystkie okna w mieszkaniu były szeroko otwarte i pomimo lekkiego przewiewu miałem wrażenie, że się duszę, gdy chodziłem z pokoju do pokoju po błyszczących w zapadającym mroku posadzkach. A tymczasem w sąsiednich kamienicach paliły się światła i widać było kręcących się po mieszkaniach ludzi. Ten widok przyprawiał mnie o szaleństwo, bo te oświetlone okna przypominały mi świat, w którym ludzie kochają i są kochani, i żyją w spokoju, świat, od którego, jak mi się zdawało, zostałem raz na zawsze odcięty. By wrócić do tego świata, musiałbym przedtem wyjaśnić wszystkie nieporozumienia z Emilią, przekonać ją, powołać na nowo do życia cud miłości, który może istnieć tylko wtedy, gdy budzi się w dwóch

sercach naraz. Lecz to nie było już możliwe; i zdawało mi się, że oszaleję, myśląc o tym, że może w śmierci Emilii powinienem był się doszukiwać jej ostatniego, końcowego aktu wrogości wobec mnie.

Jednakże trzeba było żyć. Następnego dnia wziąłem walizkę, której jeszcze nie otworzyłem, zamknąłem na klucz drzwi od mieszkania, z uczuciem, że zamykam grobowiec, i oddałem klucze dozorczyńni, mówiąc jej, że zamierzam sprzedać mieszkanie, gdy tylko wrócę do Rzymu. Potem znowu pojechałem na Capri. Wyda się to dziwne, lecz pchała mnie tam nadzieja, że Emilia, ukaże mi się znowu w tym samym miejscu co przedtem albo gdzie indziej. Wtedy znowu wytłumaczyłbym jej wszystko, znowu wyznałbym jej moją miłość i znowu usłyszałbym od niej zapewnienie, że kocha mnie i rozumie. Owa nadzieja miała charakter szaleństwa i zdawałem sobie z tego sprawę. Rzeczywiście przez tych kilka dni obłądu odczuwałem nienawiść do rzeczywistości i tęsknotę do wizji i byłem bliski czegoś w rodzaju świadomego obłądu.

Na moje szczęście Emilia nie ukazała mi się ani na jawie, ani we śnie. I porównując porę, w której mi się objawiła, z godziną jej śmierci stwierdziłem, że te dwa wydarzenia nie zgadzały się ze sobą w czasie. Emilia żyła jeszcze, kiedy zdawało mi się, że widzę ją siedzącą na dziobie łodzi. Lecz najprawdopodobniej nie żyła już, kiedy leżałem w letargu na plaży w głębi Czerwonej Groty. Tak więc nic się nie zgadzało zarówno w życiu, jak i w śmierci. I nie dowiem się nigdy, czy widziałem jej widmo, czy śniłem. Nieporozumienie, które zatrulo nasze stosunki za życia, trwało dalej także po jej śmierci.

Dręczony tęsknotą za Emilią i miejscami, w których widywałem ją ostatnio, poszedłem pewnego dnia na plażę, znajdującą się u podnóża willi, gdzie niegdyś zastałem ją nagą i wydawało mi się, że ją całuję. Plaża była pusta; stanąłem na skale i gdy spojrzałem na uśmiechnięty, lazurowy bezmiar morza, przyszła mi na myśl Odyseja, Ulisses i Penelopa. I powiedziałem sobie, że teraz Emilia jest zagubiona gdzieś w tej morskiej otchłani, jak Ulisses i Penelopa, i że pozostanie tam na wieczność w niezmienionej postaci, taka, jaka była za życia. Zależało ode mnie, nie od snów i halucynacji, czy zdołam ją odnaleźć, by prowadzić z nią dalej, pogodnie, nasz ziemski dialog. Tylko w ten sposób oderwie się ona ode mnie, wyzwoli się z moich uczuć i pochyli się nade mną jak wizja wcielonej pociechy i piękna. I postanowiłem napisać te wspomnienia, w nadziei, że tak się stanie.

* Desinit in piscem (łac.) - kończy się na rybim ogonie; określenie użyte przez Horacego w „Sztuce Poetyckiej”.

* Pieśń XXII w. 157-162, przekład L. Siemieńskiego

* „Boska Komedia” - „Piekło”, pieśń XXVI, przekład E. Porąbowicza